Rps 8932

prawdziwe uczucie, ukryj je jak skarb; nie pozwól się go nigdy domyślić, byłbyś zgubiony. Nie byłbyś już katem, stałbyś się ofiarą. Jeżeli kiedykolwiek pokochasz, strzeż pilnie swego sekretu! nie wydawaj go, nim dobrze poznasz tę, której otworzysz serce. Aby zabezpieczyć z góry tę miłość która jeszcze nie istnieje, naucz się mieć na baczności przed światem. Słuchaj mnie, Miguelu... (Myliła się naiwnie imię, sama nie wiedząc o tem). Istnieje rzecz bardziej straszliwsza niż opuszczenie ojca przez córki, które chciałyby go widzieć na marach: to rywalizacya dwóch sióstr między sobą. Restaud jest *urodzony*, żonę jego przyjęto za swoją, jest przedstawiona u Dworu; natomiast siostra jej, bogata siostra, piękna pani Delfina de Nucingen, żona giełdziarza, umiera ze zgryzoty; zazdrość ją pożera, jest o sto mil od siostry; siostra nie jest już jej siostrą; te dwie kobiety zapierają się siebie wzajem, jak zapierały się ojca. Toteż, pani de Nucingen wychłeptałaby wszystko błoto między ulicą św. Łazarza a ulicą de Grenelle, aby dostać się do mego salonu. Sądziła, iż de Marsay doprowadzi ją do tego celu, uczyniła się niewolnicą de Marsaya, zamęcza de Marsaya. De Marsay bardzo mało stoi o nią. Jeżeli mi ją przedstawisz, staniesz się jej benjaminkiem, będzie cię ubóstwiać. Kochaj ją, jeżeli zdołasz potem; jeżeli nie, posłuż się nią. Dopuszczę ją raz lub dwa razy, na wielkim wieczorze, kiedy będzie tłum; ale nigdy nie przyjmę jej w dzień. Odkłonię się jej, to wystarczy. Sprawiłeś, iż zamknięto ci drzwi u hrabiny za to iż wymówiłeś imię ojca Goriot. Tak, mój drogi, możesz dwadzieścia razy wybrać się do pani de Re-

staud, dwadzieścia razy nie zastaniesz jej w domu. Zapisano cię na czarnej liście. Otóż, niech ojciec Goriot wprowadzi cię do pani Delfiny de Nucingen. Piękna pani de Nucingen będzie dla ciebie szyldem. Stań się człowiekiem którego wybrała, kobiety będą szaleć za tobą. Jej rywalki, przyjaciółki, najlepsze przyjaciółki zechcą cię jej sprzątnąć. Istnieją kobiety, które kochają mężczyznę już wybranego przez drugą, tak jak są biedne mieszczki, które, naśladując nasze kapelusze, mają nadzieję iż będą miały nasze wzięcie. Będziesz miał powodzenie. W Paryżu, powodzenie jest wszystkiem, to klucz do władzy. Jeżeli kobiety znajdą w tobie dowcip, talenty, mężczyźni uwierzą, o ile ich nie wywiedziesz z błędu. Posiędziesz wówczas wszystko czego zapragniesz, będziesz u siebie wszędzie. Dowiesz się wtedy, co to jest świat, zbiorowisko dudków i hultai. Nie bądź w rzędzie ani jednych ani drugich. Daję ci moje nazwisko jak nić Aryadny, abyś wszedł w ten labirynt. Nie pobrudź go, rzekła podnosząc głowę i obrzucając studenta spojrzeniem królowej, oddaj mi je czyste. No, zostaw mnie teraz. My kobiety, my także mamy nasze bitwy.

— Gdyby pani było potrzeba człowieka dobrej woli, aby iść przytknąć ogień do miny? rzekł Eugeniusz przerywając jej.

— Cóż wtedy? rzekła.

Uderzył się w serce, odpowiedział uśmiechem na uśmiech kuzynki i wyszedł. Była piąta. Eugeniusz był głodny, lękał się że nie zdąży na czas na godzinę obiadu. Ta obawa dała mu uczuć szczęście znajdowania się w pojeździe unoszącym go żywo przez ulice.

Paryża. Przyjemność ta, czysto machinalna, zostawiła go całego oblegającym myślom. Skoro młody człowiek w jego wieku spotka się ze wzgardą, unosi się, wścieka, wygraża pięścią całemu społeczeństwu, chce się zemścić a zarazem wątpi o samym sobie. Rastignac był w tej chwili pod obuchem słów: *Zamknąłeś sobie drzwi do domu hrabiny.*

— Pójdę! rzekł sobie, i, jeżeli pani de Beauséant ma słuszność, jeżeli mnie proskrybowano... to... Pani de Restaud znajdzie mnie w salonach w których bywa. Nauczę się robić bronią, strzelać z pistoletu, zabiję jej Maksyma.

»A pieniądze! krzyknęło mu sumienie, skąd je weźmiesz?«

Naraz, bogactwo rozpościerające się u hrabiny de Restaud błysło mu przed oczami. Ujrzał tam ten zbytek, w którym panna Goriot musiała być rozkochana, złocenia, kosztowne cacka ustawione na widoku, nieinteligentny zbytek dorobkiewicza, marnotrawstwo kobiety na utrzymaniu. Kuszący ten obraz zmiażdżyło nagle wspomnienie imponującego pałacu Beauséant. Wyobraźnia Eugeniusza, przeniesiona w wysokie sfery paryzkiego towarzystwa, tchnęła w jego serce tysiąc złych myśli, rozszerzając mu głowę i sumienie. Ujrzał świat takim jakim jest: prawa i moralność bezsilne wobec bogaczy; ujrzał w majątku *ultima ratio mundi.*

— Vautrin ma słuszność, majątek jest cnotą! pomyślał.

Przybywszy na ulicę Neuve-Sainte-Geneviève, wbiegł szybko do siebie, wrócił aby dać dziesięć fran-

ków woźnicy, i wszedł do tej pobudzającej do mdłości jadalni, gdzie ujrzał, niby bydlęta przy żłobie, ośmnastu stołowników w trakcie żeru. Widok tej nędzy, wejrzenie sali, były mu straszne. Przejście było zbyt gwałtowne, kontrast zbyt zupełny aby nie miały rozwinąć w nim ponad miarę uczucia ambicyi. Z jednej strony, świeże i urocze obrazy najwybitniejszej sfery społecznej, twarze młode, żywe, oprawne w cuda sztuki i zbytku, głowy namiętne, pełne poezyi; z drugiej, ponure obrazy ochlastane kałem, twarze w których namiętności zostawiły jedynie swoje sznurki i swój mechanizm. Nauki, jakie wściekłość opuszczonej kobiety wydarła pani de Beauséant, jej kuszące ofiary wróciły mu na pamięć, a nędza dorobiła do nich komentarz. Rastignac postanowił wytyczyć dwa równoległe podkopy aby dojść do fortuny, oprzeć się na wiedzy i na miłości, stać się uczonym doktorem i modnym światowcem. Był jeszcze wielkiem dzieckiem. Te dwie linie, to *asymptoty*, które nigdy nie mogą się spotkać.

— Ponury coś dziś jesteś, panie margrabio, rzekł Vautrin, rzucając nań jedno z owych spojrzeń któremi ten człowiek zdawał się wnikać w najbardziej ukryte tajemnice ludzi.

— Nie jestem usposobiony aby cierpieć żarciki osób które nazywają mnie »panem margrabią«, odparł. Tutaj, aby być naprawdę margrabią, trzeba mieć sto tysięcy funtów renty; kiedy się zaś żyje w pensyonacie pani Vauquer, nie jest się szczególnym ulubieńcem losu.

Vautrin popatrzył na Rastignaca wzrokiem ojcowskim i pogardliwym, jakgdyby mówił: »Smarkaczu, któregobym połknął na jeden kąsek!...« Poczem, odparł:

— Jest pan w złym humorze, ponieważ, być może, nie powiodło się panu u pięknej hrabiny de Restaud.

— Zamknęła mi drzwi, za to, iż wygadałem się że jej ojciec jada przy naszym stole, wykrzyknął Rastignac.

Wszyscy stołownicy spojrzeli wzajem po sobie. Ojciec Goriot spuścił oczy i obrócił się aby je obetrżeć.

— Zaprószył mi pan oko tabaką, rzekł do sąsiada.

— Kto zechce dręczyć ojca Goriot, będzie miał odtąd ze mną do czynienia, odparł Eugeniusz, spoglądając na sąsiada, ex-fabrykanta makaronu; wart jest więcej niż my wszyscy. Nie mówię o paniach, dodał, zwracając się ku pannie Taillefer.

Zdanie to było niby konkluzyą; Eugeniusz wypowiedział je tonem, który nakazał biesiadnikom milczenie. Jeden Vautrin ozwał się żartobliwie:

— Aby wziąć ojca Goriot na swój rachunek i ustanowić się jego odpowiedzialnym wydawcą, trzeba nauczyć się dobrze władać szpadą i strzelać z pistoletu.

— Tak też uczynię, rzekł Eugeniusz.

— Wyruszyłeś pan tedy dziś na wojnę?

— Być może, odparł Rastignac. Ale nie jestem winien rachunku z moich spraw nikomu, ile że nie

staram się dochodzić tych jakie inni załatwiają po nocy.

— Mój młody paniczu, kiedy się kto nie chce dać oszukać marjonetkom, trzeba mu wejść ze wszystkiem do budy, a nie zadowolnić się zaglądaniem przez dziury w kulisie. Dosyć tej gawędy, dodał, widząc iż Eugeniusz gotów jest jeszcze się srożyć. Pomówimy troszkę z sobą kiedy będziesz miał ochotę.

Obiad stał się ponury i zimny. Ojciec Goriot, zatopiony w głębokiej boleści jaką sprawiło mu zdanie studenta, nie zrozumiał iż stan umysłów zmienił się odnośnie do niego i że młody człowiek zdolny nakazać milczenie prześladowaniom wziął go w obronę.

— Byłżeby p. Goriot, rzekła pani Vauquer po cichu, istotnie ojcem jakiej hrabiny?

— I baronowej, odparł Rastignac.

— Tylko to mu pozostało, rzekł Bianchon do Rastignaka; zmacałem mu głowę; ma tylko jeden guz, guz ojcostwa, to będzie *wiekuisty ojciec.*

Eugeniusz był zbyt poważny, aby koncept Bianchona go rozśmieszył. Chciał skorzystać z rad pani de Beauséant, i zapytywał sam siebie gdzie i jak wystara się o pieniądze. Zasępił się, widząc prerye świata które roztaczały się jego oczom równocześnie puste i pełne; skoro obiad się skończył, wszyscy zostawili go w jadalni samego.

— Widział pan tedy moją córkę? zagadnął go Goriot wzruszonym głosem.

Obudzony ze swych dumań przez nieboraka, Eugeniusz ujął go za rękę, i, spoglądając nań z rodzajem rozczulenia, odparł:

— Jesteś pan zacnym i godnym człowiekiem. Porozmawiamy później o pańskich córkach.

Podniósł się, nie wdając się w gawędę z ojcem Goriot i przeszedł do swego pokoju, gdzie napisał do matki następujący list:

»Droga moja matko, rozpatrz się czy nie znajdziesz trzeciej piersi, którąbyś mi mogła otworzyć. Znajduję się w położeniu, dającem szybkie widoki fortuny. Trzeba mi tysiąca dwustu franków, ale trzeba mi ich za każdą cenę. Nie mów nic o mojej prośbie ojcu, sprzeciwiłby się może; ja zaś, w razie gdybym nie dostał tych pieniędzy, stałbym się pastwą rozpaczy, któraby mnie doprowadziła do samobójstwa. Wytłómaczę ci moje pobudki za najbliższem widzeniem; trzebaby bowiem pisać tomy, aby określić położenie w jakiem się znajduję. Nie grałem, moja złota mamusiu, nie mam ani grosza długu, ale, jeżeli pragniesz zachować życie któreś mi dała, trzeba mi wydobyć tę sumę. Krótko mówiąc, przedstawiłem się u wicehrabiny de Beauséant, która wzięła mnie pod opiekę. Mam bywać w świecie, a nie posiadam ani grosza na sprawienie czystych rękawiczek. Umiałbym jeść suchy chleb, pić tylko wodę, przymierać głodem w potrzebie; ale nie mogę się obejść bez narzędzi jakiemi ryje się tutaj ziemię. Rozstrzyga się dla mnie to, czy wejdę na drogę przyszłości, czy też zostanę w błocie. Wiem, jakie nadzieje pokładacie we mnie, i chcę je prędko ziścić. Moja droga mamo, sprzedaj parę z twoich starych klejnotów, odkupię ci je rychło. Dosyć znam położenie naszej rodziny, aby umieć ocenić takie poświęcenia; możesz wierzyć, że nie żądam ich od ciebie na-

próżno, inaczej byłbym potworem. Uważaj moją prośbę jedynie za krzyk bezwzględnej konieczności. Cała nasza przyszłość leży w tym zasiłku, z którym muszę rozpocząć kampanię; życie paryzkie bowiem jest ustawną walką. Jeżeli, dla zaokrąglenia sumy, niema innego sposobu jak tylko sprzedać koronki ciotczyne, powiedz że poślę jej ładniejsze, etc.«

Napisał do obu sióstr, prosząc aby mu przesłały swoje oszczędności; aby zaś wycisnąć z nich tę ofiarę, którą wiedział iż uczynią z radością, a zarazem zapobiedz aby nie wspominały o niej w rodzinie, podsycił ich delikatność, poruszając struny honoru, tak dobrze napięte i dające tak silny oddźwięk w młodych sercach! Napisawszy te listy, odczuwał wszelako mimowolne drżenie: trząsł się, dygotał. Ambitny chłopiec znał nieskalaną szlachetność tych dusz zagrzebanych w samotności; wiedział jakie cierpienia sprawi obu siostrom, oraz jaka będzie ich radość; z jaką lubością będą spiskowały potajemnie, w głębi sadu, na rzecz ukochanego brata. Ujrzał je, niby w jasnowidzeniu, jak liczą potajemnie swój mały skarbczyk; jak rozwijają geniusz chytrości dziewczęcej aby mu wysłać *incognito* te pieniądze, ważąc się na pierwsze oszukaństwo dla dokonania szlachetnego czynu.

— Serce siostry jest dyamentem czystości, otchłanią uczucia! rzekł sobie.

Wstydził się swego listu. Jak bardzo potężne będą ich modlitwy, jak czystym rzut ich dusz ku niebu! Z jakąż rozkoszą poświęciłyby się! Jakąż boleść odczułaby matka, gdyby nie mogła posłać całej sumy! Te piękne uczucia, te straszliwe poświęce-

nia miały mu posłużyć za szczeble, aby dotrzeć do Delfiny de Nucingen. Parę łez, ostatnie ziarno kadzidła rzucone na święty ołtarz rodziny, wypłynęło mu z oczu. Przebiegał pokój w poruszeniu graniczącem z rozpaczą. Ojciec Goriot, widząc go przez drzwi które zostały uchylone, wszedł i zapytał:

— Co panu takiego?

— Ach, mój dobry sąsiedzie, jestem jeszcze synem i bratem, jak pan jesteś ojcem. Masz pan słuszność, iż drżysz o hrabinę Anastazyę: jest w rękach niejakiego Maksyma de Trailles, który ją zgubi.

Ojciec Goriot wyszedł, bełkocąc kilka słów, których znaczenia Eugeniusz nie uchwycił. Nazajutrz, Rastignac poszedł wrzucić listy na pocztę. Wahał się do ostatniej chwili, ale, w końcu, wrzucił je do skrzynki, mówiąc: »Zwyciężę!« Okrzyk gracza, wielkiego wodza, okrzyk fatalistyczny który więcej ludzi gubi niż ocala.

W kilka dni później, Eugeniusz udał się do pani de Restaud, gdzie go nie przyjęto. Trzy razy powrócił, i trzy razy zastał drzwi zamknięte, mimo iż zjawiał się w godzinach w których hrabiego Maksyma de Trailles nie było. Wicehrabina miała słuszność. Student przestał myśleć o nauce. Chodził na wykłady aby odpowiedzieć przy czytaniu katalogu, kiedy zaś wykazał swą obecność, zmykał. Uspokoił się rozumowaniem, jakie czyni większość studentów. Chował się z nauką na chwilę w której przyjdzie moment egzaminów; postanowił skupić *testy* drugiego i trzeciego roku, aby przestudyować całe prawo poważnie i naraz w ostatniej chwili. Miał w ten sposób piętnaście miesięcy swobody aby żeglować po oceanie Paryża,

aby frymarczyć względami kobiet lub łowić w nim fortunę. W ciągu tego tygodnia, odwiedził dwa razy panią de Beauséant, do której udawał się jedynie w chwili, w której wyjeżdżał z bramy pojazd pana d'Ajuda. Na kilka dni jeszcze, ta świetna kobieta, najbardziej poetyczna postać dzielnicy Saint-Germain, pozostała zwyciężką i zdołała odsunąć małżeństwo panny de Rochefide z margrabią d'Ajuda-Pinto. Ale te ostatnie dni, które obawa postradania szczęścia uczyniła najgorętszymi ze wszystkich, miały przyspieszyć katastrofę. Margrabia d'Ajuda, w porozumieniu z Rochefidami, uważał tę sprzeczkę i to pojednanie za szczęśliwą okoliczność: mieli nadzieję, że pani de Beauséant oswoi się z myślą o tem małżeństwie i poświęci wreszcie swoje popołudniowe wywczasy dla przyszłości przewidywanej w życiu mężczyzny. Mimo najświętszych przyrzeczeń ponawianych każdego dnia, p. d'Ajuda grał tedy komedyę, wicehrabina zaś chciała być oszukaną. »Zamiast dumnie wyskoczyć oknem, dawała się wlec po schodach«, powiadała księżna de Langeais, jej najlepsza przyjaciółka. Mimo to, te ostatnie błyski lśniły się dosyć długo, aby wicehrabina została w Paryżu i zaopiekowała się młodym krewniakiem, dla którego żywiła rodzaj zabobonnego przywiązania. Eugeniusz okazał się dla niej pełnym poświęcenia i serca, w okoliczności, w której kobiety w żadnem oku nie widzą szczerego współczucia ani pociechy. Jeżeli jaki mężczyzna mówi im wówczas słodkie słowa, mówi je przez wyrachowanie.

Pragnąc doskonale poznać szachownicę zanim się pokusi o wkroczenie do domu Nucingenów, Ra-

stignac starał się zapoznać z dawniejszem życiem ojca Goriot i zebrał niewątpliwe dane, streszczające się mniejwięcej w tem:

Jan Joachim Goriot był, przed Rewolucyą, prostym robotnikiem w handlu mąką, zdatnym, oszczędnym, i dość przedsiębiorczym aby kupić interes swego pana, którego los uczynił ofiarą pierwszych rozruchów w 1789. Osiedlił się przy ul. Jussienne, blizko hali zbożowej, i miał ten zdrowy rozsądek, iż przyjął prezydenturę sekcyi, aby zyskać dla swego przemysłu protekcyę najwybitniejszych osób tej niebezpiecznej epoki. Roztropność ta była początkiem jego fortuny, która zaczęła się w dniach nieurodzaju, fałszywego lub prawdziwego, będącego przyczyną olbrzymiego wzrostu cen zboża w Paryżu. Lud zabijał się u bram piekarzy, podczas gdy pewne osoby zachodziły bez kłopotu po bułeczki i ciasta do kupców. W ciągu tego roku, obywatel Goriot zebrał sumy, dzięki którym później mógł uprawiać swój handel z całą przewagą wielkiego kapitału; zdarzyło mu się to, co się zdarza wszystkim ludziom posiadającym jedynie względne zdolności: mierność ocaliła go. Zresztą, ponieważ majątek jego wyszedł na jaw dopiero w chwili w której być bogatym nie przedstawiało już niebezpieczeństwa, nie obudził niczyjej zazdrości. Handel zbożem zdawał się pochłaniać całą jego inteligencyę. Kiedy chodziło o zboże, mąkę, pośląd, o rozpoznanie ich jakości, pochodzenia, o przechowywanie zapasów, przewidywanie kursów, przepowiedzenie obfitości lub ubóstwa zbiorów, wystaranie się o produkta po nizkiej cenie, zaprowiantowanie się

w Sycylii, na Ukrainie, Goriot nie miał równego sobie. Patrząc nań, jak prowadzi swoje sprawy, tłómaczy prawa tyczące eksportu, importu ziarna, jak wnika w ich ducha, chwyta braki, uznałoby się go za zdolnego do teki ministeryalnej. Cierpliwy, czynny, energiczny, wytrwały, szybki w przedsięwzięciach, miał rzut oka wręcz orli, uprzedzał, przewidywał, wiedział, ukrywał wszystko; dyplomata w objęciu, żołnierz w wykonaniu. Wyszedłszy ze swej specyalności, ze swego prostego i ciemnego sklepu, na którego progu wystawał w czasie godzin bezczynności, z ramieniem opartem o framugę drzwi, stawał się z powrotem tępym i grubym robotnikiem, człowiekiem niezdolnym pojąć żadnego rozumowania, nieczułym na wszystkie przyjemności duchowe, człowiekiem który zasypiał w teatrze, jednym z tych Dolibanów paryzkich, silnych jedynie w głupocie. Te natury są prawie wszystkie podobne do siebie. Prawie u wszystkich znajdziecie w sercu jakieś szczytne uczucie. Dwa wyłączne uczucia wypełniły serce handlarza mąki, pochłonęły cały jego sok, jak handel zbożem zużywał całą inteligencyę jego mózgu. Żona jego, jedyna córka bogatego rolnika w Brie, stała się dlań przedmiotem religijnego ubóstwienia, miłości bez granic. Goriot podziwiał w niej naturę delikatną a silną, tkliwą i wdzięczną, która stanowiła gwałtowny kontrast z jego własną. Jeżeli istnieje jakie uczucie wrodzone w sercu człowieka, czyż nie jest niem duma z opieki roztaczanej bez przerwy nad słabą istotą? Dołączcie do tego miłość, żywą wdzięczność wszystkich szczerych dusz dla źródła ich rozkoszy, a zrozumiecie mnóstwo osobliwych

fenomenów moralnych. Po siedmiu latach szczęścia bez chmurki, Goriot, nieszczęściem dla niego, stracił żonę: zaczynała zdobywać nad nim przewładzę, poza sferą uczuć. Być może, byłaby uszlachetniła tę ciężką naturę, być może byłaby w nią tchnęła zrozumienie świata i życia. W tem położeniu, uczucia ojcowskie rozwinęły się u Goriota niemal do obłędu. Przeniósł swoje przywiązanie, zawiedzione przez śmierć, na dwie córki, które, zrazu, zadowoliły w pełni wszystkie jego uczucia. Mimo świetnych propozycyj jakie mu czynili kupcy lub rolnicy, pragnący gorąco mieć go za zięcia, Goriot chciał pozostać wdowcem. Teść jego, jedyny człowiek do którego czuł zaufanie, utrzymywał, iż wie stanowczo, że Goriot poprzysiągł nie sprzeniewierzyć się żonie nawet po jej śmierci. Sąsiedzi z Hal, niezdolni zrozumieć tego szczytnego szaleństwa, dworowali zeń sobie i nadali Goriotowi jakiś ucieszny przydomek. Pierwszy z nich, który, przepijając doń przy dobiciu targu, pozwolił sobie z tem wystąpić, otrzymał od makaroniarza raz pięścią tak skuteczny, iż poleciał, głową naprzód, aż na róg ulicy. Oblin. Ślepe oddanie, zazdrosna i delikatna miłość jaką żywił Goriot dla córek były tak znane, iż, pewnego dnia, jeden z konkurentów, chcąc się go pozbyć z targu aby zostać panem cen, powiedział mu iż Delfina wpadła pod koła kabryoletu. Handlarz mąki, blady i drżący, opuścił natychmiast halę. Chorował przez kilka dni wskutek starcia sprzecznych uczuć w jakie wtrącił go ten fałszywy alarm. Jeżeli nie opuścił groźnej pięści na kark tego człowieka, wypędził go z Hal, zmuszając go, w krytycznej sytuacyi, do zgłoszenia

bankructwa. Wychowanie córek było oczywiście niedorzeczne. Posiadając przeszło sześćdziesiąt tysięcy dochodu, a wydając zaledwie tysiąc dwieście na siebie, Goriot znajdował całe szczęście w tem, aby zadowalniać kaprysy córek. Najwyborniejsi nauczyciele starali się o pielęgnowanie w nich talentów znamionujących dobre wychowanie. Miały damę do towarzystwa: szczęściem dla nich, była to osoba rozumna i taktowna; jeździły konno, miały powóz, żyły tak, jakby żyły kochanki starego magnata. Wystarczyło im wyrazić najkosztowniejsze zachcenie, aby ojciec czemprędzej spieszył je zaspokoić; żądał jedynie pieszczoty w zamian za swe dary. Goriot stawiał córki w rzędzie aniołów, oczywiście o całe niebo powyżej siebie: kochał w nich — biedny człowiek! — nawet zło jakie mu czyniły. Skoro córki doszły do wieku małżeństwa, pozwolił im wybrać sobie mężów wedle upodobania: każda miała otrzymać w posagu połowę ojcowskiego majątku. Anastazya, która, pięknością swoją, zawróciła głowę hrabiemu de Restaud, miała skłonności arystokratyczne; opuściła dom rodzinny, aby rzucić się w sfery wysokiego towarzystwa. Delfina lubiła pieniądze: zaślubiła Nucingena, bankiera pochodzenia niemieckiego, świeżo upieczonego barona Stolicy Apostolskiej. Goriot pozostał handlarzem mąki. Niebawem, córki i zięciów zaczęło razić, iż stary zajmuje się dalej tym przemysłem, mimo iż to było całe jego życie. Wytrzymawszy przez pięć lat ich nalegania, zgodził się wreszcie wycofać z kapitałem uzyskanym ze sprzedaży sklepu oraz zyskami ostatnich lat. Kapitał, oszacowany przez panią Vauquer, u której się osiedlił,

mógł przedstawiać ośm do dziesięciu tysięcy rocznej renty. Zagrzebał się w tym pensyonacie pod wpływem rozpaczy, w jaką popadł, widząc iż córki, z rozkazu mężów, nietylko odmówiły goszczenia ojca u siebie, ale nawet przyjmowania go jawnie.

Oto wszystko co wiedział w danej kwestyi niejaki p. Muret, który od ojca Goriot nabył sklep. Tak więc, przypuszczenia jakie Rastignac słyszał z ust księżnej de Langeais, znalazły potwierdzenie. Na tem kończy się ekspozycya tej pokątnej ale straszliwej tragedyi paryzkiej.

Z końcem pierwszego tygodnia miesiąca grudnia, Rastignac otrzymał dwa listy, jeden od matki, drugi od starszej siostry. Charakter ich pisma, tak znany, obudził w nim zarazem drżenie radości i dreszcz obawy. Te dwie wątłe ćwiartki papieru zawierały dla jego nadziei wyrok życia lub śmierci. Jeżeli doznawał nieco lęku, przypominając sobie opłakane położenie rodziny, zanadto dobrze znał czułość tych wybornych istot, aby się nie obawiać iż wycisnął ostatnie krople ich krwi. List matki brzmiał jak następuje:

»Moje drogie dziecko, posyłam ci to o co prosisz. Zrób dobry użytek z tych pieniędzy; nie mogłabym, choćby nawet chodziło o ocalenie ci życia, wydobyć drugi raz sumy tak znacznej bez powiadomienia ojca, co zmąciłoby naszą domową harmonię. Aby wycisnąć więcej, bylibyśmy zmuszeni zaciągnąć pożyczkę na naszą wioskę. Niepodobna mi osądzić projektów których nie znam; jakież tedy są one, natury, iż lękasz się mi je zawierzyć? Wyjaśnienie takie nie wymagałoby tomów: nam, matkom, wystarczy je-

dno słowo, a to słowo oszczędziłoby mi wzruszeń niepewności. Mój drogi synu, cóż to za uczucie, które kazało ci wtrącić moje serce w takie obawy? Musiałeś bardzo cierpieć pisząc do mnie, ja bowiem bardzo cierpiałam czytając twój list. W jaką ty drogę się rzucasz? Twoje życie, szczęście, miałyby być związane z udawaniem tego czem nie jesteś, opierać się na bywaniu w świecie w którym nie możesz żyć bez niepodobnych do udźwignięcia wydatków, bez straty czasu tak szacownego dla studyów! Mój dobry Eugeniuszu, wierzaj sercu matki, kręte drogi nie prowadzą do niczego wielkiego. Cierpliwość i rezygnacya powinny być cnotą młodych ludzi w twojem położeniu. Nie łaję cię, nie chciałabym zaprawić naszej ofiary żadną goryczą. To co mówię, to słowa matki równie ufnej jak przewidującej. Jeżeli ty wiesz jakie są twoje zobowiązania, ja wiem jak twoje serce jest czyste, jak zacne są twoje intencye. Dlatego, mogę ci rzec bez obawy: Idź, mój ukochany, krocz naprzód! Drżę dlatego, że jestem matką, ale każdemu twemu krokowi będą towarzyszyć nasze życzenia i błogosławieństwa. Bądź ostrożny, drogie dziecko. Musisz być roztropny jak mężczyzna, losy pięciu osób które ci są drogie spoczywają na twej głowie. Prosimy wszyscy Boga aby cię wspierał w twoich przedsięwzięciach. Ciotka Marcillac okazała, w tej okoliczności, dobroć wprost niesłychaną: posunęła się tak daleko, iż uznała twój argument o rękawiczkach! Sama żartowała z siebie, iż ma słabość do *pierworodnego*. Mój Eugeniuszu, kochaj swoją ciotkę; powiem ci co uczyniła dla ciebie, skoro zwyciężysz: inaczej, pieniądz jej parzyłby ci

palce. Wy nie wiecie, dzieci, co to znaczy poświęcić wspomnienia! Ale czegóż nie oddałoby się dla was? Każe ci powiedzieć, że całuje cię w czoło, i że chciałaby ci udzielić tym pocałunkiem daru trwałego szczęścia. Zacna, najlepsza kobieta napisałaby do ciebie, gdyby nie jej chiragra. Ojciec ma się dobrze. Zbiory z 1819 przewyższyły nasze nadzieje. Bądź zdrów, drogie dziecko: nie mówię nic o siostrach: Laura pisze do ciebie. Zostawiam jej przyjemność szczebiotania o drobnych wydarzeniach rodzinnych. Dałby Bóg, aby ci się powiodło! Och, tak, zwycięż, Eugeniuszu; dałeś mi poznać boleść nazbyt żywą, abym ją mogła przenieść po raz drugi. Uczułam co to jest być biednym, wówczas kiedyby się pragnęło mieć fortunę, aby ją oddać swemu dziecku. No, do widzenia. Nie zostawiaj nas bez wiadomości i przyjm pocałunek, jaki przesyła ci

»Matka«.

Kiedy Eugeniusz skończył list, twarz miał zalaną łzami: myślał o ojcu Goriot gniotącym serwis srebrny i niosącym go na sprzedaż aby wykupić weksel córki.

— Matka pozbyła się klejnotów! powiadał sobie. Ciotka płakała z pewnością, sprzedając swoje relikwie! Jakiem prawem miałbyś przeklinać Anastazyę? dla egoizmu swej przyszłości zrobiłeś toż samo co ona dla kochanka. Któż więcej wart z was dwojga?

Student uczuł, iż nieznośny żar pali mu wnętrzności. Chciał wyrzec się świata, nie przyjąć tych pieniędzy. Doświadczył owych szlachetnych i pięknych ta-

jemnych wyrzutów, których wartość rzadko oceniają ludzie kiedy sądzą swoich bliźnich, a które każą często aniołom niebios rozgrzeszyć zbrodniarza skazanego przez ziemskie trybunały. Rastignac otworzył list siostry, którego wyrazy pełne niewinnego wdzięku orzeźwiły mu serce:

»List twój przyszedł bardzo w porę, drogi bracie. Obie z Agatą chciałyśmy zużyć nasze oszczędności na tyle rozmaitych sposobów, iż nie wiedziałyśmy już na jaki zbytek się zdecydować. Uczyniłeś tak, jak służący króla Hiszpańskiego kiedy upuścił zegarki swego pana: pogodziłeś nas. Doprawdy, sprzeczałyśmy się bezustanku, któremu z pragnień dać pierwszeństwo, a nie odgadłyśmy, drogi Eugeniuszu, celu jaki obejmuje wszystkie nasze pragnienia. Agata podskoczyła z radości. Słowem, byłyśmy obie jak szalone przez cały dzień *w takim sposobie* (styl ciotki), iż matka powtarzała raz po raz, przybierając surową minę: »Co dziś się z wami dzieje, moje panny?« Gdyby nas połajano troszeczkę, zdaje mi się że byłybyśmy jeszcze bardziej rade. To wielka musi być rozkosz dla kobiety, cierpieć dla kogoś kogo kocha! Ja jedna byłam zadumana i zmartwiona wśród mojej radości. Będzie ze mnie z pewnością zła żona, zanadto jestem marnotrawna. Kupiłam sobie dwa paski, ładne szydełko, drobiazgi, głupstwa, tak iż miałam mniej pieniędzy niż Agata, która jest oszczędna i dusi talary jak sroka. Miała dwieście franków! Ja, mój złoty braciszku, mam ledwo pięćdziesiąt talarów. Jestem bardzo ukarana, chciałabym rzucić mój pasek do studni,

nie będę go mogła włożyć bez zgryzoty. Okradłam cię. Agata była cudowna; powiedziała: »Poślijmy trzysta pięćdziesiąt franków od obu razem!« Ale nie mogłam się wstrzymać, i musiałam ci opowiedzieć wszystko jak było naprawdę Czy wiesz, jak wzięłyśmy się do rzeczy aby być posłuszne twoim nakazom? Zgromadziłyśmy nasze wspaniałe bogactwa, wybrałyśmy się niby na przechadzkę i, skoro raz znalazłyśmy się na gościńcu, pobiegłyśmy do Ruffec, gdzie oddałyśmy poprostu całą sumę p. Gimbert, poczmistrzowi królewskiemu! Wracając, byłyśmy lekkie jak jaskółki. »Czyżby to szczęście tak dodawało skrzydeł?« mówiła Agata. Nagadałyśmy sobie tysiąc rzeczy, których ci nie powtórzę, mości Paryżaninie, zawiele było w nich mowy o tobie. Och, drogi bracie, kochamy cię bardzo, oto wszystko w dwóch słowach. Co się tyczy sekretu, to, wedle zdania ciotki, takie małe szelmeczki jak my zdolne są do wszystkiego, nawet do trzymać język za zębami. Matka udała się tajemniczo do Angoulême wraz z ciotką; obie zachowały milczenie co do wysokiej polityki tego wyjazdu, owocu długich narad, z których nas wykluczono, zarówno jak pana barona. Ważne wydarzenia zajmują umysły mieszkańców Państwa Rastignac. Suknia z muśliny w ażurowe kwiaty, jaką haftują infantki dla Jej Królewskiej Mości, postępuje w najgłębszym sekrecie. Jest już tylko dwanaście zakładek do zrobienia. Postanowiono, że nie będzie się stawiać muru od strony Verteuil; posadzi się żywopłot. Drobny ludek postrada na tem owoce, szpalery, ale zyska się piękny widok dla cudzoziemców. Gdyby następca tronu potrzebował chu-

stek, królowa-wdowa Stanów Marcillac donosi mu, iż, przetrząsając swoje skarby i waliży, ochrzczone nazwą Herkulanum i Pompei, odkryła sztukę pięknego holendzkiego płótna o którem nie wiedziała; księżniczki Agata i Laura oddają na rozkazy nici, igły i ręce, zawsze nieco zanadto czerwone. Dwaj młodzi książęta, don Henyk i don Gabryel zachowali opłakany zwyczaj opychania się powidłami, z winogron, droczenia się z siostrami, opierania się wszelkiej nauce, wybierania ptaków z gniazd, hałasowania, i wycinania mimo Ustaw Państwowych, leszczyny na szpicrózgi. Nuncyusz papieski, pospolicie nazywany księdzem proboszczem, grozi im ekskomuniką, w razie jeżeli nadal będą obchodzić święte kanony gramatyki łacińskiej. Bywaj zdrów, drogi bracie; nigdy żaden list nie zawierał tylu życzeń powodzenia ani tyle zadowolonej miłości. Będziesz miał tedy dużo do opowiadania, skoro wrócisz! Mnie opowiesz wszystko, prawda? ja jestem starsza. Ciotka dała nam do zrozumienia, że masz sukcesy w świecie.

Mówią o jednej damie, a milczą o reszcie...

Przed nami, rozumie się! Słuchaj, Genku, gdybyś chciał, moglibyśmy się obejść bez chustek, a zrobiłybyśmy ci koszule? Odpowiedz szybko *w tej materyi.* Gdyby ci trzeba było rychło pięknych koszul starannie uszytych, musiałybyśmy się zaraz zabrać do roboty; jeżeli zaś w Paryżu są mody których nie znamy, posłałbyś nam wzór, zwłaszcza do mankietów. Do widzenia, do widzenia, całuję cię w czoło po lewej, w tę skroń która jest moją wyłączną własnością... Zosta-

wiam drugą ćwiartkę dla Agaty, która przyrzekła nie czytać tego co ci wypisuję. Ale, dla większej pewności, będę jej pilnować w czasie pisania. Twoja bardzo kochająca siostra,

»*Laura de Rastignac.*«

— Och, tak, rzekł do siebie Eugeniusz, tak, zdobyć fortunę za wszelką cenę. Żadne skarby nie opłaciłyby tego poświęcenia. Chciałbym im dać wszystko możliwe szczęście. Tysiąc pięćset pięćdziesiąt franków! rzekł po pauzie. Każda sztuka srebra musi być jak celny nabój! Laura ma słuszność. Do krocset! mam koszule tylko z grubego płótna. Gdy chodzi o szczęście kogoś drugiego, młoda dziewczyna staje się tak chytra jak złodziej. Niewinna dla siebie, a przewidująca dla mnie, jest niby anioł z nieba, który niesie przebaczenie winom świata, nie rozumiejąc ich.

Świat należał do niego! Już Eugeniusz odbył naradę z krawcem, wszystko z nim obmyślił, zważył. Widząc pana de Trailles, Rastignac zrozumiał wpływ jaki posiadają krawcy na życie młodych ludzi. Niestety! nie istnieje nic pośredniego między temi dwiema ostatecznościami: krawiec jest albo śmiertelnym wrogiem, albo sprzymierzeńcem pozyskanym traktatami rachunku. Eugeniusz znalazł w swoim krawcu człowieka który zrozumiał ojcowskie posłannictwo swego przemysłu, i który się uważał za łącznik pomiędzy teraźniejszością a przyszłością młodych ludzi. Toteż, wdzięczny Rastignac dał w rękę fortunę temu człowiekowi, zapomocą jednego z tych powiedzeń w jakich później celował:

— Znam, powiadał, dwie pary spodni jego roboty, z których każda przyniosła małżeństwo z dwudziestoma tysiącami franków renty.

Tysiąc pięćset franków i nieograniczony kredyt u krawca! W tej chwili, biedny Południowiec nie wątpił już o niczem; zeszedł na śniadanie z tą niedającą się określić miną, jaką daje młodemu człowiekowi posiadanie pewnej sumy. W chwili gdy pieniądz wpada do kieszeni studenta, natychmiast wyrasta w nim samym niby fantastyczna kolumna na której się wspiera. Stąpa lepiej, niż wprzód, ma uczucie iż dźwignia jego zdobyła punkt oparcia, ma spojrzenie pełne, śmiałe, ruchy zręczne. Poprzedniego dnia, pokorny i nieśmiały, byłby zniósł cięgi; nazajutrz, dałby je, choćby pierwszemu ministrowi. Odbywają się w nim niesłychane zjawiska: wszystko chce i wszystko może, wysyła pragnienia na prawo i lewo, jest wesoły, wspaniałomyślny, rozlewny. Słowem, ptak, niegdyś bez skrzydeł, osiągnął ich pełne rozpięcie. Student bez pieniędzy łasuje odrobinę przyjemności jak pies który ściąga kość po przez tysiąc niebezpieczeństw, rozłupuje ją, wysysa szpik i znów ucieka; ale młody człowiek który potrząsa w sakiewce parą ulotnych sztuk złota smakuje swoje uciechy, rozbiera je, lubuje się w nich, kołysze się w niebie, wie już co znaczy słowo *nędza*. Cały Paryż doń należy. Wieku, w którym wszystko jest lśniące, w którym wszystko migota i płonie! wieku radosnej siły z której nikt nie korzysta, ani mężczyzna ani kobieta! wieku długów i spazmatycznych lęków które dziesięćkrotnie mnożą rozkosze! Kto nie pędził dni na lewym brzegu Sekwany, pomiędzy ulicą

św. Jakóba a ulicą św. Ojców, ten nie wie co to życie!

— Ach, gdyby Paryżanki wiedziały! mówił do siebie Rastignac, pożerając pieczone gruszki, po dwa liardy sztuka, podane przez panią Vauquer, przyszłyby tutaj po miłość!...

W tej chwili, posłaniec Poczt królewskich, zapukawszy do szklanych drzwi, zjawił się w jadalni. Zapytał o p. Eugeniusza de Rastignac, któremu wręczył dwa worki i wykaz do podpisania. Wówczas, Rastignac uczuł, niby smagnięcie bicza, głębokie spojrzenie jakiem objął go Vautrin.

— Będzie pan miał z czego opłacić lekcye fechtunku i strzelnicę, rzekł ten człowiek.

— Flota przypłynęła, rzekła pani Vauquer, spoglądając na worki.

Panna Michonneau lękała się spojrzeć na pieniądze, z obawy aby nie zdradzić swej pożądliwości.

— Ma pan dobrą matkę, rzekła pani Couture.

— Pan de Rastignac ma dobrą matkę, powtórzył Poiret.

— Tak, mama upuściła sobie krwi, rzekł Vautrin. Może pan teraz szastać się do woli, bywać w świecie, polować na posagi i tańczyć z hrabinami które mają kwiaty brzoskwini we włosach. Ale, wierzaj mi, młodzieńcze, uczęszczaj do strzelnicy.

Vautrin uczynił gest człowieka który mierzy do przeciwnika. Rastignac chciał dać na piwo i nie znalazł nic w kieszeni. Vautrin poszukał i rzucił posłańcowi franka.

— Ma pan kredyt, dodał spoglądając na studenta.

Rastignac zmuszony był podziękować, mimo że, od czasu cierpkiej wymiany słów w dniu w którym wrócił od pani de Beauséant, człowiek ten był mu nie do zniesienia. W ciągu tego tygodnia, Eugeniusz i Vautrin zachowywali milczenie i obserwowali się wzajem. Student zapytywał napróżno sam siebie o przyczynę. Bezwątpienia, myśli wydzielają się w prostym stosunku do siły z jaką je poczęto, i uderzają tam dokąd mózg je wysyła, na mocy matematycznego prawa podobnego temu które kieruje bombą skoro opuści paszczę moździerza. Skutki tego są rozmaite. Jeżeli istnieją natury miękkie, w które myśli wdzierają się i czynią w nich spustoszenie; istnieją też natury silnie opancerzone, czaszki o sklepieniu ze spiżu o które wola drugich spłaszcza się i odpada jak kula od muru; wreszcie, istnieją też natury miękkie i gąbczaste, w których cudze myśli zamierają, tak jak kule tracą siłę w miękkiej ziemi okopów. Rastignac miał głowę z tych które są pełne prochu i wybuchają za najmniejszem zderzeniem. Był zanadto żywy i młody, aby nie być dostępnym temu promieniowaniu myśli, tej zaraźliwości uczuć, której tyle szczególnych fenomenów uderza nas bez naszej wiedzy. Wzrok moralny młodzieńca posiadał dalekie jasnowidztwo jego oczu rysich. Każdy z jego podwójnych zmysłów miał to tajemnicze rozpięcie, tę gibkość w przebieganiu tam i z powrotem, jaka nas zdumiewa u ludzi wyższych, fechmistrzów zdolnych podchwycić szczelinę każdego pancerza. Zresztą, od miesiąca, rozwinęło się w Eugeniuszu tyleż

wad co zalet. Wady były te, jakich żądał świat i spełnienie jego wzrastających pragnień. Pomiędzy zaletami, górowała ta południowa żywość, która sprawia iż człowiek idzie prosto naprzeciw jakiejś trudności aby ją rozwiązać, i która nie pozwala człowiekowi z poza *Loary* pozostawać w jakiejkolwiek niepewności. Przymiot ten, ludzie Północy nazywają wadą: dla nich, jeżeli to było źródło fortuny Murata, to była też przyczyna jego śmierci. Trzebaby stąd wyciągnąć wniosek, że, kiedy Południowiec umie połączyć chytrość Północy z odwagą *z poza Loary*, wówczas jest kompletny i zostaje królem Szwedzkim. Rastignac nie mógł tedy długo pozostawać pod ogniem bateryj Vautrin'a, w nieświadomości czy ten człowiek jest jego przyjacielem czy wrogiem. Z każdą chwilą bardziej miał wrażenie iż ta szczególna osobistość przenika jego uczucia i czyta w jego sercu, podczas gdy u niego samego wszystko było tak szczelnie zamknięte, iż zdawał się posiadać nieruchomą głębię sfinksa, który wie, widzi wszystko i nie mówi nic. Czując pełną sakiewkę, Eugeniusz zbuntował się.

— Niech pan będzie łaskaw chwileczkę zaczekać, rzekł do Vautrin'a, który wstał dopiwszy ze smakiem ostatniego łyku kawy.

— Dlaczego? spytał ten, kładąc na głowę kapelusz o szerokich brzegach i ujmując żelazną laskę, którą często robił młyńce jak człowiek nie obawiający się spotkać z napaścią czterech złodziei.

— Chcę panu oddać, odparł Rastignac, który szybko rozwiązał worek i wyliczył sto czterdzieści franków pani Vauquer. Dobre rachunki czynią do-

brych przyjaciół, rzekł do wdowy. Jesteśmy w porządku do św. Sylwestra. Niech mi pani zmieni sto su.

— Dobrzy przyjaciele... tak... dobre rachunki, powtórzył Poiret, patrząc na Vautrin'a.

— Oto pański frank, rzekł Rastignac podając sfinksowi w peruce sztukę srebra.

— Możnaby powiedzieć, że pan się boi być mi winnym cośkolwiek? wykrzyknął Vautrin, zapuszczając jasnowidzące spojrzenie w duszę młodego człowieka i obejmując go równocześnie jednym z tych urągliwych i dyogenicznych uśmiechów, o których Eugeniusz gotował się już pogniewać się sto razy.

— Więc... tak, odparł student, który wziął dwa worki w ręce i wstał aby udać się do siebie.

Vautrin wychodził drzwiami prowadzącemi do salonu, student zaś zwrócił się w stronę drzwi, prowadzących wprost do sieni i na schody.

— Czy pan wie, panie margrabio de Rastignakorama, że to co mówisz nie jest zazbyt uprzejme, rzekł Vautrin, trzaskając drzwiami od salonu i podchodząc ku studentowi który patrzył nań chłodno.

Rastignac zamknął drzwi od jadalni, wyprowadzając z sobą Vautrina do sieni która dzieliła jadalnię od kuchni. Sień ta posiadała drzwi wychodzące na ogród i opatrzone długą szybą opatrzoną kratkami z żelaza. Tam, student rzekł wobec Sylwii, która wynurzyła się z kuchni:

— *Panie* Vautrin, nie jestem margrabią i nie nazywam się Rastignakorama.

— Pobiją się, rzekła panna Michonneau obojętnym tonem.

— Będą się bić! powtórzył Poiret.

— Ale nie, odparła pani Vauquer, gładząc słupek talarów.

— O, o, są tam, idą pod lipy, wykrzyknęła panna Wiktoryna, wstając i patrząc w ogród. A przecież ten biedny pan de Rastignac nic nie zawinił!

— Chodźmy do siebie, dziecko, rzekła pani Couture; te sprawy nas nie obchodzą.

Skoro pani Couture i Wiktoryna wstały, spotkały w drzwiach grubą Sylwię, która im zagrodziła drogę.

— Co się nie dzieje, rzekła. Pan Vautrin powiedział panu Eugeniuszowi: »Chodźmy pogadać trochę!« Poczem, ujął go za ramię i chodzą ot tam, po karczochach.

W tej chwili zjawił się Vautrin.

— Mamo Vauquer, rzekł z uśmiechem, niech się pani nie przeraża, chcę wypróbować pod lipami pistolety.

— Och! panie, rzekła Wiktoryna składając ręce, dlaczego pan chce zabić pana Eugeniusza?

— Nowa historya, rzekł drwiącym tonem, który przyprawił o rumieniec biedną dziewczynę. Milusi chłoptaś z niego, nieprawdaż? dodał. Poddałaś mi myśl. Uszczęśliwię was oboje, moja ślicznotko.

Pani Couture ujęła wychowanicę za rękę i pociągnęła ją mówiąc do ucha:

— Ależ, Wikciu, niepojęta jesteś dziś rano.

— Nie życzę sobie strzelaniny w moim domu,

1 Balzac, Ojciec Goriot, przekład Boy Żeleński i Wolff.

rzekła pani Vauquer. Co panu w głowie, żeby przerażać całe sąsiedztwo i sprowadzić jeszcze policyę?

— No, no, spokojnie, mamo Vauquer, odparł Vautrin. Dobrze już, dobrze, pójdziemy do strzelnicy.

Wrócił do Rastignaca, którego ujął poufale pod ramię.

— Gdybym panu udowodnił, że, na trzydzieści pięć kroków, pakuję pięć razy z rzędu kulę w pikowego asa, toby nie odjęło panu odwagi. Wydajesz mi się cokolwiek passyonat i dałbyś się zastrzelić jak głupiec.

— Cofa się pan, rzekł Eugeniusz.

— Nie drażnij mnie, młodzieńcze, odparł Vautrin. Nie jest zimno dziś rano, usiądźmy sobie, rzekł, wskazując ławki pomalowane na zielono. Tam nikt nas nie usłyszy. Mam z panem do pomówienia. Jesteś dobry chłopczyna, któremu nie życzę nic złego. Lubię cię młodzieńcze, słowo Ołży... (krocset bomb!), słowo Vautrina. Dlaczego cię lubię, zaraz powiem. Tymczasem, znam cię tak dobrze, jakgdybym cię sam spłodził i zaraz ci tego dowiodę. Połóż pan tu swoje worki, rzekł wskazując okrągły stół.

Rastignac położył pieniądze na stole i usiadł wiedziony ciekawością jaką rozwinęła w nim w najwyższym stopniu nagła zmiana zaszła w obejściu tego człowieka, który, po uprzednich pogróżkach, stawiał się teraz niby jego protektorem.

— Byłbyś rad wiedzieć kto jestem, co robiłem albo co robię, ciągnął Vautrin. Jesteś zanadto ciekawy, mój mały. No, no, spokojnie. Usłyszysz lepsze rzeczy! Miałem nieszczęścia. Wysłuchaj najpierw, odpo-

wiesz potem. Oto moje poprzednie życie w trzech słowach. Kto jestem? Vautrin. Co robię? To, co mi się podoba. Mniejsza. Chcesz poznać mój charakter? Jestem dobry z tymi którzy mi czynią dobrze, lub których serce odpowiada mojemu. Tym wszystko wolno, mogą mi deptać po odciskach, bez obawy abym im powiedział: *Strzeż się!* Ale, do stu kaduków! jestem zły jak djabeł z ludźmi którzy mi dokuczają lub którzy mi są niemili. I nie od rzeczy będzie pouczyć cię, że troszczę się o zabicie człowieka, ot, tyle co o to! rzekł spluwając na kilka kroków. Tylko, dokładam starań aby go zabić schludnie, kiedy już koniecznie potrzeba. Jestem to, co nazywacie *artysta*. Czytałem, jak mnie tu widzisz, *Pamiętniki Benwenuta Cellini*, i to w oryginale! Nauczyłem się od tego człowieka — tęgi kawał hultaja! — naśladować Opatrzność, która nas zabija na prawo i lewo, i kochać piękno wszędzie gdzie się znajduje. Czyż to nie jest zresztą ładna partya do rozegrania, być samemu przeciw wszystkim i mieć przewagę? Zastanowiłem się dobrze nad obecnym ustrojem waszego nieładu społecznego. Mój mały, pojedynek, to igraszka dla dzieci, błazeństwo. Kiedy, z dwóch ludzi żyjących, jeden musi zniknąć, trzeba być głupcem aby się spuszczać na przypadek. Pojedynek? orzeł czy reszka, ot, co! Pakuję pięć kul z rzędu w asa pikowego, jedna na drugą, i to o trzydzieści pięć kroków! Kiedy się posiada ten mały talencik, można się spodziewać że się sprzątnie człowieka. I ot, strzelałem się z kimś na dwadzieścia kroków i chybiłem. Hultaj w życiu swojem nie miał w ręku pistoletu. Ot, patrz! rzekł ten niezwykły czło-

wiek rozpinając kamizelkę i pokazując pierś kosmatą jak grzbiet niedźwiedzia, i porośniętą płową szczecią która budziła rodzaj wstrętu połączonego z grozą, ten smarkacz osmalił mi sierć, dodał kładąc palec Rastignaca na dziurze jaką miał w piersi. Ale, w owym czasie, byłem dzieckiem, byłem w twoim wieku, dwadzieścia jeden lat! Wierzyłem jeszcze w coś, w miłość kobiety, w całą pakę głupstw w których ty się jeszcze babrzesz. Bilibyśmy się, nieprawdaż? Mógłbyś mnie zabić. Przypuściwszy że ja znalazłbym się pod ziemią, cóż z tobą? Trzebaby zmykać, jechać do Szwajcaryi, przejadać talary papusia, który ich nie ma do zbytku. Otóż, ja ci objaśnię położenie w jakiem się znajdujesz; ale uczynię to z wysokości człowieka, który, rozpatrzywszy się na tym ziemskim padole, ujrzał iż są jedynie dwie możliwe drogi: albo głupie posłuszeństwo, albo bunt. Ja nie słucham nikogo i niczego, czy to jasne? Czy wiesz ile ci trzeba, przy tem tempie jakie wziąłeś? Milion, i to szybko; inaczej, przy naszej gorącej główce, możemy znaleźć się na dnie Sekwany, pytać o drogę do Pana nad Pany. Ten milion ja ci dam w ręce.

Uczynił pauzę, patrząc na Eugeniusza.

— Ha, ha! lepszem już okiem patrzysz na ojczulka Vautrin. Słysząc to słowo, jesteś jak młoda dziewczyna, której powiedziano: »Dziś wieczór«, i która się stroi oblizując się jak kotek przy mleku. Doskonale. A zatem, porozumiejmy się. Oto twój bilans, młodzieńcze. Posiadamy, tam na wsi, papę, mamę, cioteczną babcię, dwie siostry (ośmnaście i siedmnaście lat), dwóch małych braci (piętnaście i jedenaście)

oto inwentarz gospodarstwa. Ciotka wychowuje panny. Proboszcz daje lekcye łaciny braciom. Rodzina zjada więcej gotowanych kasztanów niż białego chleba, papa oszczędza spodnie, mama zaledwie sprawia jedną suknię w zimie a jedną w lecie, siostry łatają jak mogą. Wiem, wiem, bywałem na Południu. Tym trybem idą rzeczy u was, skoro ci posyłają tysiąc dwieście franków folwarczek zaś przynosi ledwo trzy tysiące. Mamy kucharkę i służącego, trzebaż zachować *decorum*, papa jest baronem! Co do nas, jesteśmy ambitni, mamy krewnych de Beauséant a chodzimy piechotą; chce nam się majątku a nie mamy ani szeląga, jadamy *frykanda* mamy Vauquer a smakowałyby nam obiadki w dzielnicy Saint-Germain, sypiamy na tapczanie a chcielibyśmy pałacu! Nie potępiam twoich chęci. Mieć ambicyę, serdeńko, to dane jest nie każdemu! Spytaj się kobiet, jakich mężczyzn szukają: ambitnych. Ambitni mają lędźwie bardziej krzepkie, krew bogatszą w żelazo, serce gorętsze od serce innych ludzi. A kobieta czuje się tak szczęśliwa i tak piękna w godzinach w których jest silna, że przekłada nad wszystkich ludzi tego który ma olbrzymią siłę, choćby jej groziło niebezpieczeństwo że ta siła ją złamie. Sporządzam inwentarz twoich pragnień, anim postawię ci pytanie. A to pytanie brzmi następująco: Mamy wilczy apetyt, ostre ząbki, w jaki sposób weźmiemy się do rzeczy aby napełnić miskę? Mamy najpierw do schrupania Kodeks: to nie jest zabawne i nie uczy niczego; ale trzeba. Niech będzie. Zdajemy egzamin adwokacki aby zostać sędzią karnym, wysyłać

na galery nieboraków więcej wartych od nas z P. R.[1] na ramieniu, dla dowiedzenia bogaczom że mogą spać spokojnie. To nie wesołe, a przytem djablo długie. Najpierw, dwa lata *obkuwania* w Paryżu, przyglądania się na czczo ananasom na które idzie nam ślinka. To męczące, wciąż pragnąć, nigdy nie mogąc się zaspokoić. Gdybyś był chłopczykiem bladym, z natury mięczaków, nie potrzebowałbyś się niczego obawiać; ale my mamy gorącą krew lwa i apetyt zdolny przyprawić o dwadzieścia głupstw na dzień. Strawisz się tedy w tej męczarni, najokropniejszej ze wszystkich jakie nam pokazano w piekle dobrego Boga. Przypuśćmy że będziesz rozsądny, że będziesz pił mleko i układał elegie; trzeba ci będzie, przy twojej bujnej krwi, zacząć, po wielu przykrościach i prywacyach od których pies by się wściekł, od tego, aby zostać substytutem jakiegoś ciury, w zapadłej dziurze gdzie rząd ciśnie ci tysiąc franków lafy, tak jak się stawia miskę zupy psu rzeźnika. Naszczekuj za złodziejami, pieniaj się za bogacza, wysyłaj na gilotynę tęgich zuchów. Moje uszanowanie! Jeśli nie będziesz miał protekcyi, zgnijesz w trybunale na prowincyi. Około trzydziestego roku, będziesz sędzią z tysiącem dwustoma frankami na rok, jeżeli, do tego czasu, nie śmigniesz togą o sosnę. Skoro dojdziesz do czterdziestki, ożenisz się z córką młynarza, posiadającą jakieś sześć tysięcy franków renty. Padam do nóżek. Miej protekcye, będziesz prokuratorem w trzydziestym roku

[1]) *Przymusowe roboty*, znak jakim piętnowano zbrodniarzy.

z tysiącem talarów płacy i ożenisz się z córką mera. Jeżeli popełnisz parę małych podłostek politycznych, jak naprzykład, wyczytać, na kartce wyborczej: Villèle, zamiast Manuel (rymuje, to uspokaja sumienie), będziesz, w czterdziestym roku, prokuratorem generalnym i możesz zostać posłem. Uważ, drogie dziecko, iż popełniliśmy małe kompromisy z sumieniem, wytrzymaliśmy dwadzieścia lat nudy, tajonych udręczeń, i że siostrzyczki zwiędły tymczasem w staropanieństwie. Mam zaszczyt również zwrócić twoją uwagę, że jest we Francyi tylko dwudziestu generalnych prokuratorów, a jest was dwadzieścia tysięcy kandydatów, pomiędzy którymi znajdują się chwaty gotowe sprzedać własną rodzinę aby wspiąć się o jeden szczebel. Jeżeli to rzemiosło cię mierzi, przyjrzyjmy się czemu innemu. Pan baron de Rastignac chce zostać obrońcą? Och! ślicznie. Trzeba szamotać się przez dziesięć lat, wydawać tysiąc franków miesięcznie, mieć bibliotekę, gabinet, bywać w świecie, całować togi adwokatów aby dostać sprawę, zamiatać trybunał własnym językiem. Gdyby ten fach prowadził do czegoś, nie mówiłbym ani słowa: ale pokaż mi w Paryżu pięciu obrońców, którzy, w pięćdziesiątym roku, zarabiają więcej niż pięćdziesiąt tysięcy rocznie? Ba! nimbym miał wydać duszę na takie spodlenia, wolałbym raczej zostać korsarzem. Zresztą, skąd wziąść pieniędzy? Wszystko to nie jest wesołe. Chcesz się żenić? to znaczy uwiązać sobie kamień u szyi; przytem, jeżeli się ożenisz dla pieniędzy, cóż się stanie z naszem poczuciem honoru, szlachectwem? Raczej zacząć zaraz dziś bunt przeciw ludzkim konwencyom. Toby było nic

płaszczyć się jak wąż przed żoną, lizać nogi teściowej, popełniać nikczemności zdolne przyprawić świnię o wymioty, puach! gdybyś przynajmniej znalazł w tem szczęście. Ale z żoną, którą zaślubisz w ten sposób, będziesz nieszczęśliwy jak kamień w zlewie. Lepiej już wojować z mężczyznami, niż walczyć z własną żoną. Oto rozstajne drogi życia, młodzieńcze, wybieraj. Już wybrałeś: poszedłeś z wizytą do kuzyna de Beauséant i powąchałeś zbytek. Poszedłeś do pani de Restaud, córki ojca Goriot, i zwąchałeś Paryżankę. Tego dnia wróciłeś mając wypisane na czole jedno słowo, które łatwo mi było wyczytać: *Dobić się!* Dobić się za wszelką cenę. »Brawo! pomyślałem sobie, ten zuch mi się podoba«. Potrzeba ci było pieniędzy. Skąd wziąść? Upuściłeś krwi siostrom. Wszyscy bracia *doją* mniej albo więcej siostry. Twoje tysiąc pięćset franków, wyrwane, Bóg wie jak! w kraju gdzie rośnie więcej kasztanów niż srebrnych pięciofrankówek, rozlezą się jak stado maruderów. A potem, cóż poczniesz? będziesz pracował? Praca, pojęta jak ty ją pojmujesz w tej chwili, daje, na stare lata, apartament u mamy Vauquer, dla chwatów w typie Poireta. Szybkie zdobycie fortuny, to problem jaki sobie stawia w tej chwili pięćdziesiąt tysięcy młodych ludzi znajdujących się w twojem położeniu. Jesteś jednostką tej liczby. Osądź jakie wysiłki cię czekają i jak zaciętą będzie walka. Musicie się pozjadać wzajem, niby pająki w garnku, zważywszy że niema pięćdziesięciu tysięcy dobrych posad. Czy wiesz, jak się tutaj dochodzi? Błyskiem geniuszu, albo też zręcznością zepsucia. Trzeba wejść w tę masę ludzi jak kula armatnia, albo wślizgnąć się

między nich jak zaraza. Uczciwość nie zda się na nic. Ludzie uginają się pod władzą geniuszu, nienawidzą go, starają się go spotwarzyć, ponieważ bierze bez podziału; ale uginają się przed nim jeżeli wytrwa; jednem słowem, świat ubóstwia go na kolanach, o ile go nie zdołał zagrzebać w błocie. Zepsucia jest wbród, talent jest rzadki. Dlatego zepsucie jest bronią miernoty, której jest pełno, i wszędzie uczujesz jego ostrze. Ujrzysz kobiety, których mężowie mają, całej parady, sześć tysięcy gaży, a które wydają więcej niż dziesięć tysięcy na stroje. Ujrzysz urzędników po tysiąc dwieście franków pensyi, kupujących majątki. Ujrzysz jak kobiety się prostytuują aby się pokazać w powozie syna para Francyi, który może jechać w Longchamps środkową aleją. Widziałeś, jak ten biedny fujara, ojciec Goriot, zmuszony był zapłacić weksel poręczony przez córkę, której mąż ma pięćdziesiąt tysięcy franków renty. Wyzywam cię, abyś spróbował zrobić dwa kroki w Paryżu, nie natykając się na piekielne machinacye. Stawiłbym w zakład głowę przeciw tej główce sałaty, że wpakujesz się w pasztet u pierwszej kobiety która ci się spodoba, choćby była bogata, młoda i ładna. Wszystkie są omotane przez prawa, w wojnie z mężami dla tej czy owej przyczyny. Nie skończyłbym nigdy, gdyby ci trzeba było tłómaczyć handle jakie one czynią dla kochanka, dla szmatek, dla dzieci, dla domu lub dla próżności, rzadko przez cnotę, możesz być pewny. Toteż, uczciwy człowiek jest wspólnym wrogiem. Ale, jak myślisz, kto jest uczciwym człowiekiem? W Paryżu, uczciwy człowiek to ten który milczy i nie chce iść do działu. Nie

mówię o tych biednych helotach, którzy dźwigają wszędzie mozoły, nigdy nie wynagrodzeni za swą pracę i których nazywam arcybractwem pantofli bożych. Zapewne, tam jest cnota w całym kwiecie swojej głupoty, ale tam jest także nędza. Widzę stąd kwaśną minę tych zacnych ludzi, gdyby Bóg sobie pozwolił na ten lichy koncept i nie pojawił się na sądzie ostatecznym. Jeżeli chcesz tedy rychło dojść do fortuny, trzeba już być bogatym albo bogatego udawać. Aby się tu wzbogacić, trzeba jechać całą parą; inaczej, najniższy sługa! Jeżeli, w stu zawodach których się możesz chwycić, zdarzy się dziesięciu ludzi którym się szybko powiedzie, publiczność nazywa ich złodziejami. Wyciągnij konkluzyę. Oto życie takie jakiem jest. Nie jestto ładniejsze niż kuchnia: tak samo cuchnie, i trzeba sobie powalać ręce jeżeli się chce pitrasić; umiej tylko dobrze się opłukać: w tem cała moralność naszej epoki. Jeżeli mówię tak o świecie, dał mi do tego prawo, znam go. Czy myślisz, że go potępiam? Wcale nie. Zawsze był taki. Moraliści nie zmienią go nigdy. Człowiek nie jest doskonały. Jest niekiedy bardziej albo mniej obłudny; głupcy powiadają wówczas, że jest moralny albo niemoralny. Nie obwiniam bogatych w imię *ludu:* człowiek jest ten sam u góry, w dole, w środku. Znajdzie się, na każdy milion tego ulepszonego bydła, dziesięciu chwatów, którzy się stawiają powyżej wszystkiego, nawet praw; ja należę do nich. Ty, jeżeli jesteś człowiekiem wyższym, idź w linii prostej i z podniesioną głową. Ale trzeba będzie walczyć przeciw zawiści, oszczerstwu, mierności, przeciw całemu światu. Napoleon napotkał

ministra wojny, nazwiskiem Aubry, który omal nie wysłał go do kolonij. Wejdź w siebie! Zastanów się, czy zdołasz budzić się co rano z większą sumą woli niżeli miałeś jej w wilię. Wszystko to wziąwszy pod rozwagę, uczynię ci propozycyę, którejby nikt nie odrzucił. Posłuchaj dobrze. Ja, widzisz, mam pewną myśl. Marzeniem mojem jest pędzić życie patryarchalne pośród wielkiej przestrzeni, jakieś sto tysięcy morgów, naprzykład w Stanach Zjednoczonych, na Południu. Chcę zostać plantatorem, mieć niewolników, zarobić parę ładnych milionów sprzedając woły, tytoń, lasy, żyjąc jak udzielny monarcha, robiąc co mi się podoba, prowadząc życie którego nikt nie pojmuje tutaj, gdzie ludzie zagrzebują się w norach z tynku. Ja jestem wielkim poetą. Nie piszę swoich poezyj: polegają na czynach i uczuciach. W tej chwili, posiadam pięćdziesiąt tysięcy franków, któreby mi dały ledwie pięćdziesięciu murzynów. Potrzeba mi dwustu tysięcy franków, ponieważ chcę mieć dwustu czarnych, aby zadość uczynić swoim upodobaniom do patryarchalnego życia. Murzyni, widzisz, to są nowonarodzone dzieci z któremi robi się co się chce, i żaden wścibski pan prokurator nie przyjdzie żądać z nich rachunku. Z tym czarnym kapitałem, w dziesięć lat będę miał trzy albo cztery miliony. Jeżeli mi się powiedzie, nikt się nie spyta: »Kto jesteś?« Będę pan Cztery Miliony, obywatel Stanów Zjednoczonych. Będę miał pięćdziesiąt lat, nie będę jeszcze strupieszały, użyję sobie życia na swój sposób. W dwóch słowach, jeżeli ci dostarczę posagu w wysokości miliona, czy dasz mi dwieście tysięcy franków? Dwadzieścia od sta komisowego,

hę? czy to nie za drogo? Rozkochasz w sobie młodą żonkę. Raz będąc po ślubie, zdradzisz niepokój, zgryzoty, będziesz udawał smutnego przez dwa tygodnie. Pewnej nocy, po paru takich scenkach, przyznasz się żonie, między dwoma pocałunkami, do dwustu tysięcy długów, mówiąc do niej: »Mój aniele!« Wodwil ten odgrywają codziennie młodzi ludzie najbardziej dystyngowani. Młoda kobieta nie odmawia sakiewki temu który zdobył jej serce. Czy myślisz, że stracisz na tem? Nie. Znajdziesz sposób odbicia swoich dwustu tysięcy franków w jakim interesie. Mając kapitał, i przy twoim sprycie, zrobisz pieniędzy ile sam zapragniesz. *Ergo*, zapewnisz, w ciągu pół roku, szczęście własne, szczęście miłej kobietki, a wreszcie i papy Vautrin, nie licząc swojej rodziny, która, w zimie, chucha w palce, dla braku drzewa na opał. Nie dziw się ani temu co ofiarowuję ani temu o co cię proszę! Na sześćdziesiąt świetnych małżeństw jakie mają miejsce w Paryżu, czterdzieści siedm odbywa się na zasadzie podobnych targów. Izba notaryalna zmusiła pana...

— Co trzeba mi uczynić? rzekł chciwie Eugeniusz, przerywając Vautrinowi.

— Prawie nic, odparł ten człowiek, czyniąc mimowolny ruch radości, podobny do niemego okrzyku rybaka, który czuje rybę na końcu wędki. Słuchaj mnie dobrze! Serce biednej dziewczyny, nieszczęśliwej i ubogiej, jest gąbką najbardziej chciwą wilgoci miłosnej, suchą gąbką która rozszerza się natychmiast, skoro tylko padnie na nią kropla uczucia. Umizgać się do młodej osoby którą się spotka w warunkach samotności, rozpaczy i ubóstwa, kiedy nie przeczuwa w ni-

czem swej przyszłej fortuny! ba! to znaczy mieć cztery tuzy w ręku, to znaczy znać numery na loteryi, znaczy grać na rentę na podstawie pewnych wiadomości. Zbudujesz na tęgich palach niezniszczalne małżeństwo. Niech spadną na młodą dziewczynę miliony, rzuci ci je do stóp tak jakby to były kamyki. »Bierz ukochany! Bierz Adolfie! Bierz Alfredzie! Bierz, Eugeniuszu!« powie, jeżeli Adolf, Alfred lub Eugeniusz miał ten spryt aby się dla niej poświęcić. Poświęceniem np. nazywam sprzedać stare ubranie aby iść pod *Niebieski kompas* zjeść razem naleśniki z grzybkami; stamtąd, wieczorem, do jakiego teatrzyku; zastawić zegarek w Banku pobożnym aby jej ofiarować szal. Nie mówię ci o gryzmołach miłosnych ani o tych błazeństwach na które kobiety są tak łase; jak naprzykład, rozlać kroplę wody na papier w postaci łez kiedy się jest zdala od niej: wyglądasz mi na chłopca, który doskonale się rozumie na gwarze serdecznej. Paryż, widzisz chłopcze, jest niby las Nowego Świata, gdzie porusza się dwadzieścia rodzajów dzikich plemion, Illinoisi, Huronowie, żyjący z produktu jaki dają rozmaite klasy społeczne; ty jesteś łowcą milionów. Aby je chwycić, używasz postępów, zasadzek, przynęt. Są rozmaite rodzaje łowów. Jedni polują na posag; inni na likwidacye; ci łowią sumienia, tamci sprzedają swoich abonentów ze związanemi rękami i nogami. Tego, kto wraca z ładownicą dobrze napełnioną, witają, fetują, przyjmują w dobrem towarzystwie. Oddajmy sprawiedliwość tej gościnnej ziemi, masz do czynienia z miastem najbardziej wyrozumiałem jakie istnieje na świecie. Jeżeli dumne arystokra-

cye innych stolic Europy wzdragają się przyjąć w swoje szeregi bezecnego milionera, Paryż wyciąga doń ramiona, pędzi na jego uczty, zajada obiady i trąca kieliszek z jego bezeceństwem.

— Ale gdzie znaleźć pannę? rzekł Eugeniusz.

— Masz ją przy sobie, pod ręką.

— Wiktoryna?

— Właśnie!

— I jak?

— Już kocha się w tobie młoda pani baronowa de Rastignac!

— Toż ona nie ma ani grosza, rzekł Eugeniusz zdumiony.

— Tum cię czekał! Jeszcze dwa słowa, rzekł Vautrin, i wszystko się wyjaśni. Ojciec Taillefer jest stary łajdak, który, jak szepcą, zamordował ponoś przyjaciela swego w epoce Rewolucyi. To jeden z moich chwatów, którzy wyznają zasady niepodległości. Jest bankierem, głównym wspólnikiem domu *Fryderyk Taillefer i Spółka*. Ma jedynego syna, któremu chce zostawić majątek, ze szkodą Wiktoryny. Co do mnie, nie lubię tego rodzaju niesprawiedliwości. Jestem jak don Kiszot, rad biorę w obronę słabszego przed silnym. Gdyby wolą Boga było zabrać mu tego syna, Taillefer przygarnąłby córkę; chciałby mieć jakiegoś spadkobiercę — ot, głupstwo, które tkwi w naturze — a nie może już mieć dzieci, wiem o tem. Wiktoryna jest słodka i miła, omotałaby niebawem ojca, kręciłaby nim jak bąkiem zapomocą bacika uczucia! Miłość twoja zapadnie jej zbyt głęboko w serce, aby cię mogła zapomnieć, ożenisz się z nią. Ja podejmuję się

roli Opatrzności, spełnię wolę dobrego Boga. Mam przyjaciela, za którego się poświęciłem, pułkownika armii Loapy, obecnie w gwardyi królewskiej. Słucha moich rad i zrobił się ultra-rojalistą: nie należy do tych głupców, którym zależy na przekonaniach. Jeżeli mogę ci dać jeszcze jedną radę, mój aniołku, to abyś nie większą przywiązywał wagę do swoich przekonań co do słów. Kiedy znajdziesz na nie popyt, sprzedaj je. Człowiek, który się chwali iż nigdy nie zmienił mniemania, to człowiek który podejmuje się iść zawsze linią prostą, głupiec wierzący w nieomylność. Niema zasad, są tylko wypadki; niema praw, są tylko okoliczności: człowiek wyższy chwyta w ręce wypadki i okoliczności aby nimi kierować. Gdyby istniały stałe zasady i prawa, ludy nie zmieniałyby ich tak jak zmienia się koszulę. Jednostka nie ma obowiązku być cnotliwsza niż cały naród. Człowiek, który najmniej oddał usług Francyi, jest fetyszem wenerowanym za to, iż zawsze widział wszystko na czerwono; nadaje się, co najwyżej, aby go pomieścić w Muzeum pomiędzy staremi machinami, pod etykietką *La Fayette;* podczas gdy książę, na którego każdy rzuca kamieniem i który dosyć gardzi ludzkością aby jej pluć w twarz tyle przysiąg ile ich odeń wymaga, zapobiegł podziałowi Francyi na Kongresie Wiedeńskim; powinnoby mu się sypać wieńce, obrzuca się go błotem. Och! ja znam politykę! znam! posiadam tajemnice wielu ludzi. Dość o tem. Będę miał mniemania niewzruszone w dniu w którym spotkam trzy głowy zgodne co do zastosowania danej zasady, a będę długo czekał! Nie znajdzie się w trybunałach trzech sędziów,

katórzyby byli tego samego zdania co do paragrafu kodeksu. Wracam do mego pułkownika. Przybiłby z powrotem Jezusa Chrystusa na krzyż, gdybym mu kazał. Na jedno słowo ojczulka Vautrin, poszuka zwady z tym nicpotem, który nie posyła ani pięciu franków siostrze, i...

Tutaj, Vautrin wstał, ustawił się w pozycyi i uczynił ruch fechmistrza który zadaje cios.

— I w ziemię! dodał.

— Cóż za ohyda! rzekł Eugeniusz. Pan żartuje, nieprawdaż, panie Vautrin?

— Ta ta ta, spokojnie, odparł ten człowiek. Nie rób dziecka; a zresztą, jeżeli cię to bawi, gniewaj się, oburzaj! Powiedz, że jestem bezecnik, zbrodniarz, łajdak, bandyta, ale nie nazywaj mnie oszustem ani szpiegiem! No, gadaj, ulżyj sobie! Przebaczam ci, to tak naturalne w twoim wieku! I ja byłem taki! Ale zastanów się. Zrobisz kiedyś gorzej. Pójdziesz bałamucić się z jaką ładną panią i weźmiesz od niej pieniądze. Myślałeś już o tem! rzekł Vautrin; jakże bowiem zdołałbyś wypłynąć, jeżeli nie wybijesz monety ze swojej miłości? Cnota, mój drogi panie studencie, nie da się dzielić na kawałki: albo jest, albo jej niema. Mówią nam o pokutowaniu za winy. Też ładny system, dzięki któremu nie można się skwitować ze zbrodni zapomocą aktu skruchy! Uwieść kobietę, aby, z jej pomocą, wspiąć się na jakiś szczebel drabiny społecznej, zasiać niesnaski pomiędzy dzieci jednej rodziny, słowem wszystkie bezeceństwa jakie się praktykuje pod okapem kominka lub gdzieindziej dla przyjemności lub osobistego interesu, czy myślisz że to są akty

W ognisku domowym

wiary, nadziei i miłości? Dlaczego dwa miesiące aresztu dandysowi, który, w ciągu jednej nocy, wydziera dziecku połowę majątku, a galery biednemu chłopcu, który ukradnie banknot tysiącfrankowy wśród obciążających okoliczności? Oto wasze prawa. Niema w nich ani jednego paragrafu, któryby nie prowadził do absurdu. Elegant w żółtych rękawiczkach i o słodkich słówkach popełnił morderstwa w których nie wytacza się krwi ale się ją daje; morderca otworzył drzwi wytrychem: ot, nocne sprawki! Między tem co ci poddaję a tem co uczynisz kiedyś, różnica jest tylko w przelewie krwi. Ty wierzysz w coś stałego na tym świecie! Pogardzaj-że ludźmi i szukaj oczek któremi można przejść przez sieć kodeksu. Tajemnicą wielkich fortun bez jawnego źródła jest zawsze jakaś zbrodnia, zapomniana, ponieważ wykonano ją przyzwoicie.

— Milcz pan! nie chcę więcej słyszeć, kazałby mi pan zwątpić o samym sobie. W tej chwili, uczucie jest całą moją wiedzą.

— Jak ci się podoba, piękne dziecię. Uważałem cię za mocniejszego, rzekł Vautrin, nic już nie powiem. Jeszcze tylko jedno słowo.

Popatrzył bystro na studenta:

— Masz moją tajemnicę, rzekł.

— Młody człowiek który odmawia panu współudziału, potrafi ją zapomnieć.

— Dobrze to powiedziałeś, cieszy mnie to. Inny, widzisz, mógłby być mniej skrupulatny. Pamiętaj o tem co chcę dla ciebie uczynić. Daję ci dwa tygodnie czasu. Masz wóz albo przewóz.

— Cóż za łeb z żelaza u tego człowieka! rzekł sobie Rastignac, widząc jak Vautrin oddala się spokojnie z laską pod pachą. Powiedział bez ogródek to, co pani de Beauséant mówiła w delikatnej formie. Darł mi serce pazurami ze stali. Pocóż chcę dostać się do pani de Nucingen? Odgadł moje pobudki, zaledwie je powziąłem. W dwóch słowach ten opryszek powiedział więcej o cnocie, niż dotąd powiedziały mi książki i ludzie. Jeżeli cnota nie znosi kompromisu, zatem okradłem siostry? rzekł rzucając worki na stół.

Usiadł i trwał pogrążony w oszałamiającej zadumie.

— Być wiernym cnocie, wzniosłe męczeństwo! Ba! cały świat wierzy w cnotę, ale kto jest cnotliwy? Ludy mają za bóstwo wolność; ale gdzie jest wolny lud na ziemi? Młodość moja jest jeszcze błękitna jak niebo bez chmur; chcieć być wielkim lub bogatym, czyż to nie znaczy skazywać się na to aby kłamać, giąć się, pełzać, piąć, pochlebiać, udawać? czy nie znaczy godzić się zostać lokajem tych którzy kłamali, gięli się, pełzali? Nim się będzie ich wspólnikiem, trzeba im służyć. Otóż nie. Chcę pracować szlachetnie, święcie; chcę pracować dzień i noc, zawdzięczać los tylko własnym trudom. Będzie to nader powolna droga, ale każdego dnia, głowa moja spocznie na poduszce bez jednej złej myśli. Cóż może być piękniejszego jak spojrzeć na swoje życie i ujrzeć je czystem jak lilia? Ja i życie, jesteśmy niby młodzian i jego oblubienica. Vautrin ukazał mi to, co się dzieje po dziesięciu latach małżeństwa. Do djabła! w głowie mi się mąci.

Nie chcę myśleć o niczem, serce jest dobrym przewodnikiem.

Zadumę Eugeniusza przerwał gruby głos Sylwii, która oznajmiła krawca. Eugeniusz ukazał się jego oczom trzymając w rękach dwa worki srebra: nie był nierad z tej okoliczności. Skoro przymierzył stroje wieczorowe, przywdział nowy kostyum poranny który go przeobrażał zupełnie. .

— Wart jestem conajmniej tyle co pan de Trailles, rzekł. Wyglądam wreszcie na szlachcica!

— Proszę pana, rzekł ojciec Goriot, wchodząc do Eugeniusza, pytał mnie pan czy wiem w jakich domach bywa pani de Nucingen?

— Tak.

— Otóż, w najbliższy poniedziałek, wybiera się na bal do marszałka Carigliano. Jeżeli pan będzie mógł się tam dostać, opowie mi pan czy moje córuchny dobrze się bawiły, jak były ubrane, słowem wszystko.

— Jak się pan dowiedział o tem, mój dobry ojcze Goriot? rzekł Eugeniusz, sadząc go przy ogniu.

— Pokojówka mi powiedziała. Wiem o wszystkiem co one robią przez Teresę i Konstancyę, dodał z radosną miną.

Starzec podobny był do kochanka, dość młodego jeszcze aby się cieszyć z podstępu, który pozwala mu się zbliżyć do ubóstwianej bez jej wiedzy.

— Pan je zobaczy! rzekł dając naiwny wyraz zazdrosnej ochocie.

— Nie wiem, odparł Eugeniusz. Pójdę do pani

de Beauséant zapytać czy może mnie wprowadzić do marszałkowej.

Eugeniusz myślał z tajemną radością o tem, iż pokaże się wicehrabinie ubrany tak jak będzie się ubierał odtąd. To, co moraliści nazywają przepaściami ludzkiego serca, to jedynie obłudne myśli, mimowolne drgnienia osobistego interesu. Te perypetye, przedmiot tylu deklamacyj, te nagłe zwroty, to rachuby czynione na rzecz naszych przyjemności. Widząc się dobrze ubranym, wykwintnie obutym, w świeżych rękawiczkach, Rastignac zapomniał o swojem cnotliwem postanowieniu. Młodość nie śmie się przeglądać w zwierciedle sumienia wówczas kiedy chyli się na stronę nieprawości, podczas gdy wiek dojrzały się w niem widział: w tem leży cała różnica tych dwóch okresów życia. Od kilku dni, dwaj sąsiedzi, Eugeniusz i ojciec Goriot, zbliżyli się do siebie. Tajemna ich przyjaźń płynęła z tych samych przyczyn psychologicznych, jakie zrodziły przeciwne uczucia między Vautrinem a studentem. Śmiały filozof, który zechce stwierdzić objawy naszych uczuć w świecie fizycznym, znajdzie z pewnością niejeden dowód ich istotnej *materyalności* w stosunkach jakie wytwarzają między nami a zwierzętami. Któryż fizyognomista zdoła szybciej przeniknąć dany charakter niż pies umie odgadnąć czy nieznajomy człowiek lubi go lub nie? *Powinowactwo atomów*, przysłowiowe wyrażenie którem każdy się posługuje, jest jednym z tych faktów które utrwalają się w języku aby przeczyć niedorzecznościom filozoficznym jakiemi zajmują się ludzie lubiący przesiewać puste słowa. Człowiek czuje się kochanym. Uczucie

wyciska się we wszystkich rzeczach i przebiega przestrzeń. List jest duszą, jest tak wiernym obrazem głosu, który mówi, iż delikatne natury liczą go pomiędzy najbogatsze skarby miłości. Ojciec Goriot, którego instynkt uczucia wznosił aż do wyżyn natury psiej, zwęszył współczucie, pełną podziwu dobroć, młodzieńcze sympatye jakie zbudziły się dla niego w sercu studenta. Jednakże, ta rodząca się spójnia nie sprowadziła jeszcze żadnego zwierzenia. Jeżeli Eugeniusz objawił chęć widzenia pani de Nucingen, to nie dlatego aby liczył na to iż starzec wprowadzi go do niej, ale spodziewał się, iż jakaś mimowolna wskazówka posłuży mu w tej mierze. Ojciec Goriot mówił z nim o córkach jedynie w związku z tem co on sam pozwolił sobie powiedzieć publicznie w dniu swoich dwóch wizyt.

— Mój drogi panie, rzekł nazajutrz, jak pan mógł uwierzyć, iż pani de Restaud miała ci za złe to żeś wymówił moje nazwisko? Obie córki kochają mnie szczerze. Jestem szczęśliwym ojcem. Jedynie zięciowie zachowali się wobec mnie niegodziwie. Nie chciałem dręczyć drogich istotek dochodząc moich nieporozumień z tymi panami, wolę tedy widywać je pokryjomu. Tajemnica ta daje mi tysiące przyjemności, jakich nie znają inni ojcowie mogący widywać córki kiedy zechcą. Ja nie mogę, rozumie pan? Idę tedy, kiedy jest ładna pogoda, na Pola Elizejskie, dowiedziawszy się od panien służących czy córki wyjeżdżają na spacer. Czekam na nie w przejeździe, serce mi bije kiedy pojazdy się zbliżają, podziwiam ich stroje, rzucają mi w przelocie uśmiech, który złoci mi cały

świat, jakgdyby padł na niego promień jakiegoś cudnego słońca. I stoję dalej, czekam aż będą wracać. Widzę je znowu! powietrze dobrze im zrobiło, poróżowiały. Słyszę jak mówią koło mnie: »Cóż za śliczna kobieta!« To mi rozgrzewa serce. Czyż to nie moja krew! Kocham konie które je ciągną, chciałbym być małym pieskiem którego mają na kolanach. Żyję ich przyjemnościami. Każdy kocha na swój sposób, mój nie czyni krzywdy nikomu, dlaczegóż tedy świat mną się zajmuje? Jestem szczęśliwy jak umiem. Czyż to jest co sprzecznego z prawem, że idę oglądać córki wieczór, w chwili gdy wyjeżdżają z domu aby udać się na bal? Cóż za zgryzota dla mnie, kiedy przybędę zapóźno i usłyszę: »Pani już wyjechała!« Jednego razu, czekałem do trzeciej rano, aby ujrzeć Nasieńkę, której nie widziałem od dwóch dni. Myślałem że padnę ze szczęścia! Proszę pana, jeżeli wspomnisz komuś o mnie, to tylko poto aby mówić jakie moje córki są dobre. Chcą mnie obsypywać wszelkiego rodzaju podarkami; ja im nie pozwalam, mówię: »Schowajcież swoje pieniądze! Co wy chcecie abym z tem robił? Nie trzeba mi niczego«. W istocie, drogi panie, co ja jestem? Nędzny trup, którego dusza jest wszędzie tam, gdzie są moje córki. Kiedy poznasz panią de Nucingen, powiesz mi którą wolisz, rzekł poczciwiec po chwili milczenia, widząc że Eugeniusz gotuje się do wyjścia aby się przejść po Tuilleryach w oczekiwaniu pory gdy będzie mógł się udać do pani de Beauséant.

Przechadzka ta stała się zgubą studenta. Kilka kobiet zwróciło nań uwagę. Był tak piękny, tak młody, wykwintny w tak dobrym smaku! Widząc się przed-

miotem uwagi graniczącej niemal z podziwem, zapomniał o obrabowanych siostrach i ciotce, jak również o możliwych skrupułach. Ujrzał przelatującego nad głową demona, którego tak łatwo wziąść za anioła, owego Szatana o wielobarwnych skrzydłach, który sieje rubiny, rzucą swoje złote strzały na frontony pałaców, barwi purpurą kobiety, odziewa niedorzecznym blaskiem trony, tak proste w swoich początkach; usłyszał boga tej hałaśliwej próżności, którego brzęk wydaje się nam symbolem potęgi. Słowa Vautrina, mimo całego ich cynizmu, usadowiły się w jego sercu, tak jak w pamięci dziewicy ryje się nikczemny profil starej stręczycielki, która szepce: »Złota i miłości strumieniami!« Po długiej chwili leniwego wałęsania, około piątej, Eugeniusz zjawił się u pani de Beauséant; otrzymał tam jeden z owych straszliwych ciosów, przeciw którym młode serca są bez obrony. Dotąd, zawsze widział wicehrabinę pełną tej lubej uprzejmości, tego miodopłynnego wdzięku jaki daje arystokratyczne wychowanie, a który jest zupełny jedynie wtedy kiedy płynie z serca.

Na jego widok, pani de Beauséant uczyniła niechętny gest i rzekła sucho:

— Panie de Rastignac, niepodobna mi przyjąć pana, w tej chwili przynajmniej! jestem zajęta...

Dla obserwatora, a Rastignac stał się nim rychło, to zdanie, gest, spojrzenie, ton głosu, były historyą charakteru i nawyków kasty. Ujrzał żelazną rękę pod aksamitną rękawiczką; egotyzm, samolubstwo pod światową formą, drzewo pod lakierem. Usłyszał wreszcie owo MY, KRÓL, które zaczyna się pod

baldachimem tronu, a kończy pod strzechą ostatniego szlachetki. Eugeniusz zanadto łatwo uwierzył, na jej słowo, w szlachetność kobiety. Jak wszyscy wydziedziczeni, podpisał, w dobrej wierze, rozkoszny pakt, jaki powinien łączyć dobroczyńcę z obdarowanym, i którego pierwszy punkt uświęca między wielkiemi sercami zupełną równość. Dobrodziejstwo, które zespala dwie istoty w jedną, jest uczuciem równie niebiańskiem jak niezrozumianem, równie rzadkiem jak rzadką jest prawdziwa miłość. Jedno i drugie jest pozrzutnością pięknych dusz. Rastignac chciał dostać się na bal do księżnej de Carigliano, przełknął tę burzę.

— Pani, rzekł wzruszonym głosem, gdyby nie chodziło o ważną rzecz, nie ośmieliłbym się jej narzucać; niech pani będzie tak łaskawa i pozwoli mi odwiedzić się później, zaczekam.

— Więc dobrze, niech pan przyjdzie zjeść obiad ze mną, rzekła nieco zawstydzona twardością z jaką wyrzekła poprzednie słowa; była to bowiem kobieta naprawdę równie dobra jak wielka.

Mimo iż ujęty tą nagłą przemianą, Eugeniusz powiadał sobie odchodząc:

— Pełzaj, znoś wszystko. Jacy muszą być inni, jeżeli, w jednej chwili, najlepsza z kobiet przekreśla obietnice przyjaźni i rzuca cię, ot, jak stary trzewik? Każdy dla siebie zatem? To prawda, że jej dom to nie sklep: tem gorzej dla mnie, że jej potrzebuję. Trzeba, jak powiada Vautrin, uczynić się kulą armatnią.

Gorzkie rozmyślania studenta rozprószyły się rychło pod wpływem przyjemności jaką mu sprawiała

nadzieja obiadu u wicehrabiny. Tak, jakby przez jakąś fatalność, wszystkie wydarzenia życia spiknęły się aby go pchać w szranki, w których, wedle przepowiedni straszliwego sfinksa z gospody Vauquer, trzeba mu było, jak na polu bitwy, zabijać aby nie być zabitym, oszukiwać aby nie być oszukanym; gdzie miał, u wrót, złożyć swoje sumienie, serce, włożyć maskę, deptać bez litości po ludziach, i, jak w Sparcie, chwytać fortunę chyłkiem aby zdobyć wieniec. Skoro wrócił do wicehrabiny znalazł ją pełną tej miłej dobroci jaką mu zawsze okazywała. Oboje przeszli do jadalni, gdzie wicehrabia oczekiwał żony i gdzie lśnił ten zbytek stołu, który, za Restauracyi, doprowadzono, jak wiadomo, do najwyższego stopnia. P. de Beauséant, podobnie jak wielu ludzi przeżytych, nie miał już innych uciech prócz rozkoszy dobrej kuchni; był, pod względem smakoszostwa ze szkoły Ludwika XVIII i księcia d'Escars. Stół jego błyszczał tedy podwójnym zbytkiem, treści i formy. Nigdy podobne widowisko nie olśniło oczu Eugeniusza, po raz pierwszy obiadującego w jednym z tych domów w których przepych społeczny są dziedzicznym spadkiem. Moda zniosła od niedawna wieczerze kończące niegdyś bale Cesarstwa: wieczerze, których wojskowi potrzebowali, aby nabrać w nich sił do wszystkich walk, jakie czekały ich zewnątrz i wewnątrz. Eugeniusz uczestniczył dotąd jedynie w balach. Tupet, który był później jego tak wybitną cechą i którego zaczynał nabierać, powstrzymał go od objawów niezgrabnego podziwu. Ale, widząc te rzeźbione srebra i tysiąc wykwintów wspaniałego stołu, podziwiając pierwszy raz

obsługę bez hałasu, nie mógł, jako człowiek gorącej wyobraźni, nie przełożyć tego życia ustawnie wytwornego nad życie wyrzeczeń, jakiemu chciał poświęcić się rano. Przeniósł się na chwilę myślą do swej gospody; uczuł tak gwałtowną odrazę, iż poprzysiągł sobie opuścić ją w styczniu, zarówno dlatego aby się umieścić w przyzwoitym domu, co aby uciec przed Vautrinem, którego szeroką dłoń czuł na ramieniu. Jeżeli się pomyśli o tysiącu form jakie przybiera w Paryżu zepsucie, głośne lub nieme, myślący człowiek zastanawia się, jakim cudem Państwo zakłada szkoły, skupia w nich młodych ludzi, w jaki sposób szanują się tam ładne kobiety, i jakim cudem złoto wystawione w oknach kantorów nie ulatnia się magicznie z miseczek. Ale, jeżeli się pomyśli iż mało jest przykładów zbrodni a nawet przestępstw popełnianych przez młodych ludzi, jakiż szacunek powinnoby się odczuwać dla tych cierpliwych Tantalów, którzy walczą z samymi sobą i prawie zawsze wychodzą z walki zwycięzko! Gdyby dobrze odmalować ubogiego studenta w walce z Paryżem, byłby to może jeden z najbardziej dramatycznych tematów nowoczesnej cywilizacyi. Pani de Beauséant napróżno spoglądała na Eugeniusza aby go zachęcić do rozmowy, nic nie mógł z siebie wycisnąć w obecności wicehrabiego.

— Czy odwieziesz mnie dziś wieczór do *Włoskiego?* spytała wicehrabina męża.

— Nie możesz wątpić o przyjemności z jaką pragnąłbym ci być posłuszny, odparł z drwiącą rycerskością, którą student dał się oszukać; ale mam się z kimś spotkać w *Rozmaitościach*.

— Ze swą kochanką, pomyślała.

— P. d'Ajuda nie towarzyszy ci dziś wieczór? spytał wicehrabia.

— Nie, odparła niechętnie.

— Zatem, jeżeli koniecznie potrzeba ci męzkiego ramienia, poproś pana de Rastignac.

Wicehrabina popatrzyła na Eugeniusza z uśmiechem.

— To będzie dla pana bardzo kompromitujące, rzekła.

— *Francuz kocha niebezpieczeństwo, ponieważ widzi w niem chwałę,* powiedział p. de Chateaubriand, odparł Rastignac z ukłonem.

W kilka chwil później, znalazł się obok pani de Beauséant w szybkim pojeździe który go unosił do modnego teatru. Miał wrażenie jakiejś feeryi, skoro wszedł do loży naprzeciw sceny, i skoro ujrzał się celem wszystkich lornetek, wraz z wicehrabiną, która miała zachwycającą tualetę. Kroczył z czarów w czary.

— Miał pan ze mną do pomówienia, rzekła pani de Beauséant. O, niech pan patrzy, oto pani de Nucingen o trzy loże od nas. Siostra jej i p. de Trailles są po drugiej stronie.

Mówiąc te słowa, wicehrabina patrzała na lożę w której miała być panna de Rochefide; nie ujrzawszy w niej pana d'Ajuda, rozpromieniła się osobliwym blaskiem.

— Urocza jest, rzekł Eugeniusz, przyjrzawszy się pani de Nucingen.

— Ma białe rzęsy.

— Tak, ale jaka ładna, smukła kibić!

— Ma grube ręce.

— Śliczne oczy!

— Twarz ma podługowatą.

— Ależ podłużny kształt jest znamieniem dystynkcyi.

— Szczęście dla niej, że ma ją choć w tem. Niech pan patrzy, jak ona ujmuje i opuszcza lornetkę! Goriot przebija w każdym ruchu, rzekła wicehrabina ku wielkiemu zdziwieniu Eugeniusza.

W istocie, pani de Beauséant lornetowała salę i zdawała się nie zwracać uwagi na panią de Nucingen, nie tracąc, mimo to, ani jednego jej ruchu. Publiczność była niezwykle świetna. Delfina de Nucingen odczuwała nielada zadowolenie że zajmuje tak wyłącznie młodego, pięknego, wytwornego kuzyna pani de Beauséant; Eugeniusz patrzył tylko na nią.

— Jeżeli pan będzie nadal pożerał ją spojrzeniem, wywoła pan skandal, panie de Rastignac. Do niczego pan nie dojdzie, narzucając się w ten sposób ludziom.

— Droga kuzynko, rzekł Eugeniusz, dałaś mi już wiele dowodów dobroci; jeżeli chcesz dokończyć dzieła, proszę jeszcze tylko o oddanie jednej usługi, która tobie sprawi bardzo mało kłopotu a mnie uczyni wiele dobrego. Jestem zakochany.

— Już?

— Tak.

— W tej kobiecie?

— Czyż moich pragnień wysłuchałoby gdzieindziej, rzekł, obejmując przenikliwem spojrzeniem wicehrabinę. Pani de Carigliano jest bardzo serdecznie od-

dana księżnej de Berri, dodał po pauzie; z pewnością bywa pani u niej; gdyby pani zechciała być tak dobra i przedstawić mnie jej, oraz wprowadzić na bal jaki daje w poniedziałek! Spotkam tam panią de Nucingen i wydam pierwszą potyczkę.

— Chętnie, odparła. Jeżeli już czujesz do niej sympatyę, pańskie sprawy sercowe stoją doskonale. Oto de Marsay wszedł do loży księżnej Galathionne. Pani de Nucingen jest na torturach, wścieka się. Niema lepszego momentu aby zbliżyć się do kobiety, zwłaszcza żony bankiera. Te panie z Chaussée d'Antin wszystkie lubią zemstę.

— A co pani uczyniłaby w podobnym wypadku?

— Ja cierpiałabym w milczeniu.

W tej chwili, margrabia d'Ajuda zjawił się w loży pani de Beauséant.

— Zaniedbałem wszystkie sprawy aby stawić się u pani, rzekł; mówię poprostu jak jest, aby to nie było poświęceniem.

Promienie strzelające z twarzy wicehrabiny nauczyły Eugeniusza poznawać wyraz prawdziwego uczucia i nie mięszać go z mizdrzeniami paryzkiej zalotności. Zdjęty podziwem dla kuzynki zamilkł i ustąpił miejsca panu d'Ajuda, wzdychając.

— Co za szlachetną, szczytną istotą jest kobieta, która kocha w ten sposób! pomyślał. I ten człowiek miałby ją zdradzić dla lalki! w jaki sposób można ją zdradzić?

Uczuł w sercu dziecinną wściekłość. Byłby chciał upaść do stóp pani de Beauséant, pragnął mocy demonów aby unieść ją do swego serca, tak jak orzeł

unosi z równiny do gniazda młode białe koźlę, jeszcze przy piersi. Czuł się upokorzony, iż, w tem wielkiem Muzeum piękności, nie posiada swego obrazu, własnej kochanki.

— Mieć kochankę i pozycyę niby królewską, mówił sobie, to znak potęgi.

I spojrzał na panią de Nucingen, tak jak człowiek znieważony spogląda na przeciwnika. Wicehrabina obróciła się ku Eugeniuszowi, aby mu przesłać za jego dyskrecyę tysiąc podziękowań w jednem spojrzeniu. Pierwszy akt skończył się.

— Czy zna pan na tyle panią de Nucingen, aby jej przedstawić pana de Rastignac? rzekła do margrabiego d'Ajuda.

— Ależ będzie zachwycona, rzekł margrabia.

Piękny Portugalczyk wstał, ujął pod ramię studenta, który, w mgnieniu oka, znalazł się przed panią de Nucingen.

— Pani Baronowo, rzekł margrabia, mam zaszczyt przedstawić kawalera Eugeniusza de Rastignac, kuzyna wicehrabiny de Beauséant. Robi pani na nim tak żywe wrażenie, iż chciałem dopełnić szczęścia kawalera, zbliżając go do jego bóstwa.

Słowa te wypowiedziane były z odcieniem żartobliwym, pokrywającym ich myśl cokolwiek brutalną, ale którą, dobrze osłonięta, nie jest nigdy niemiła kobiecie. Pani de Nucingen uśmiechnęła się i wskazała Eugeniuszowi miejsce męża, który właśnie wyszedł.

— Nie śmiem pana zapraszać aby pan został w loży, rzekła. Kiedy kto ma szczęście być z panią de Beauséant, nie opuszcza jej.

— Ależ, rzekł po cichu Eugeniusz, zdaje mi się, pani, że, jeżeli zechcę być uprzejmym wobec kuzynki, zostanę tutaj. — Przed przybyciem pana margrabiego, mówiliśmy o pani i o dystynkcyi całej jej osoby, dodał głośno.

P. d'Ajuda pożegnał się.

— Doprawdy, panie, rzekła baronowa, zostanie pan ze mną? Zaznajomimy się tedy; pani de Restaud obudziła już we mnie nader żywą ochotę poznania pana.

— Jest zatem bardzo fałszywa: zamknęła mi bowiem drzwi swego domu.

— Jakto?

— Pani, czuję się w obowiązku wyjawić pani przyczynę: ale proszę o całą pobłażliwość, zdradzając podobny sekret. Jestem sąsiadem pani szanownego ojca. Nie wiedziałem, że pani de Restaud jest jego córką. Miałem tę nieostrożność, iż wspomniałem o nim bardzo niewinnie, i ściągnąłem na siebie gniew pani siostry i jej męża. Nie uwierzyłaby pani, jak bardzo księżnej de Langeais i mojej kuzynce wydała się w złym guście ta apostazya. Opowiedziałem im tę scenę, śmiały się jak szalone. Wówczas-to, czyniąc porównanie między panią a siostrą, pani de Beauséant wspomniała mi o pani w bardzo pochlebnych słowach, i opowiedziała do jakiego stopnia pani jest dobra dla mego sąsiada, pana Goriot. W jaki sposób, w istocie, mogłaby go pani nie kochać? Ubóstwia panią tak namiętnie, że już czuję się o niego zazdrosny. Mówiliśmy o pani dziś rano przez dwie godziny. Następnie, cały pełen tego co pani ojciec mi opowiedział, dziś

wieczór, obiadując u kuzynki, rzekłem iż uroda pani nie może dorównywać twemu sercu. Zapewne chcąc przyjść w pomoc tak gorącemu uwielbieniu, pani de Beauséant przyprowadziła mnie tutaj, mówiąc mi, ze swoim zwykłym wdziękiem, iż panią tu ujrzę.

— Jakto, panie, rzekła żona bankiera, już panu winna jestem wdzięczność? Jeszcze trochę, a staniemy się starymi przyjaciółmi.

— Mimo że przyjaźń musi być, w stosunku do pani, niebanalnem uczuciem, rzekł Rastignac, nie chcę być nigdy pani przyjacielem.

Te stereotypowe głupstwa na użytek początkujących wydają się zawsze urocze kobietom i chłodne są jedynie w czytaniu. Gest, akcent, spojrzenie młodego człowieka dają im nieobliczalną wartość. Rastignac wydał się pani de Nucingen czarujący. Następnie, jak wszystkie kobiety, nie mogąc nic rzec na kwestyę tak jasno postawioną, odpowiedziała na co innego.

— Tak, siostra szkodzi sama sobie, obchodząc się w ten sposób z biednym ojcem, który w istocie był dla nas dobry jak anioł. Trzeba było aby p. de Nucingen formalnie mi zakazał widywać ojca inaczej niż rano, abym ustąpiła w tej mierze. Ale, przez długi czas, byłam bardzo nieszczęśliwa. Płakałam. Ta przemoc, która przyszła po brutalnościach małżeństwa, była jedną z przyczyn, które najbardziej zamąciły moje pożycie. Jestem, z pewnością, ze wszystkich kobiet w Paryżu, najszczęśliwszą w oczach świata, najnieszczęśliwszą w rzeczywistości. Będzie mnie pan uważał za szaloną, iż mówię do pana w ten spo-

sób. Ale pan zna mego ojca, i, z tego tytułu, nie mogę pana uważać za obcego.

— Nie spotka pani nikogo, odparł Eugeniusz, któby był ożywiony gorętszem pragnieniem poświęcenia pani życia. Czegóż szukacie wszystkie? Szczęścia, odparł głosem wnikającym do duszy. Otóż, jeżeli, dla kobiety, jest szczęściem czuć się kochaną, ubóstwianą, mieć przyjaciela któremu może zwierzyć pragnienia, fantazye, zgryzoty, radości; ukazać się w nagości swej duszy, ze swemi ładnemi wadami i pięknymi przymiotami, bez obawy iż będzie zdradzona; wierzaj mi, pani, to serce oddane, zawsze gorące, może pani znaleźć tylko u człowieka młodego, pełnego złudzeń, który potrafi umrzeć na najlżejszy znak pani, który nie wie jeszcze nic o świecie i nie chce nic wiedzieć, ponieważ pani staje się światem dla niego. Ja, widzi pani, będzie się pani śmiała z mojej naiwności, przybywam, zupełnie świeży, z głębi prowincyi, gdzie znałem jedynie piękne dusze: myślałem, iż przyjdzie mi żyć bez miłości. Zdarzyło mi się ujrzeć mą kuzynkę, która pomieściła mnie zbyt blizko swego serca, dała mi odgadnąć tysiące skarbów miłości; jestem, jak Cherubin, rozkochany we wszystkich kobietach, w oczekiwaniu aż będę się mógł poświęcić jednej. Na widok pani, kiedy wszedłem, uczułem niby jakiś prąd pociąga mnie ku pani. Tyle już myślałem o pani! Ale nie marzyłem abyś była równie piękną jak jesteś w rzeczywistości. Pani de Beauséant zabroniła mi tak wciąż na panią patrzyć. Nie wie, jaki jest w tem urok aby oglądać te ładne różowe wargi, tę białą płeć, te oczy

tak słodkie... I ja także mówię pani szaleństwa, ale niech pani pozwoli mi je mówić...

Nic nie sprawia tyle przyjemności kobietom, co kiedy słyszą zwrócone do siebie te słodkie słowa. Najsurowsza dewotka słucha ich, nawet kiedy nie mana nie odpowiedzieć. Zacząwszy w ten sposób, Rastignac ciągnął swój różaniec głosem zalotnie przygłuszonym; pani de Nucingen zachęcała go uśmiechem, spoglądając, od czasu do czasu, na de Marsaya który nie opuszczał loży księżnej Galathionne. Rastignac został przy pani de Nucingen aż do chwili w której przyszedł mąż aby ją zabrać.

— Pani, rzekł Eugeniusz, będę miał zaszczyt złożyć jej uszanowanie przed balem księżnej de Carigliano.

— *Zgoro paronofa sabraża bana*, rzekł baron, zabity Alzatczyk którego krągła twarz zwiastowała niebezpieczną chytrość, *jezd ban befien topreko bżyjęsia.*

— Sprawy moje dobrze stoją, nic się bowiem nie obraziła kiedym mówił: »Czy zechce mnie pani kochać?« Uzda założona, skaczmyż na grzbiet bydlątka i ujeżdźmy je, rzekł do siebie Eugeniusz, idąc pożegnać panią de Beauséant która opuszczała teatr z p. d'Ajuda.

Biedny student nie wiedział, że baronowa była roztargniona i że czekała od de Marsaya jednego z owych rozstrzygających listów, które rozdzierają duszę. Uszczęśliwiony swoim fałszywym sukcesem, Eugeniusz przeprowadził hrabinę aż do perystylu, gdzie każdy czeka na swój powóz.

— Pani kuzyn niepodobny jest do samego siebie, rzekł Portugalczyk, śmiejąc się, do wicehrabiny, skoro Eugeniusz ich opuścił. Rozbije bank, ani chybi. Zwinny jest jak piskorz, i sądzę że zajdzie daleko. Pani jedna zdolna byłaś wyłowić mu w całym Paryżu kobietę w chwili gdy potrzebuje pocieszyciela.

— Ba, rzekła pani de Beauséant, trzebaby wiedzieć, czy kocha jeszcze tego który ją opuszcza.

Student wrócił piechotą z Włoskiego teatru na ulicę Neuve-Sainte-Geneviève, pieszcząc najsłodsze projekty. Zauważył dobrze baczność, z jaką przyglądała mu się hrabina de Restaud, bądź-to w loży wicehrabiny, bądź u pani de Nucingen, i wywnioskował, że drzwi hrabiny nie będą już dlań zamknięte. Tak więc, miał pozyskać w sercu wysokiego towarzystwa paryskiego cztery potężne domy, liczył bowiem na to, iż zdobędzie sympatye marszałkowej. Nie rozbierając zbytnio środków, zgadywał z góry, że, w skomplikowanej grze interesów świata, trzeba uczepić się jednego kółka aby się znaleźć na górze machiny, czuł się zaś na siłach aby zahamować jej koło.

— Jeżeli pani de Nucingen zainteresuje się mną, nauczę ją panować nad mężem. Ten mąż robi złote interesy, będzie mógł mi pomódz w zdobyciu od jednego zamachu fortuny.

Nie powiadał sobie tego wprost, nie był jeszcze dość politykiem aby ująć sytuacyę w cyfry, ocenić ją i obliczyć; myśli te bujały na horyzoncie pod postaci lekkich chmurek, i, mimo że nie miały ostrości poglądów Vautrina, gdyby je poddać tygielkowi sumienia nie dałyby nic bardzo czystego. W następstwie

transakcyj tego rodzaju, ludzie dochodzą do tej rozluźnionej moralności jaką wyznaje obecna epoka, w której rzadziej niż w jakimkolwiek czasie spotyka się tych ludzi z jednej sztuki, owe piękne wole które nie uginają się nigdy wobec złego, którym najmniejsze zboczenie z prostej linii wydaje się zbrodnią: wspaniałe obrazy cnoty, które dały nam dwa arcydzieła: Alcesta Moliera, a później, świeżo, Jenny Deans i jej ojca, w dziele Walter-Scotta. Być może, dzieło z przeciwnego krańca, malowidło krętych dróg po jakich ambitny światowiec toczy swoje sumienie, starając się obejść bokiem występek aby dojść do celu zachowując pozory, byłoby niemniej piękne i dramatyczne. Dochodząc do progu gospody, Rastignac był zakochany w pani de Nucingen: wydawała mu się smukła, zwinna jak jaskółka. Upajająca słodycz oczu, delikatna i jedwabna tkanina skóry, pod którą miał wrażenie iż widzi krążącą krew, czarodziejski dźwięk głosu, blond włosy, wszystko stawało mu w pamięci; być może, przechadzka, pobudzając krążenie krwi, przyczyniała się do tego urzeczenia. Student zapukał energicznie do drzwi ojca Goriot.

— Sąsiedzie, rzekł, widziałem panią Delfinę.

— Gdzie?

— We Włoskim.

— Bawiła się dobrze?... Wejdźże pan.

I poczciwiec, który wstał w koszuli, otworzył drzwi i położył się szybko z powrotem.

— Mów-że mi pan o niej, prosił.

Eugeniusz, który był pierwszy raz u ojca Goriot, nie mógł opanować ruchu zdumienia na widok nory

w jakiej żył ojciec córki, której tualetę podziwiał przed chwilą. Okna były bez firanek; obicia, przyklejone do muru, odstawały w wielu miejscach wskutek wilgoci, i zwijały się ukazując ścianę pożółkłą od dymu. Nieborak leżał na nędznem łóżku, miał tylko lichą kołderkę i watowane okrycie na nogi, sporządzone z co lepszych kawałków starych sukien pani Vauquer. Podłoga była wilgotna i pełna kurzu. Naprzeciw okna, znajdowała się stara komoda z wydętym brzuchem, o mosiężnych okuciach w kształt liści i kwiatów; na tym starym meblu o drewnianym blacie widniał dzbanek na wodę ustawiony w miednicy i sprzęty potrzebne do golenia. W kącie, trzewiki; u wezgłowia łóżka, nocny stolik bez drzwiczek i marmuru; opodal kominka, na którym nie było ani śladu ognia, znajdował się czworoboczny stolik z orzechowego drzewa. Mizerny sekretarzyk, na którym spoczywał kapelusz nieboraka, ciemny wyplatany fotel i dwa krzesła dopełniały umeblowania. Najlichszy tragarz na swojem poddaszu mniej nędznie byłby z pewnością zagospodarowany niż ojciec Goriot u pani Vauquer. Widok tej izby przejmował chłodem i przyprawiał o ściśnienie serca: podobna była do smutnej celi więziennej. Na szczęście, Goriot nie widział wyrazu jaki się odmalował na fizyognomii Eugeniusza, kiedy postawił świecę na nocnym stoliczku. Nieborak obrócił się ku niemu, podciągając kołdrę aż pod brodę.

— I cóż, którą pan woli, panią de Restaud czy de Nucingen?

— Wolę panią Delfinę, odparł student, bo pana więcej kocha.

Na te słowa, wypowiedziane gorąco, poczciwiec wydobył ramię z pod kołdry i uścisnął rękę Eugeniusza.

— Dziękuję, dziękuję, rzekł starzec, wzruszony. Co panu mówiła o mnie?

Student powtórzył słowa baronowej, upiększając je, starzec zaś słuchał tak, jakby słuchał słów samego Boga.

— Drogie dziecko! tak, tak, ona mnie bardzo kocha. Ale nie wierz pan w to, co panu mówiła o Anastazyi. Widzi pan, one zazdrosne są o siebie: to jeszcze jeden dowód ich przywiązania. Pani de Restaud też mnie bardzo kocha; wiem o tem. Ojciec jest, wobec swoich dzieci, jak Bóg wobec nas: wnika aż do głębi serc i sądzi intencye. Obie są równie kochające. Och! gdybym miał dobrych zięciów, byłbym zanadto szczęśliwy. Widocznie niema doskonałego szczęścia tu na ziemi. Gdybym mógł przebywać u nich, nic tylko słyszeć ich głos, wiedzieć że są obok, widzieć jak wracają, wychodzą, tak jak wtedy kiedy je miałem u siebie... serce-by mi wyskoczyło z piersi... Czy były ładnie ubrane?

— Tak, rzekł Eugeniusz. Ale, powiedz mi pan, panie Goriot, w jaki sposób, mając córki równie bogate zamężne jak pańskie, może pan mieszkać w podobnej norze?

— Daję słowo, rzekł tonem pozornie niedbałym, nacoby mi się zdało lepiej mieszkać? Nie mogę panu wytłómaczyć tych rzeczy: nie umiem skleić dwóch słów do kupy jak się należy. Wszystko jest tutaj, dodał, uderzając się w serce. Moje życie spoczywa w mo-

ich dwóch córkach. Jeżeli one się bawią, jeżeli są szczęśliwe, ładnie ubrane, jeżeli stąpają po dywanach, cóż mi znaczy jak ja jestem odziany, i jak wygląda moje legowisko? Nie jest mi zimno jeżeli im jest ciepło, nie nudzę się nigdy jeżeli one się śmieją. Nie mam innych zmartwień jak tylko ich zmartwienia. Kiedy pan będziesz ojcem, kiedy sobie powiesz, słysząc jak twoje dzieci szczebiocą: »To wyszło ze mnie!« kiedy uczujesz jak te małe istotki zrośnięte są z każdą kroplą twojej krwi której są najdelikatniejszym kwiatem, bo tak jest! będziesz miał wrażenie, że siedzisz w ich skórze, będziesz myślał że poruszasz się gdy one chodzą. Ich głos odpowiada mi wszędzie. Spojrzenie ich, kiedy są smutne, ścina mi krew. Kiedyś, dowiesz się pan, iż jest się o wiele szczęśliwszym ich szczęściem niż własnem. Nie umiem panu tego wytłómaczyć: to jakieś wewnętrzne drganie, które wszędzie rozlewa ciepło. Słowem, żyję po trzy razy. Mam panu powiedzieć coś pociesznego? Otóż, kiedy zostałem ojcem, zrozumiałem Boga. Jest cały wszędzie, skoro stworzenie wyszło z niego. Panie, tak samo ze mną i z memi córkami. Tylko, ja bardziej kocham córki niż Bóg kocha świat, ponieważ świat nie jest tak piękny jak Bóg, a córki moje są piękniejsze odemnie. Są tak zrośnięte z moją duszą, że czułem to iż pan je zobaczy dziś wieczór. Mój Boże! człowiekowi, któryby uczynił moją Delfinkę tak szczęśliwą jak może być kobieta kiedy się czuje dobrze ukochaną, ależ takiemu człowiekowi jabym buty czyścił, goniłbym mu z posyłkami! Dowiedziałem się od jej pokojówki, że ten paniczyk, ten de Marsay, to pies bezecny. Brała

mnie ochota kark mu skręcić. Nie kochać takiej kobiety, takiego klejnociku! głos skowroneczka, a zbudowana jak rzeźba! Gdzie ona miała oczy, żeby wychodzić za tego grubego kloca z Alzacyi? Obu im było trzeba młodych, ładnych ludzi, ładnych i miłych. Ano cóż! zrobiły jak im się zdało.

Ojciec Goriot był wzniosły. Nigdy Eugeniusz nie miał sposobności oglądać go prześwieconego płomieniem ojcowskiej miłości. Rzeczą godną uwagi jest ta potęga przepajania, jaką posiadają uczucia. Żeby jakaś istota była nie wiem jak pospolita, z chwilą gdy wyraża uczucie mocne i prawdziwe, wydziela osobliwy fluid, który przekształca fizyognomię, ożywia gesty, barwi głos. Często, osobnik najbardziej tępy dochodzi, pod wpływem uczucia, do najwyższej wymowy myśli, jeżeli nie słowa, i zdaje się poruszać jakby w promienistej sferze. W tej chwili, głos, gest nieboraka posiadały suggestywną potęgę, jaka cechuje wielkiego aktora. Ale czyż nasze piękne uczucia nie są poematami woli?

— Otóż, nie będzie panu może niemiłem dowiedzieć się, rzekł Eugeniusz, że zapewne niebawem zerwie z de Marsayem. Ten laluś porzucił ją, aby się oddać na usługi księżnej Galathionne. Co do mnie, dziś wieczór zakochałem się w pani Delfinie.

— Ba! rzekł ojciec Goriot.

— Tak. Nie przyjęła mnie najgorzej. Mówiliśmy o miłości przez godzinę, i pojutrze, w sobotę, mam ją odwiedzić.

— Och, jakżebym pana kochał, drogi panie, gdybyś się jej spodobał. Jest pan dobry, nie dręczyłbyś

jej. Zresztą, gdybyś ją zdradził, urżnąłbym ci głowę. Mój Boże! ale ja głupstwa gadam, panie Eugeniuszu. Chłodno tu panu. Mój Boże! zatem słyszał ją pan? Co mi kazała powiedzieć?

— Nic, rzekł sobie w duchu Eugeniusz. — Powiedziała, rzekł głośno, że przesyła panu serdecznego całusa.

— Bądź pan zdrów, sąsiedzie! śpij dobrze, miej przyjemne sny; moje już mieszczą się całe w tem słowie. Niech pana Bóg wspomaga we wszystkich pragnieniach! Byłeś dla mnie dziś wieczorem niby dobry anioł, przyniosłeś mi oddech mej córki.

— Biedny człowiek! rzekł do siebie Eugeniusz kładąc się; mógłby doprawdy poruszyć serce z marmuru. Córka myślała o nim tyle, co o sułtanie tureckim.

Od tej rozmowy, ojciec Goriot widział w swoim sąsiedzie nieoczekiwanego powiernika, przyjaciela. Zadzierżgnęły się między nimi jedyne węzły jakimi starzec mógł złączyć się z innym człowiekiem. Namiętności nigdy nie chybiają w swoich obliczeniach. Ojciec Goriot odgadywał iż będzie bliższym swej Delfiny, lepiej przyjmowanym, jeżeli Eugeniusz pozyska serce baronowej. Zresztą, powierzył mu jedną ze swych zgryzot. Pani de Nucingen, której życzył szczęścia po tysiąc razy dziennie, nie zaznała słodyczy miłości. To pewna, iż Eugeniusz był — aby się posłużyć wyrażeniem starego — najbardziej cacanym chłopcem jakiego w życiu widział; toteż, ojciec zdawał się przeczuwać, iż da jej wszystkie rozkosze których była pozbawiona. Poczciwiec powziął tedy dla sąsiada

przyjaźń która ciągle rosła i bez której byłoby bez wątpienia niemożliwem poznać rozwiązanie tej historyi.

Nazajutrz rano, przy śniadaniu, serdeczność z jaką ojciec Goriot patrzał na Eugeniusza koło którego usiadł, kilka słów jakie wyrzekł i zmiana jego fizyognomii, zazwyczaj podobnej do maski gipsowej, zdumiały pensyonarzy. Vautrin, który widział studenta po raz pierwszy od czasu ich rozmowy, zdawał się chcieć czytać w jego duszy. Przypominając sobie zamysły tego człowieka, Eugeniusz, który, nim usnął w nocy, zmierzył szerokie pole jakie otwierając się jego spojrzeniom, pomyślał z konieczności o posagu panny Taillefer i nie mógł się powstrzymać aby nie spojrzeć na Wiktorynę tak, jak najbardziej cnotliwy młody człowiek patrzy na bogatą dziedziczkę. Przypadkowo, oczy ich spotkały się. Eugeniusz w nowym stroju, wydał się biednej dziewczynie zachwycający. Spojrzenie, jakie zamienili, było dość znaczące aby upewnić Rastignaca, że był dla niej przedmiotem owych mętnych pragnień jakim ulegają wszystkie młode panny wiążąc je z pierwszym przystojnym chłopcem, jakiego spotkają. Głos jakiś wołał mu: »Ośmset tysięcy franków!« Ale nagle rzucił się sercem we wspomnienia wczorajszego wieczoru i pomyślał że jego nakazana miłość do pani de Nucingen jest odtrutką na mimowolne pokusy.

— Dawano wczoraj we Włoskim *Cyrulika Sewilskiego*, Rossiniego. Nigdy nie słyszałem równie rozkosznej muzyki, rzekł. Mój Boże, jacyż szczęśliwi są ci, którzy mają własną lożę!

Ojciec Goriot schwycił te słowa w lot, jak pies chwyta poruszenie pana.

— Wy, mężczyźni, opływacie jak pączki w maśle, rzekła pani Vauquer, robicie wszystko co wam się podoba.

— Jak pan wrócił? spytał Vautrin.

— Pieszo, odparł Eugeniusz.

— Ja, rzekł kusiciel, nie lubiłbym połowicznych przyjemności, chciałbym jechać do teatru we własnym powozie, do własnej loży i wracać wygodnie. Wszystko albo nic! to moja dewiza.

— Dobra dewiza, dodała pani Vauquer.

— Będzie pan może u pani de Nucingen, rzekł Eugeniusz cicho do Goriota. Przyjmie pana z pewnością z otwartemi rękami; będzie chciała dowiedzieć się tysiąca szczegółów o mnie. Słyszałem, że uczyniłaby wszystko w świecie, aby módz bywać u mojej kuzynki, wicehrabiny de Beauséant. Nie zapomnij pan powiedzieć córce, że zanadto ją kocham aby nie myśleć o dostarczeniu jej tej satysfakcyi.

Rastignac udał się szybko do kolegium prawa, starał się jaknajkrócej zostać w tym wstrętnym budynku. Przewałęsał się prawie cały dzień, rzucony na pastwę owej gorączki mózgu, jaką znają młodzi ludzie poruszani zbyt żywemi nadziejami. Tonął właśnie w refleksyach nad życiem społecznem, pobudzonych rozumowaniem Vautrina, kiedy, w ogrodzie Luxemburskim, spotkał przyjaciela swego Bianchona.

— Skąd ta poważna mina, rzekł słuchacz medycyny ujmując go pod rękę i przechadzając się z Eugeniuszem wzdłuż pałacu.

— Złe myśli mnie dręczą.

— W jakim rodzaju? Myśli, to rzecz, którą można uleczyć.

— Jak?

— Poddając się im.

— Żartujesz, a nie wiesz o co chodzi. Czytałeś Rousseau'a?

— Owszem.

— Przypominasz sobie ustęp, w którym pyta czytelnika, coby uczynił, w razie gdyby mógł stać się bogatym, zabijając w Chinach, jedynie mocą swej woli, nie ruszając się z Paryża, starego mandaryna?

— Tak.

— No i...?

— Ba! jestem właśnie przy trzydziestym trzecim mandarynie.

— Nie żartuj. No więc, gdyby ci udowodniono że rzecz jest możliwa i że wystarczy ci skinienia głową, zrobiłbyś to...

— A stary ten mandaryn? Ale ba! młody czy stary, sparaliżowany czy zdrów jak ryba, na honor... Do paralusza! Otóż, nie.

— Jesteś zacny chłopiec, Bianchon. Ale, gdybyś kochał kobietę tak żebyś waryował dla niej, i gdyby ci było trzeba pieniędzy, dużo pieniędzy, na jej stroje, na powóz, na wszystkie fantazye wreszcie?

— Ależ ty mi odbierasz rozum, i chcesz żebym rozumował!

— Otóż, Bianchon, ja jestem szalony, ulecz mnie. Mam dwie siostry, dwa anioły dobroci, czystości, i chcę aby były szczęśliwe. Skąd, w ciągu pięciu lat,

wziąć dwieście tysięcy franków na posag dla nich? Bywają, widzisz, w życiu okoliczności, gdzie trzeba puszczać się na grubą grę i nie zużywać szczęścia na wygrywanie groszaków.

— Ależ ty stawiasz kwestyę, która nastręcza się przy wejściu w życie każdemu, i chcesz przeciąć węzeł gordyjski mieczem. Aby tak sobie poczynać, mój drogi, trzeba być Aleksandrem, inaczej idzie się na galery. Co do mnie, jestem szczęśliwy ze skromnej egzystencyi jaką sobie stworzę na prowincyi, gdzie, całkiem poprostu, obejmę warsztat po ojcu. Upodobania człowieka dadzą się zaspokoić w najmniejszym kółku równie pełno co w najbardziej olbrzymim kręgu. Napoleon nie jadł dwóch obiadów i nie mógł mieć więcej kochanek niż ich znajdzie student medycyny kiedy jest internem u Kapucynów. Szczęście, mój drogi, zawsze będzie się mieścić pomiędzy naszą stopą a ciemieniem, i, czy kosztuje rocznie milion czy sto ludwików, wrażenie wewnętrzne jest zawsze jedno i to samo. Konkluzya: zostawmy chińczyka przy życiu.

— Dziękuję, dobrze mi zrobiło pogadać z tobą, Bianchon! Będziemy zawsze przyjaciółmi.

— Słuchaj-no, rzekł student medycyny; wychodząc z wykładu Cuviera w botanicznym ogrodzie, spostrzegłem tę Miszonicę i Poireta rozmawiających na ławce z jegomością którego widziałem w czasie rozruchów zeszłorocznych w okolicy Izby posłów, i który robi na mnie wrażenie policmana przebranego za uczciwego mieszczucha. Wartoby uważać na tę parę:

powiem ci dlaczego. Dowidzenia, idę na wykład, już czwarta.

Skoro Eugeniusz wrócił do gospody, zastał ojca Goriot, który nań czekał.

— O, rzekł starowina, ma pan list od niej. Ładne pismo, co?

Eugeniusz otworzył list i czytał:

»Ojciec powiedział mi, że pan lubi włoską muzykę. Byłabym szczęśliwa, gdyby mi pan uczynił tę przyjemność i zechciał przyjąć miejsce w mojej loży. W sobotę, będziemy mieli Fodor i Pellegriniego; pewna tedy jestem, że mi pan nie odmówi. Pan de Nucingen polecił mi pana zaprosić w ten dzień na obiad, do nas, bez ceremonii. Jeżeli pan przystanie, sprawi mu pan tę satysfakcyę, nie będzie musiał dźwigać jarzma małżeńskiego towarzysząc mi. Proszę nie odpowiadać, tylko przyjść, oraz przyjąć uprzejme wyrazy od

»*D. de N.*«

— Niech mi pan pokaże, rzekł poczciwiec, do Eugeniusza, skoro ten przeczytał list. Pójdzie pan, nieprawdaż? dodał powąchawszy papier. Jak to ładnie pachnie. Jej paluszki dotykały tego!

— Kobieta nie rzuca się w ten sposób na szyję mężczyźnie, pomyślał. Chce się mną posłużyć, aby ściągnąć z powrotem de Marsaya. Jedynie wściekłość może popchnąć kobietę do takich rzeczy.

— I cóż, rzekł ojciec Goriot, nad czem pan myśli?

Eugeniusz nie znał szału próżności jaki ogarnął pewne kobiety w tej dobie i nie wiedział, że, aby sobie otworzyć drzwi do dzielnicy Saint-Germain, żona bankiera zdolna była do wszystkich poświęceń. W owej epoce zaczynała się moda, aby, ponad wszystkie kobiety, stawiać te, które były dopuszczone do towarzystwa dzielnicy Saint-Germain, t. zw. dam z *Zameczku*, pomiędzy któremi pani de Beauséant, przyjaciółka jej księżna de Langeais i księżna de Maufrigneuse zajmowały pierwsze miejsce. Jeden Rastignac nie był świadomy namiętności jaka ogarnęła panie z *Chaussée d'Antin* aby wejść w błyszczącą sferę w jakiej jaśniały konstelacye ich płci. Ale nieufność wyszła mu na korzyść, dała mu chłód i smutną możność stawiania warunków zamiast przyjmowania ich.

— Owszem, pójdę, odparł.

Tak więc, ciekawość prowadziła go do pani de Nucingen, podczas gdy, gdyby ta kobieta wzgardziła nim, byłaby go może wiodła tam namiętność. Mimo to, oczekiwał jutra i godziny wieczornej z pewną niecierpliwością. Dla młodego człowieka, w pierwszej jego przygodzie mieści się może tyleż uroku co w pierwszej miłości. Pewność powodzenia stwarza tysiące zadowoleń do których mężczyźni się nie przyznają, a które tworzą cały urok niektórych kobiet. Pragnienie rodzi się zarówno z trudności jak z łatwości tryumfu. Wszystkie namiętności ludzkie podsyca lub utrzymuje niewątpliwie jedna lub druga z tych przyczyn, dzielących na dwie połacie królestwo miłości. Być może podział ten jest następstwem wielkiej sprawy temperamentów, która dominuje, cobądź-by ktoś mówił o tem, nad

społeczeństwem. O ile natury melancholiczne potrzebują pobudzeń zalotności, być może ludzie nerwowi lub sangwinicy zrażają się zbyt długo trwającym oporem. Innemi słowy, elegia jest równie zasadniczo limfatyczną, jak dytyramb żółciowym. Ubierając się, Eugeniusz kosztował wszystkich tych drobnych zadowoleń o których nie śmieją mówić młodzi ludzie z obawy aby z nich nie żartowano, ale które głaszczą miłość własną. Trefiąc włosy, myślał, iż spojrzenie ładnej kobiety będzie ślizgać się po ich czarnych puklach. Pozwolił sobie na dziecinne mizdrzenia, takie same jakim oddaje się młoda dziewczyna wybierając się na bal. Spoglądał z upodobaniem na swą smukłą kibić, wygładzając fałdy fraka:

— Niczego figurka, rzekł sobie, ani słowa!

Zeszedł w chwili gdy wszyscy stołownicy znajdowali się w jadalni i wesoło przyjął ogień baterji konceptów jakie ściągnęła jego strojna postać. Jedną z charakterystycznych cech pensyonatów tego typu jest zdumienie jakie wywołuje staranny strój. Nie można pokazać się w nowem ubraniu, aby każdy nie rzucił jakiegoś słówka.

— Kt, kt, kt, kt! rzekł Bianchon, uderzając językiem o podniebienie jakby popędzając konia.

— Postawa księcia i para! rzekła pani Vauquer.

— Wybiera się pan na podboje? zauważyła panna Michonneau.

— Kukuryku! zapiał malarz.

— Najniższe ukłony szanownej pańskiej małżonce, rzekł urzędnik Muzeum.

— Pan de Rastignac ma małżonkę? spytał Poiret.

— Małżonkę z przegródkami, która pływa po wodzie, pod gwarancyą nie puszcza farby, w cenie od dwudziestu pięciu do czterdziestu, deseń w kratkę najlepszego gustu, pół wełna, pół-bawełna, skuteczna na ból zębów i inne choroby uznane przez królewską Akademię medyczną! wyborna przytem dla dzieci! jeszcze lepsza na bóle głowy, pletorę i inne choroby śledziony, oczu i uszu! wykrzyknął Vautrin z komiczną swadą i werwą jarmarcznego operatora. »Ależ, po czemu ten cud? spytacie panowie; dwa su?« Nie. Zupełnie *gratis*. To resztka zapasu z zamówienia Wielkiego Mogoła, które wszyscy panujący Eurrrrropy, łącznie z wielkim księciem Badeńskim, spieszyli oglądać! Prosto, panowie, prosto: kasa na lewo. Dalej, muzyka! Bum, bum, ta ra ra! bum, bum! Hej tam, klarnet, fałszujesz, dodał zachrypłym głosem, oberwiesz po palcach!

— Mój Boże! jaki ten człowiek przyjemny! rzekła pani Vauquer do pani Couture, nie znudziłabym się nigdy przy nim.

Pośród śmiechów i żartów, do których ten komiczny wygłoszony monolog był hasłem, Eugeniusz zdołał podchwycić ukradkowe spojrzenie panny Taillefer, która pochyliła się do pani Couture i rzekła jej kilka słów do ucha.

— Jest już kabryolet, rzekła Sylwia.

— Gdzież on idzie na obiad? spytał Bianchon.

— Do baronowej de Nucingen.

— Córki pana Goriot, odparł student.

Na to nazwisko, spojrzenia skierowały się na ex-

handlarza mąki, który przyglądał się Eugeniuszowi z wyrazem zazdrości.

Rastignac zajechał na ulicę św. Łazarza przed jeden z owych lekkich domów, o smukłych kolumnach, o mizernym portyku, które zapełniają nowy, *ładny* Paryż: prawdziwy dom bankiera, pełen kosztownych ozdób, stiuków, mozajek. Zastał panią de Nucingen w małym saloniku, którego dekoracya trąciła stylem kawiarni. Baronowa była smutna. Wysiłki, jakie czyniła aby ukryć zgryzotę, zainteresowały Rastignaca tem żywiej, iż nie było w nich żadnego udania. Spodziewał się zastać kobietę ucieszoną jego zjawieniem, a widział ją w rozpaczy. Zawód ten ukłuł jego miłość własną.

— Mało mam praw do zaufania pani, rzekł po chwili przekomarzania na temat jej zadumy; wszelako, gdyby obecność moja była nie na rękę, liczę na pani dobrą wiarę, iż powiedziałaby mi to pani szczerze.

— Niech pan zostanie, rzekła, byłabym sama gdyby pan odszedł. Baron jest na obiedzie gdzieś w mieście, a nie chciałabym być sama, potrzeba mi rozrywki.

— Ale co pani?

— Byłby pan ostatnią osobą, którejbym to powiedziała, wykrzyknęła.

— Ja chcę wiedzieć. Koniecznie. W takim razie, muszę grać jakąś rolę w tej tajemnicy?

— Może! Ale nie, dodała, to jedna z owych sprzeczek domowych, które winny pozostać zagrzebane na dnie serca. Czy nie mówiłam panu przed-

wczoraj? nie jestem szczęśliwa. Złote kajdany są najcięższe ze wszystkich.

Kiedy kobieta mówi młodemu człowiekowi że jest nieszczęśliwa, jeżeli ten młody człowiek jest rozgarnięty, dobrze ubrany i ma za tysiąc pięćset franków wolnego czasu w kieszeni, musi pomyśleć to, co sobie powiedział Eugeniusz i nabiera pewności siebie.

— Czego pani może pragnąć? odparł. Jest pani młoda, piękna, kochana, bogata.

— Nie mówmy o mnie, rzekła czyniąc posępny ruch głową. Zjemy obiad razem, sam na sam, pójdziemy słuchać najrozkoszniejszej muzyki. Czy podobam się panu? dodała wstając i ukazując suknię z białego kaszmiru w perski deseń, wykwintną i bogatą.

— Chciałbym, aby pani cała była moją, rzekł Eugeniusz. Jest pani urocza.

— Zrobiłby pan smutny nabytek, rzekła uśmiechając się z goryczą. Nic tu nie obwieszcza panu nieszczęścia, a jednak, mimo pozorów, jestem w rozpaczy. Zgryzoty odbierają mi sen, zrobię się brzydka.

— Och! to niemożliwe, rzekł student. Ale ciekaw jestem poznać te troski, których oddana miłość nie zdołałaby zatrzeć.

— Ach, gdybym je zwierzyła, uciekłby pan odemnie, rzekła. Kocha mnie pan jedynie, ot tak, dla rozrywki; ale, gdyby mnie pan kochał naprawdę, popadłby pan w straszliwą rozpacz. Widzi pan, że trzeba mi milczeć. Przez litość, rzekła, mówmy o czem innem. Pokażę panu mieszkanie.

— Nie, zostańmy tu, odparł Eugeniusz, siadając

na kozetce blisko ognia obok pani de Nucingen, której rękę ujął śmiało.

Pozwoliła mu ją wziąść, oparła ją nawet na ręce młodego człowieka ruchem skupionej siły, który zdradzał mocne wzruszenie.

— Pani Delfino, rzekł Rastignac, jeżeli pani ma zgryzoty, powinna mi je pani zwierzyć. Chcę pani dowieść, że kocham panią dla niej samej. Albo mi pani opowie swoje troski abym je mógł rozprószyć, choćby trzeba było zabić sześciu ludzi, albo wyjdę stąd i więcej nie wrócę.

— Więc dobrze, wykrzyknęła pod wpływem rozpaczliwej myśli, która sprawiła iż uderzyła się w czoło, poddam pana próbie, natychmiast. Tak, rzekła do siebie, pozostaje tylko ten środek.

Zadzwoniła.

— Czy powóz pana barona zaprzężony? rzekła do pokojowca.

— Tak, proszę jaśnie pani.

— Biorę go. Dacie panu mój powóz i moje konie. Obiad dopiero o siódmej.

— Niech pan idzie ze mną, rzekła do Eugeniusza, który myślał że śni znalazłszy się w powozie p. de Nucingen, obok tej kobiety.

— Do Pałacu Królewskiego, rzekła do woźnicy, niedaleko Komedyi Francuzkiej.

W drodze, Delfina zdawała się niespokojna, uchylała się od odpowiedzi na tysiączne zapytania Eugeniusza, który nie wiedział co myśleć o tym niemym, zwartym, tępym oporze.

— W jednej chwili wymyka mi się, powiadał sobie.

Skoro powóz się zatrzymał, baronowa objęła studenta spojrzeniem które nakazało milczenie jego szalonym wybuchom; był bowiem jak nieprzytomny.

— Kocha mnie pan naprawdę? rzekła.

— Tak, odparł, pokrywając niepokój jaki go ogarniał.

— Nie pomyśli pan nic złego o mnie, czegokolwiek mogłabym zażądać od pana?

— Nie.

— Jest pan gotów być mi posłusznym?

— Ślepo.

— Czy był pan kiedy w domu gry? rzekła drżącym głosem.

— Nigdy.

— Ach, oddycham. Będzie pan miał szczęście. Oto moja sakiewka, rzekła. Weź-że pan! jest w niej sto franków: to wszystko, co posiada ta kobieta tak szczęśliwa. Idź pan do domu gry, nie wiem gdzie są, ale wiem że mają być w Pałacu Królewskim. Zaryzykuj pan sto franków w grze którą nazywają ruletką, i strać wszystko, albo przynieś mi sześć tysięcy franków. Opowiem panu moje zgryzoty skoro wrócisz.

— Niech mnie djabeł porwie jeżeli rozumiem cokolwiek, ale będę pani posłuszny, rzekł kryjąc radość spowodowaną tą myślą: »Kompromituje się ze mną, nie będzie mogła niczego mi odmówić«.

Eugeniusz bierze ładną sakiewkę, pędzi pod numer 9, wypytawszy się w magazynie ubrań o najbliższy dom gry. Wchodzi, oddaje kapelusz, następnie za-

pytuje gdzie jest ruletka. Ku zdumieniu bywalców, garson prowadzi go do podłużnego stołu. Eugeniusz, któremu przyglądają się wszyscy obecni, pyta bez ceremonii gdzie trzeba umieścić stawkę.

— Jeżeli pan położy ludwika na jeden, z tych trzydziestu sześciu numerów i numer wyjdzie, otrzyma pan trzydzieści sześć ludwików, objaśnił go czcigodny starzec o siwych włosach.

Eugeniusz rzucił sto franków na cyfrę swego wieku, dwadzieścia jeden. Krzyk zdumienia rozległ się, zanim miał czas ochłonąć. Wygrał, nie wiedząc o tem.

Eugeniusz ujmuje grabki jakie mu podał starszy pan, ściąga ku sobie trzy tysiące sześćset franków, i, wciąż nie mając pojęcia o grze, stawia na *czerwone*. Galerya przygląda mu się z zazdrością, widząc że gra dalej. Koło obraca się, wygrywa znowu, i bankier rzuca mu znowu trzy tysiące sześćset franków.

— Masz pan wygranych siedm tysięcy dwieście franków, szepnął mu do ucha starszy pan. Jeżeli pan zechce mi uwierzyć, wycofa się pan, *czerwone* przeszło już ośm razy. Gdybyś pan był miłosierny, odwdzięczyłbyś się za dobrą radę, wspomagając nędzę dawnego Napoleońskiego prefekta, który znajduje się w ostatecznej potrzebie.

Rastignac, oszołomiony, pozwala sobie zabrać dziesięć ludwików człowiekowi o siwych włosach, i schodzi z siedmioma tysiącami franków, nie rozumiejąc jeszcze nic z gry, ale zdumiony swojem szczęściem.

— I cóż! gdzie mnie pani teraz wiezie? rzekł

pokazując siedm tysięcy franków pani de Nucingen, skoro zamknięto drzwiczki od powozu.

Delfina objęła go szalonym uściskiem i ucałowała żywo ale bez namiętności.

— Ocalił mnie pan!

Łzy radości popłynęły obficie po jej licach.

— Powiem ci wszystko, mój przyjacielu. Będziesz moim przyjacielem, nieprawdaż? Widzisz mnie bogatą, otoczoną dostatkiem, niczego mi nie zbywa, tak się wydaje przynajmniej! Otóż, wiedz, że p. de Nucingen nie zostawia mi do rozporządzenia ani szeląga: opłaca cały dom, moje powozy, łoże; wydziela mi na tualetę niewystarczającą sumę, chce mnie, przez wyrachowanie, doprowadzić do tajemnej nędzy. Jestem zanadto dumna aby go błagać. Czyż nie byłabym ostatnią z ostatnich, gdybym kupowała jego pieniądze za cenę po jakiej chce mi je sprzedawać! W jaki sposób, ja, mając posagu siedmset tysięcy franków, dałam się ograbić? Przez dumę, przez wzgardę. Jesteśmy tak młode, tak naiwne, kiedy rozpoczynamy życie! Słowa, które trzeba było wyrzec aby prosić męża o pieniądze, kaleczyły mi usta; nie śmiałam nigdy, zjadałam moje oszczędności i to co mi dawał biedny ojciec; potem, weszłam w długi. Małżeństwo jest dla mnie najstraszliwszym zawodem, nie mogę panu o tem mówić, niech wystarczy gdy powiem, iż rzuciłabym się z okna, gdyby mi trzeba było żyć z Nucingenem inaczej niż każde w oddzielnem mieszkaniu. Kiedy trzeba mi było przyznać się do długów — ot, zwykłe długi młodej kobiety! klejnoty, zachcenia (biedne ojczysko przyzwyczaił nas, abyśmy sobie nie odma-

wiały niczego), wycierpiałam męki; ale wreszcie znalazłam odwagę aby wszystko powiedzieć. Czyż nie miałam własnego majątku? Nucingen uniósł się, powiedział że go rujnuję, ohydy! Byłabym chciała znaleźć się sto stóp pod ziemią. Ponieważ wziął mój posag, zapłacił; ale wyznaczył od tego czasu, na moje osobiste wydatki pensyę, na którą się zgodziłam aby mieć spokój. Później, chciałam uczynić zadość miłości własnej kogoś kogo pan zna, rzekła. Ten człowiek mnie oszukał, prawda; ale byłoby niegodnie z mojej strony nie oddać sprawiedliwości szlachetności jego charakteru. Ale, wreszcie, porzucił mnie nikczemnie. Nie powinno się nigdy porzucać kobiety, której się cisnęło, w rozpaczliwym momencie, stos złota! Powinno się ją kochać zawsze! Pan, piękna dwudziestoletnia dusza, pan, młody i czysty, zapytasz w jaki sposób kobieta może przyjąć złoto od mężczyzny? Mój Boże! czyż nie jest naturalne wszystko dzielić z istotą, której zawdzięczamy szczęście? Kiedy się ktoś oddał cały, czyż mógłby troszczyć się o cząstkę tej całości? Pieniądz staje się czemś dopiero w chwili gdy uczucie przestanie istnieć. Czyż nie jest się związanym na życie? Któż z nas przewiduje rozłączenie, czując się mocno kochanym? Przysięgacie nam wiekuistą miłość: w jaki sposób zachować wówczas odrębność interesów? Nie wie pan, co wycierpiałam dzisiaj, kiedy Nucingen wręcz mi odmówił sześciu tysięcy franków; on, który daje je co miesiąc swej kochance, dziewczynie z Opery! Chciałam się zabić. Najbardziej szalone myśli przechodziły mi przez głowę. Były chwile, iż zazdrościłam losu służącej, mojej pokojówki. Udać

się do ojca: szaleństwo. Anastazya i ja, zarżnęłyśmy go: biedny ojciec sprzedałby samego siebie, gdyby mógł uzyskać za to sześć tysięcy franków. Przyprawiłabym go tylko naprózno o rozpacz. Ocalił mnie pan od wstydu i śmierci, byłam pijana z bólu. Ach, panie, winna byłam panu to wyjaśnienie, postąpiłam sobie z panem jak szalona. Kiedy pan odszedł i kiedy pana straciłam z oczu, chciałam uciec pieszo... gdzie? nie wiem. Oto życie połowy kobiet w Paryżu: zbytek na zewnątrz, okrutne zgryzoty w duszy. Znam biedne stworzenia jeszcze nieszczęśliwsze odemnie. Wszakże istnieją kobiety zmuszone prosić swoich dostawców o wystawianie fałszywych rachunków. Inne zniewolone są okradać mężów: jedni myślą iż kaszmirowy szal za dwa tysiące franków kosztuje pięćset, drudzy że kaszmir za pięćset franków wart jest dwa tysiące. Spotyka się biedne kobiety, które głodzą własne dzieci i ciułają aby mieć suknię. Ja nieskalałam się dotąd takiem wstrętnem oszukaństwem. Jeżeli istnieją kobiety które sprzedają się mężom aby panować nad nimi, ja przynajmniej jestem wolna! Gdybym chciała, de Nucingen okryłby mnie złotem, a ja wolę płakać z głową opartą na sercu człowieka którego mogę szanować. Och! dziś wieczór, p. de Marsay nie będzie miał prawa patrzeć na mnie jak na kobietę którą zapłacił.

Wcisnęła twarz w dłonie, nie chcąc pokazać łez Eugeniuszowi, który odkrył jej oblicze aby się jej przyjrzeć: wspaniała była w tej chwili.

— Mięszać pieniądze do rzeczy uczuć, czyż to

nie jest okropne? Nie będzie mnie pan mógł kochać, rzekła.

To pomięszanie dobrych uczuć, które czynią kobietę tak wielką, oraz błędów do których zmusza ją obecny układ społeczeństwa, oszałamiało Eugeniusza. Szeptał słodkie i kojące słowa, podziwiając tę piękną kobietę, tak naiwnie nieostrożną w wybuchu swej boleści.

— Nie uczynisz sobie z tego broni przeciw mnie, rzekła, przyrzeknij mi.

— Och, pani, niezdolny jestem... odparł.

Wzięła go za rękę i położyła ją sobie na sercu, ruchem pełnym wdzięczności i uroku.

— Dzięki panu, jestem znów ale wolna i szczęśliwa. Żyłam jak pod uciskiem ręki z żelaza. Chcę teraz żyć skromnie, nic nie wydawać. Będę ci się podobać tak jak jestem, nieprawdaż? Niech pan to zachowa, rzekła biorąc jedynie sześć biletów bankowych. Sumiennie biorąc, winna panu jestem tysiąc talarów, umyśliłam sobie bowiem, że mamy grać do połowy.

Eugeniusz bronił się jak dziewica. Ale, kiedy baronowa rzekła: »Będę pana uważała za wroga, jeżeli nie chcesz być moim wspólnikiem«, wziął pieniądze.

— To będzie kapitał zakładowy w razie nieszczęścia, rzekł.

— Oto słowo którego się obawiałam, rzekła, blednąc. Jeżeli pan chce abym czemś była dla pana, przysiąż mi, że nigdy nie wrócisz do domu gry.

Mój Boże! ja miałabym pchnąć panią na złe drogi! Umarłabym z boleści.

Przybyli do domu. Kontrast tej nędzy i tego bogactwa oszałamiał studenta, w którego uszach zabrzmiały znowu posępne słowa Vautrina.

— Niech pan siada tutaj, rzekła baronowa, wchodząc do swego pokoju i wskazując kozetkę koło kominka, trzeba mi napisać list bardzo trudny! Może mi pan doradzi.

— Niech pani nic nie pisze, rzekł Eugeniusz: niech pani zawinie w papier banknoty, położy adres i odeśle przez pannę służącą.

— Ależ pan jest kochany, nieoceniony człowiek, rzekła. Ach, co to znaczy otrzymać dobre wychowanie! To, co pan mi poradził, to czystej krwi *Beauséant,* dodała z uśmiechem.

— Urocza jest, rzekł do siebie w duchu Eugeniusz, coraz bardziej rozkochany.

Rozejrzał się po pokoju, który oddychał rozkosznym wykwintem bogatej kurtyzany.

— Podoba się? rzekła, dzwoniąc na pannę służącą.

— Tereso, zanieś to sama do pana de Marsay i oddaj jemu samemu. Jeżeli go nie zastaniesz, odniesiesz mi list.

Teresa wyszła, obrzuciwszy sprytnem spojrzeniem Eugeniusza. Oznajmiono obiad. Rastignac podał ramię pani de Nucingen, i przeszedł z nią do wytwornej jadalni, gdzie zastał ten sam zbytek stołu, jaki podziwiał u kuzynki.

— W dnie przedstawienia we Włoskim, rzekła, przyjdzie pan zawsze na obiad i będzie mi pan towarzyszył.

— Przyzwyczaiłbym się do tego słodkiego życia, gdyby ono miało trwać; ale jestem biednym studentem który musi zdobywać fortunę.

— Zdobędzie pan, rzekła śmiejąc się. Widzi pan, wszystko się układa: nie spodziewałam się, iż będę tak szczęśliwa.

Jest w naturze kobiet, aby dowodzić niemożebnego możebnem i niweczyć fakty przeczuciami. Kiedy pani de Nucingen i Rastignac weszli do loży, Delfina miała wyraz zadowolenia, który ją czynił tak piękną, iż sala zaszemrała od tych drobnych ploteczek wobec których kobiety są bezsilne i które każą często wierzyć w rozmyślnie stworzone pozory. Kiedy się zna Paryż, nie wierzy się w nic z tego co się tu mówi, a nie mówi się nic o tem co się tu robi. Eugeniusz ujął baronową za rękę i oboje porozumiewali się z sobą zapomocą mniej lub bardziej żywych uścisnień, udzielając sobie wrażeń jakie w nich budziła muzyka. Dla nich, wieczór ten był upajający. Opuścili teatr razem; pani de Nucingen odwiozła Eugeniusza aż do Nowego Mostu, spierając się z nim, przez całą drogę, o jedną z tych pieszczot, któremi go tak hojnie obsypała w Pałacu Królewskim. Eugeniusz wymówił jej tę niekonsekwencyę.

— Wówczas, odparła, to była wdzięczność za niespodziewane poświęcenie, obecnie byłaby to obietnica.

— A ty mi nie chcesz uczynić żadnej, niewdzięczna!

Pogniewał się. Czyniąc ruch zniecierpliwienia, jeden z tych które tak czarują kochanka, dała mu do pocałowania rękę: przyjął z dąsem, który zachwycił Delfinę.

— Do poniedziałku, na balu, rzekła.

Idąc pieszo, w piękną noc księżycową, Eugeniusz zatopił się w poważnych dumaniach. Był zarazem szczęśliwy i niezadowolony: szczęśliwy z przygody, której przypuszczalne rozwiązanie dawało mu w ręce jedną z najpiękniejszych i najwykwintniejszych kobiet w Paryżu, przedmiot jego pragnień; niezadowolony, iż widział że jego zamiary zdobycia fortuny padły; wówczas-to uczuł całą realność nieokreślonych myśli jakim oddawał się pozawczoraj. Niepowodzenie ujawnia zawsze siłę naszych pragnień. Im bardziej Eugeniusz napawał się życiem paryzkiem, tem mniej godził się z tem, aby pozostać biednym i nieznanym. Gniótł w kieszeni bilet tysiącfrankowy, snując pasmo kuszących rozumowań pozwalających uznać go za swą własność. W końcu, doszedł do ulicy Neuve-Sainte-Geneviève; kiedy się znalazł na górze, ujrzał światło. Ojciec Goriot zostawił drzwi otwarte i świecę zapaloną, aby student nie zapomniał opowiedzieć mu wrażeń wieczoru. Eugeniusz nic mu nie ukrywał.

— Ależ, wykrzyknął ojciec Goriot w gwałtownym szale zazdrości, one myślą że ja jestem zrujnowany: toć mam jeszcze tysiąc trzysta franków renty! Mój Boże! biedna mała, czegóż do mnie nie przyszła? byłbym sprzedał papiery, zaczerpnęlibyśmy z kapitału, a z reszty stworzyłbym sobie rentę dożywotnią. Dla-

czego nie przyszedłeś zwierzyć mi jej zgryzoty? W jaki sposób miałeś serce narażać w grze jej biednych sto franków? serce się rozdziera! Oto co są zięciowie! Och! gdybym ich miał w ręku, karki-bym im poskręcał. Mój Boże! płakała, ona płakała?

— Z głową na mojej kamizelce, rzekł Eugeniusz.

— Och, daj mi ją pan, rzekł ojciec Goriot. Jakto! są tu łzy mojej córki, mojej drogiej Delfiny, która nie płakała nigdy będąc dzieckiem! Och! kupię panu inną, niech jej pan już nie nosi, zostaw mi ją. Wszakże Delfina powinna, wedle brzmienia kontraktu, korzystać ze swego majątku. Och, zaraz jutro pójdę do Derville'a, do adwokata. Zażądam stanowczo ulokowania majątku. Znam prawo, ja jestem stary wilk, pokażę im zęby.

— Oto, ojcze, oto tysiąc franków, które chciała mi dać z wygranej. Zachowaj je dla niej, w tej kamizelce.

Goriot spojrzał na Eugeniusza, wyciągnął dłoń rękę aby ująć dłoń studenta, na którą uronił łzę.

— Powiedzie się panu w życiu, rzekł starzec. Bóg, widzisz pan, jest sprawiedliwy. Ja się znam na uczciwości; mogę cię upewnić, że mało jest ludzi, którzyby byli do pana podobni. Chcesz tedy być także mojem drogiem dzieckiem? No, idź, wyśpij się. Możesz spać, nie jesteś jeszcze ojcem. Ona płakała! dowiaduję się o tem! ja, który najspokojniej zajadałem sobie jak głupiec, podczas gdy ona cierpiała; ja, który sprzedałbym Ojca, Syna i Ducha świętego, aby oszczędzić jednej łzy im obu!

— Na honor, rzekł Eugeniusz układając się do snu, zdaje mi się, że będę uczciwym człowiekiem przez całe życie. Jest w tem przyjemność, aby iść za podszeptem sumienia.

Jedynie może ci którzy wierzą w Boga czynią dobro w tajemnicy, Eugeniusz zaś wierzył w Boga. Nazajutrz, w porze balu, Rastignac udał się do pani de Beauséant, która zawiozła go do marszałkowej de Carigliano. Spotkał się z najuprzejmiejszem przyjęciem u marszałkowej, u której zastał panią de Nucingen. Delfina wystroiła się z intencyą podobania się wszystkim, aby tem lepiej spodobać się Eugeniuszowi, którego spojrzenia czekała niecierpliwie, źle ukrywając swą niecierpliwość. Dla każdego, kto umie odgadywać wzruszenia kobiety, chwila ta jest pełna rozkoszy. Któż nie lubował się często w tem aby ociągać się ze słówkiem zachwytu, aby ukrywać zalotnie swą przyjemność, szukać wyznania w rozmyślnie przedłużanym niepokoju, cieszyć się obawami które rozprószy jednym uśmiechem? Podczas tego balu, student zmierzył nagle doniosłość swej pozycyi, i zrozumiał iż ma stanowisko w świecie, będąc uznanym niejako kuzynem pani Beauséant. Podbój pani de Nucingen który mu już przypisywano, stawiał go tak bardzo na świeczniku, iż wszyscy młodzi ludzie mierzyli go spojrzeniami zawiści; pochwyciwszy parę takich spojrzeń, Eugeniusz zakosztował pierwszych upojeń zadowolonej miłości własnej. Przechodząc z jednego salonu do drugiego, mijając grupy, słyszał jak wysławiano jego szczęście. Kobiety przepowiadały mu wszelkie powodzenia. Delfina, lękając się go stracić, przyrzekła mu

nie odmawiać wieczorem pocałunku przed którym tak broniła się przedwczoraj. Na tym balu, Rastignac otrzymał wiele zaproszeń. Kuzynka przedstawiła go kilku kobietom, które wszystkie miały pretensye do elegancyi i których domy uchodziły za przyjemne; odrazu wpadł w największy i najpiękniejszy świat Paryża. Wieczór ten miał tedy dla niego urok świetnego debiutu; miał o nim pamiętać aż do późnej starości, tak jak młoda dziewczyna wspomina bal na którym święciła tryumfy. Kiedy, nazajutrz, przy śniadaniu, opowiadał swoje powodzenia ojcu Goriot wobec pensyonarzy, Vautrin zaczął się uśmiechać w sposób djaboliczny.

— I pan sądzisz, wykrzyknął ten okrutny mistrz logiki, że młody człowiek będący w modzie może mieszkać przy ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, u mamy Vauquer, w gospodzie niezmiernie szacownej pod każdym względem, ani słowa, ale równie niezmiernie oddalonej od światowej wytworności? Niema co, dom bogaty, dom piękny swoim dostatkiem, i dumny iż służy za przelotne zamczysko potomkowi Rastignaców; ale, ostatecznie, jesteśmy tu przy ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, zbytek jest tu nieznany; *patryarchorama*, i koniec. Mój młody przyjacielu, rzekł Vautrin ojcowsko-drwiącym tonem, jeżeli chcesz błyszczeć w Paryżu, trzeba ci mieć trzy konie i *tilbury* na rano, karetę na wieczór, razem dziewięć tysięcy franków na same wehikuły. Byłbyś niegodnym swego losu, gdybyś zostawił tylko trzy tysiące franków rocznie u krawca, sześćset franków w perfumeryi, sto talarów u szewca, sto u kapelusznika. Co się tyczy praczki, będzie cię

kosztowała tysiąc franków. Młodzi ludzie mający powodzenie w świecie, nie mogą nie przestrzegać wzorowo artykułu bielizny: czyż to nie jest rzecz, którą poddają się w ich osobach najczęstszemu egzaminowi? Miłość i kościół wymagają pięknych obrusów na swoich ołtarzach. Doszliśmy do czternastu tysięcy. Nie mówię o tem, ile stracisz na grę, zakłady, podarki; nie podobna tych drobnych wydatków obliczyć niżej dwóch tysięcy. Prowadziłem to życie, znam jego bilans!... Dodaj, do tych pierwszych potrzeb, trzysta ludwików na papu, tysiąc franków na dach nad głową. Razem, piękne dziecię, doliczylibyśmy do dwudziestu pięciu tysięcy na rok, inaczej wleziemy w błoto, ściągniemy na siebie drwiny i możemy pożegnać przyszłość, powodzenie, kochanki! Zapominam służącego i grooma! Czy może Krzysztof będzie nosił twoje czułe bileciki? Czy napiszesz je na papierze, którym dotąd się posługujesz? To byłoby samobójstwo. Wierzaj starcowi pełnemu doświadczenia! dodał stopniując *rinforzando* swój bas, swój głos. Albo przenieś się na cnotliwe poddasze i zawrzyj śluby z pracą, albo obierz inną drogę.

I Vautrin mrugnął okiem, zerkając na pannę Taillefer, jakby chcąc przypomnieć i streścić w tem spojrzeniu kusicielskie rozumowanie jakie zasiał w sercu studenta. Upłynęło kilka dni, w czasie których Rastignac prowadził życie nad wyraz rozprószone. Jadł obiad prawie codziennie u pani de Nucingen, której towarzyszył w *świecie*. Wracał o trzeciej lub czwartej rano, wstawał w południe aby się ubrać, jechał na spacer z Delfiną do lasku kiedy było ładnie, trwoniąc

w ten sposób czas nie znając jego ceny, i wciągając w płuca wszystkie nauki, wszystkie pokusy zbytku z owym żarem z jakim niecierpliwy kielich żeńskiego daktyla przyjmuje zapładniający pył swego oblubieńca. Grał grubo, wygrywał lub przegrywał dużo i przyzwyczaił się w końcu do hulaszczego trybu młodych ludzi w Paryżu. Z pierwszych wygranych sum, odesłał tysiąc pięćset franków matce i siostrom, dołączając ładne upominki. Mimo iż oznajmił że chce opuścić gospodę pani Vauquer, tkwił w niej jeszcze w ostatnich dniach stycznia i nie wiedział jak się stamtąd wydostać. Młodzi ludzie ulegają prawie wszyscy prawu na pozór niewytłómaczonemu, ale którego racya płynie z samej ich młodości i z rodzaju furyi z jaką rzucają się w życie. Bogaci czy biedni, nigdy nie mają pieniędzy na konieczności życia, podczas gdy znajdują je zawsze na swoje zachcenia. Hojni we wszystkiem co uzyskuje się na kredyt, skąpią na rzeczach które się płaci w tejże samej chwili, i zdają się mścić za to czego nie mają, trwoniąc wszystko co mogą mieć. Toteż, aby jasno postawić kwestyę, student dba o wiele więcej o kapelusz co o ubranie. Olbrzymia suma zysku sprawia iż krawiec zasadniczo skłonny jest do kredytu, podczas gdy nikłość sumy czyni kapelusznika bezwarunkowo nieprzystępnym. Jeżeli młody człowiek usadowiony na balkonie olśniewa lornetki ładnych kobiet przepychem kamizelek, wątpliwem jest czy ma skarpetki: pończosznik należy również do tych czerwiów sakiewki. Rastignac był w tem położeniu. Zawsze pusta dla pani Vauquer, zawsze pełna dla wymagań próżności, sakiewka jego przecho-

dziła fazy księżycowe, w stałej niezgodzie z najbardziej naturalnemi wypłatami. Aby opuścić cuchnącą i plugawą gospodę którą upokarzała periodycznie jego pretensye, czyż nie trzeba było zapłacić należności i umeblować nowego wykwintnego apartamentu? Była to wciąż rzecz niemożliwa. Aby wydostać pieniądze na grę, Rastignac umiał brać na kredyt u jubilera złote zegarki i łańcuszki, drogo opłacane z wygranej, które zanosił do Banku miłosierdzia, tego ponurego i dyskretnego przyjaciela młodzieży; znajdował się natomiast bez inwencyi i energii gdy chodziło o to aby opłacić jedzenie, mieszkanie lub kupić niezbędne sprzęty. Pospolita konieczność, długi zaciągnięte na zaspokojone już potrzeby, niezdolne go były natchnąć. Jak większość tych którzy znali to cygańskie życie, zwlekał do ostatniej chwili z wyrównaniem należytości świętych w oczach mieszczucha. Tak robił Mirabeau, który płacił rachunek za chleb jedynie wówczas, kiedy się zjawił w piorunującej formie pozwu sądowego. W tej epoce, Rastignac stracił już gotowiznę i wszedł w długi. Student zaczynał rozumieć, że niepodobna mu będzie prowadzić tej egzystencyi bez stałych źródeł dochodu. Ale, wzdychając pod kolącemi dokuczliwościami swej kruchej sytuacyi, czuł się niezdolnym wyrzec nieporównanych rozkoszy tego życia, które chciał podtrzymać za każdą cenę. Przypadki, na jakie liczył rojąc o fortunie, stawały się chimeryczne, rzeczywiste zaś przeszkody rosły. Wtajemniczając się w sekrety domowe obojga państwa de Nucingen, przekonał się, iż aby zamienić miłość w narzędzie fortuny, trzebaby wypić całą czarę bezwstydu

i wyrzec się szlachetnych pojęć które są rozgrzeszeniem błędów młodości. To życie, świetne na zewnątrz, ale żarte wszystkimi tasiemcami wyrzutu, życie którego ulotne przyjemności okupywał drogo ciągłemi zgryzotami, stało mu się nałogiem, tarzał się w niem, czyniąc sobie, jak *Postrzeleniec* la Bruyère'a, legowisko w błotnym rowie; ale, jak *Postrzeleniec*, dotąd walał jedynie odzież.

— Zabiliśmy tedy mandaryna? rzekł doń jednego dnia Bianchon, wstając od stołu.

— Jeszcze nie, odparł, ale rzęzi.

Student medycyny wziął to słowo za żart, podczas gdy nie było ono żartem. Eugeniusz, który, po raz pierwszy od dłuższego czasu, jadł obiad w domu, trwał, przez cały czas posiłku, w zadumie. Zamiast wyjść po deserze, został w jadalni obok panny Taillefer, rzucając od czasu do czasu wymowne spojrzenia w jej stronę. Kilku pensyonarzy siedziało jeszcze przy stole i jadło orzechy, inni przechadzali się wiodąc rozpoczęte dyskusye. Jak prawie co wieczora, każdy opuszczał pokój kiedy chciał, zależnie od stopnia zainteresowania jakie budziła w nim rozmowa, lub większej albo mniejszej ociężałości o jaką przyprawiało go trawienie. W zimie, rzadko zdarzało się aby jadalnia zupełnie opróżniła się przed ósmą: o tej porze, cztery kobiety zostawały same i brały odwet za milczenie, jakie skromność płci narzucała im pośród męzkiego zebrania. Uderzony zadumą w jakiej zdawał się tonąć Eugeniusz, Vautrin pozostał w jadalni, mimo iż zrazu zdawał się kwapić do wyjścia; ale trzymał się stale w ten sposób aby nie być widzianym przez

Eugeniusza, który myślał iż już odszedł. Następnie, zamiast przyłączyć się do ostatniej grupy odchodzących, przyczaił się podstępnie w salonie. Czytał w duszy studenta i przeczuwał stanowczy zwrot. Rastignac znajdował się, w istocie, w owem niezdecydowanem położeniu, jakie poznało z pewnością wielu młodych ludzi. Wiedziona uczuciem czy zalotnością, pani de Nucingen przeprowadziła Rastignaca przez wszystkie męki prawdziwej namiętności, rozwijając dlań zasoby dyplomacyi niewieściej praktykowane w Paryżu. Naraziwszy się w oczach publiczności aby zagarnąć na własność kuzyna pani de Beauséant, wahała się z udzieleniem mu w rzeczywistości praw, któremi zdawał się cieszyć. Od miesiąca, drażniła tak skutecznie zmysły Eugeniusza, iż wreszcie dosięgła jego serca. Jeżeli w pierwszych chwilach stosunku, student uważał się za zwycięzcę, z czasem pani de Nucingen stała się silniejszą, zapomocą tego manewru który wprawiał w Eugeniuszu w ruch wszystkie złe czy dobre uczucia owego podwójnego lub potrójnego człowieka jaki znajduje się w każdym młodym Paryżaninie. Czy było to wyrachowanie? Nie; kobiety są zawsze szczere, nawet wśród największych fałszów, ponieważ zawsze ulegają jakiemuś naturalnemu uczuciu. Być może, Delfina, pozwoliwszy młodemu człowiekowi uzyskać nad sobą taką władzę i okazawszy mu zbyt wiele sympatyi, była posłuszna uczuciu godności, które nakazywało jej albo cofnąć swe ustępstwa albo też przynajmniej je zawiesić. Tak naturalnem jest u Paryżanki, w samej-że chwili w której namiętność ją ponosi, wahać się w momencie upadku, doświadczać serca tego

któremu ma wydać swą przyszłość! Wszystkie nadzieje pani de Nucingen doznały zawodu za pierwszym razem, a wierność jej dla młodego egoisty została zapoznana. Miała słuszne prawo być nieufną. Być może spostrzegła w zachowaniu Eugeniusza, który, pod wpływem szybkiego powodzenia, stał się próżnym, rodzaj lekceważenia spowodowanego szczególnemi okolicznościami ich stosunku. Pragnęła zapewne wydać się imponującą tak młodemu chłopcu, i być wielką wobec niego, bywszy tak długo małą wobec tego który ją porzucił! Nie chciała, aby Eugeniusz uważał ją za łatwą zdobycz, właśnie dlatego że wiedział że należała do de Marsaya. Tam, była łupem upokarzającej rozrywki, miłostką prawdziwego potwora, młodzieńca-rozpustnika; obecnie przeto sprawiało jej rozkosz przechadzać się po ukwieconych alejach miłości, podziwiać wszystkie ich perspektywy, słuchać długo ich delikatnego drżenia, i dać się długo pieścić niewinnym powiewom wietrzyku. Prawdziwa miłość płaciła za nędze zwodniczej. Ten paradoks będzie, na nieszczęście, częsty, jak długo mężczyźni nie będą wiedzieli ile kwiatów koszą w duszy młodej kobiety pierwsze ciosy zawodów. Jakiekolwiek zresztą były jej pobudki, Delfina igrała z Rastignakiem i znajdowała przyjemność w tem aby z nim igrać, zapewne dlatego iż wiedziała, że jest kochaną, i miała świadomość iż może zakończyć zgryzoty kochanka, wedle swego królewskiego kaprysu kobiety. Przez szacunek dla samego siebie, Eugeniusz nie chciał aby jego pierwsza bitwa miała się skończyć porażką; upierał się w pościgu, jak młody strzelec, który chce bezwarunkowo

zastrzelić pierwszą kuropatwę. Jego lęki, podrażniona miłość własna, fałszywe lub prawdziwe rozpacze, wszystko przywiązywało go coraz więcej do tej kobiety. Cały Paryż uważał go za kochanka pani de Nucingen, podczas gdy on nie był z nią ani na krok bliżej niż w dniu gdy ją widział po raz pierwszy. Nie wiedząc jeszcze iż zalotność kobiety daje niekiedy więcej korzyści niż jej miłość rozkoszy, wpadał w niedorzeczne napady wściekłości. Nowalie tej broniącej się zalotności stawały się dlań równie kosztowne, jak były zielone, kwaskowate i rozkoszne w smaku. Niekiedy, widząc się bez grosza, bez przyszłości, myślał, mimo głosu sumienia, o widokach fortuny której możliwość ukazał mu Vautrin w małżeństwie z panną Taillefer. Otóż, Eugeniusz znajdował się wówczas w chwili w której nędza mówiła tak głośno, iż uległ prawie mimowoli pokusom straszliwego sfinksa, którego spojrzenia działały na niego magnetycznie. Skoro Poiret i panna Michonneau udali się do siebie, Rastignac, w mniemaniu iż niema nikogo w pokoju prócz pani Vauquer i pani Couture, która, drzemiąc przy piecu, robiła szydełkiem włóczkowe mitenki, spojrzał na pannę Taillefer w ten sposób iż dziewczyna spuściła oczy.

— Czy pan ma jakie zmartwienie, panie Eugeniuszu? rzekła Wiktoryna po chwili milczenia.

— Któż nie ma swoich zmartwień? odparł Rastignac. Gdybyśmy my, młodzi ludzie, mogli mieć pewność iż ktoś nas prawdziwie kocha, z oddaniem zdolnem wynagrodzić poświęcenia do jakich za-

wsze jesteśmy gotowi, nie istniałyby dla nas zmartwienia.

Panna Taillefer rzuciła mu, za całą odpowiedź, spojrzenie bynajmniej nie dwuznaczne.

— Pani, panno Wiktoryno, czujesz się pewną swego serca dzisiaj, ale czy mogłabyś zaręczyć, iż nigdy się ono nie zmieni?

Uśmiech zjawił się na wargach biednej dziewczyny, niby promień który wytrysnął z duszy, i rozświetlił tak bardzo jej twarz, iż Eugeniusz przeraził się widząc tak żywy wybuch uczucia.

— Jakto! gdyby jutro była pani bogatą i szczęśliwą, gdyby olbrzymia fortuna spadła na panią z chmur, kochałabyś jeszcze ubogiego młodego człowieka, który był ci miły w czasie twoich smutnych dni?

Skinęła z wdziękiem głową.

— Młodego człowieka bardzo nieszczęśliwego?

Nowy znak.

— Cóż za niedorzeczności pan tam wyplata? wykrzyknęła pani Vauquer.

— Niech nas pani zostawi, odparł Eugeniusz, my się rozumiemy.

— Czyżby to zatem były zrękowiny między panem kawalerem Eugeniuszem de Rastignac a panną Wiktoryną Taillefer? rzekł Vautrin grubym głosem, ukazując się nagle w drzwiach jadalni.

— Och! przestraszył mnie pan, rzekły równocześnie pani Couture i pani Vauquer.

— Mógłbym uczynić gorszy wybór, odparł śmiejąc się Eugeniusz, którego głos Vautrina przejął naj-

Uczyniłbym wcale niezgorszy wybór,

żywszem wzruszeniem jakie kiedykolwiek odczuł w życiu.

— Bez niemądrych żartów, panowie! rzekła pani Couture. Moje dziecko, idziemy do siebie.

Pani Vauquer udała się za stołowniczkami, aby oszczędzić świecy i ognia spędzając wieczór w ich pokoju. Eugeniusz znalazł się sam na sam z Vautrinem.

— Wiedziałem, że do tego dojdziesz, rzekł ów człowiek zachowując niezmąconą zimną krew. Ale słuchaj pan! i ja mam swoją delikatność tak jak każdy inny. Nie decyduj się w tej chwili, nie jesteś w normalnem usposobieniu. Masz długi. Nie chcę, abyś mi się oddał w ręce pod wpływem namiętności, z rozpaczy; chcę, abyś to uczynił z wyrozumowania. Może trzeba panu jakiego tysiąca talarów? Ot, chce pan?

Demon wydobył z kieszeni pulares i wyjął trzy bilety bankowe, którymi błysnął przed oczyma studenta. Eugeniusz znajdował się w straszliwem położeniu. Winien był margrabiemu d'Ajuda i hrabiemu de Trailles sto ludwików przegranych na słowo. Nie miał ich, nie śmiał iść spędzić wieczór u pani de Restaud, gdzie go oczekiwano. Był to jeden z owych wieczorów bez ceremonii, gdzie się chrupie ciasteczka, pije herbatę, ale gdzie można przegrać sześć tysięcy franków w wista.

— Panie, rzekł Eugeniusz, ukrywając z trudem konwulsyjne drżenie, po tem co mi pan zwierzył, zrozumie pan że niepodobna mi zaciągać wobec niego zobowiązań.

— Brawo! uczyniłbyś mi pan przykrość mówiąc inaczej, odparł kusiciel. Wspaniały z ciebie młodzieniec, delikatny, dumny jak lew, a słodki jak młoda panienka. Byłbyś pięknym łupem dla djabła. Lubię ten gatunek młodych ludzi. Jeszcze parę refleksyj z zakresu wysokiej polityki, a ujrzysz świat takim jak jest. Odgrywając małą komedyjkę cnoty, człowiek wyższy czyni zadość wszystkim swoim zachceniom, wśród hucznych oklasków głupców zapełniających parter. Za niewiele dni będziesz należał do nas. Och! gdybyś chciał zostać moim uczniem, doprowadziłbym cię do wszystkiego. Zaledwie powziąłbyś pragnienie, już byłoby zaspokojone, czegokolwiekbyś mógł sobie życzyć: zaszczytów, fortuny, kobiet. Podalibyśmy ci całą cywilizacyę w formie ambrozyi. Byłbyś naszem pieszczonem dzieckiem, naszym Benjaminkiem, dalibyśmy się wszyscy z przyjemnością zatracić dla ciebie. Zmiażdżylibyśmy wszystko, coby ci było przeszkodą. Jeżeli masz jakieś skrupuły, bierzesz mnie zatem za zbrodniarza? Otóż, człowiek który posiadał tyleż uczciwości ile ty jej masz jeszcze we własnem mniemaniu, wielki Turenne, uprawiał, nie uważając aby mu to ubliżało, małe konszachty z opryszkami. Nie chcesz mi być zobowiązanym, co? O to najmniejsza, ciągnął Vautrin uśmiechając się. Weź te świstki i napisz tutaj, rzekł wyjmując weksel, o tu, w poprzek: *Przyjęte na sumę trzech tysięcy pięciuset franków, płatnych za rok od daty*. I połóż datę! Procent jest dość pokaźny aby ci odjąć wszelki skrupuł; możesz mnie nazwać lichwiarzem i uważać się za wolnego od wszelkiej wdzięczności. Pozwalam ci gardzić mną dzisiaj,

z tą pewnością iż później będziesz mnie kochał. Znajdziesz we mnie owe bezbrzeżne przepaści, owe rozległe skupienia uczuć, które głupcy nazywają występkiem; ale nie ujrzysz mnie nigdy tchórzem ani niewdzięcznikiem.

— Cóż za człowiek z pana? wykrzyknął Eugeniusz. Wziął pan sobie za zadanie życia aby mnie dręczyć.

— Ależ nie, ja jestem dobry człeczyna, który chce się upaćkać, abyś ty mógł zostać czysty od błota na całe życie. Spytasz, czemu to poświęcenie? Dobrze, powiem ci to pocichu, kiedyś, do samego ucha. Zdumiałem cię kiedyś, pokazując ci zegar porządku społecznego i mechanizm jego ustroju; ale twoje pierwsze przerażenie przejdzie tak jak strach rekruta na polu bitwy. Oswoisz się z myślą aby patrzeć na ludzi jak na żołnierzy, gotowych zginąć dla służby tych, którzy się sami namaszczą na królów. Czasy zmieniły się bardzo! Niegdyś, mówiło się do zucha: »Oto sto talarów, sprzątnij mi pana takiego a takiego«; i wieczerzało się spokojnie, wpakowawszy pod ziemię człowieka dla jednego *tak* lub *nie*. Dziś ja ofiaruję ci piękną fortunę w zamian za skinienie głowy, które nie naraża cię w niczem, i ty się wahasz! Miękka epoka!

Eugeniusz podpisał weksel i wymienił go za banknoty.

— Więc dobrze, teraz pomówmy rozsądnie, ciągnął Vautrin. Chcę, od dziś za kilka miesięcy, puścić się do Ameryki, hodować tam tytoń. Przyślę ci cygar jako przyjacielski upominek. Jeżeli zrobię majątek,

będę ci pomagał. Jeżeli nie będę miał dzieci (rzecz prawdopodobna, nie palę się bowiem do tego aby utrwalać mą rasę), w takim razie zapiszę ci majątek. Czy to się nazywa przyjaźń? Tak, ja ciebie kocham. Mam tę namiętność aby się poświęcać dla drugiego. Już to robiłem. Widzisz, mój chłopcze, ja żyję w sferze wyższej niż inni ludzie. Uważam czyny za środki, a widzę jedynie cel. Co jest człowiek dla mnie? Ot, tyle! rzekł strzelając paznogciem wielkiego palca o ząb. Człowiek, to wszystko lub nic. Mniej niż nic, kiedy się nazywa Poiret: można go zdeptać jak pluskwę, jest płaski i cuchnie. Ale człowiek jest bogiem, kiedy jest podobny do ciebie: to już nie okryta skórą maszynerya, to teatr na którym poruszają się najpiękniejsze uczucia, a ja żyję jedynie uczuciami. Uczucie, czyż to nie jest świat zawarty w myśli? Patrz na ojca Goriot: córki są dla niego całym światem, nitką zapomocą której kieruje się w przyrodzie. Otóż, dla mnie, który dobrze zgłębiłem życie, istnieje tylko jedno rzeczywiste uczucie; przyjaźń między dwoma mężczyznami. Piotr i Jaffier, oto moja namiętność. Umiem *Wenecyę ocaloną* na pamięć. Czy widziałeś dużo ludzi dość tęgich, aby, kiedy kamrat im powie: »Chodźmy pochować człowieka!« poszedł nie mruknąwszy słowa i nie nudząc go morałami? Ja to zrobiłem. Nie mówiłbym do każdego w ten sposób. Ale pan, pan jesteś człowiekiem wyższym, można ci wszystko powiedzieć, umiesz wszystko zrozumieć. Nie będziesz długo wystawał w tych bajorach w których żyją płazy jakie nas tu otaczają. A zatem, wszystko ułożone. Ożenisz się. Niech każdy z nas dobędzie swo-

jej klingi! Moja jest z żelaza i nie mięknie nigdy, he, he!

Vautrin wyszedł, nie chcąc słyszeć przeczącej odpowiedzi studenta, aby mu zostawić swobodę. Możnaby rzec, iż zna tajemnicę tych małych wzdragań, tych walk, w jakie ludzie stroją się sami przed sobą, i które służą im do usprawiedliwienia nagannych czynności.

— Niech robi co mu się podoba, to pewna że nie ożenię się z panną Taillefer, rzekł sobie Eugeniusz.

Przeszedłszy wzruszenia wewnętrznej gorączki jaką spowodowała w nim myśl o sojuszu z tym człowiekiem który budził w nim wstręt, ale który rósł w jego oczach przez cynizm swoich poglądów i odwagę z jaką ogarniał społeczeństwo, Rastignac ubrał się, posłał po dorożkę i pojechał do pani de Restaud. Od kilku dni, kobieta ta zdwoiła uprzejmość dla młodego człowieka, którego każdy krok był postępem w sercu wielkiego świata i którego wpływ zapowiadał się na przyszłość groźnie. Zapłacił dług pp. de Trailles i d'Ajuda, grał w wista przez część nocy i odegrał to co był stracił. Przesądny jak większość ludzi mających dzieło życia przed sobą, którzy są mniej lub więcej fatalistami, chciał widzieć w swojem szczęściu nagrodę Nieba za wytrwałość z jaką upierał się zostać na dobrej drodze. Nazajutrz rano, skwapliwie spytał Vautrina czy ma jeszcze ów weksel. Na odpowiedź twierdzącą, oddał mu trzy tysiące franków, objawiając dość naturalne zadowolenie.

— Wszystko idzie dobrze, rzekł Vautrin.

— Ależ ja nie mam z panem nic wspólnego, rzekł Eugeniusz.

— Wiem, wiem, odparł Vautrin, przerywając. Jeszcze tkwisz w swoich dziecińst wach! Robisz ceremonie sam ze sobą.

W dwa dni później, Poiret i panna Michonneau siedzieli na ławce, w słońcu, w ustronnej alei Botanicznego Ogrodu, i rozmawiali z człowiekiem, który słusznie wydał się podejrzany, słuchaczowi medycyny.

— Droga pani, mówił p. Gondureau, nie rozumiem, skąd biorą się pani skrupuły. Jego Ekscelencya pan minister policyi...

— A! Jego Ekscelencya pan minister policyi!... powtórzył Poiret.

— Tak, Jego Ekscelencya interesuje się tą sprawą, rzekł Gondureau.

Komu nie wyda się nieprawdopodobnem, że Poiret, dawny urzędnik, bezwątpienia człowiek pełen cnót mieszczańskich mimo iż wyzuty z myśli, słuchał dalej rzekomego rentjera z ulicy Buffon, z chwilą gdy ten wymówił słowo *policya*, odsłaniając w ten sposób fizyognomię szpicla poprzez maskę uczciwego człowieka? Nic prostszego wszelako. Aby lepiej zrozumieć specyalny gatunek, do jakiego, wśród wielkiej rodziny głupców, należał Poiret, wystarczy spostrzeżenie, dokonane już przez wielu obserwatorów, ale, aż dotąd, nie utrwalone drukiem. Istnieje naród pióronośny, wciśnięty w budżecie pomiędzy pierwszym stopniem szerokości który obejmuje płace tysiąca dwustu franków — rodzaj Grenlandyi biurokratycznej — a trzecim stopniem, gdzie zaczynają się płace nieco cieplejsze, od trzech do sześciu tysięcy franków, strefa umiarkowana, gdzie kiełkuje, ba, kwitnie nawet, mimo trudności hodowli,

gratyfikacya. Jednym ze znamiennych rysów, który lepiej ujawnia kaleczą ciasnotę tego podrzędnego plemienia, jest rodzaj mimowolnego, machinalnego, instynktownego szacunku dla owego Wielkiego Lamy we wszelkiem ministeryum, znanego urzędnikom z nieczytelnego podpisu pod mianem JEGO EKSCELENCYI PANA MINISTRA, czterech słów równoznacznych z *il Bondo Cani* w *Kalifie Bagdadzkim.* Słowo to, w oczach tego płaskiego ludu, przedstawia potęgę świętą, bez odwołania. Jak papież dla chrześcijan, Jego Ekscelencya jest administracyjnie nieomylna w oczach urzędnika; blask jaki rzuca udziela się JEJ aktom, słowom, tym które wygłasza się w JEJ imieniu; pokrywa wszystko swoim haftem, i uprawnia czynności jakie nakazuje; miano *Ekscelencyi* które stwierdza czystość intencyj i świętość zamiarów, służy za paszport najmniej dopuszczalnym zamysłom. To, czego ci biedni ludzie nie uczyniliby w swoim interesie, pełnią skwapliwie z chwilą gdy słowo »Jego Ekscelencya« pogłaszcze ich uszy. Biurokracya ma swoje bierne posłuszeństwo, jak armia swoje: system, który dławi sumienie, unicestwia człowieka, i w końcu, z czasem, czyni zeń szrubkę lub mutrę w machinie administracyjnej. Toteż, p. Gondureau, który zdawał się znać na ludziach, rozpoznał rychło w Poirecie jednego z owych tumanów biurokratycznych i wydobył swoje *Deus ex machina,* czarodziejskie miano »Jego Ekscelencyi«, w chwili gdy trzeba było, odsłaniając swoje baterye, olśnić Poireta, który zdawał się samczykiem jejmościanki Michonneau, tak jak jejmościanka Michonneau zdawała się samiczką Poireta.

— Z chwilą gdy sam Jego Ekscelencya, Jego Ekscelencya pan minister... A, to całkiem co innego, rzekł Poiret.

— Słyszy pani, co mówi pan Poiret, w którego sądzie zdaje się pani pokłada zaufanie, podjął rzekomy rentjer, zwracając się do panny Michonneau. Otóż, Jego Ekscelencya ma obecnie zupełną pewność, iż mniemany Vautrin, zamieszkały w gospodzie Vauquer, jest zbrodniarzem zbieglym z galer tulońskich, gdzie znają go pod przydomkiem *Ołży-śmierci.*

— A, Ołży-śmierć! rzekł Poiret, szczęśliwy człowiek, jeżeli zasłużył na to imię.

— Najzupełniej, odparł agent. Przydomek ten zawdzięcza szczęściu, z jakiem zdołał zawsze ocalić życie wśród nadzwyczaj ryzykownych przedsięwzięć na które się ważył. To niebezpieczna sztuka, hoho! Posiada on przymioty, które czynią zeń nadzwyczajnego człowieka. Nawet jego skazanie, to coś, co przyniosło mu w jego świecie niezmiernie wiele honoru...

— Więc to człowiek honorowy? spytał Poiret.

— Na swój sposób. Zgodził się wziąść na siebie zbrodnię kogoś drugiego, fałszerstwo dokonane przez nader urodziwego młodego człowieka, którego bardzo kochał, młodego Włocha nieco lubiącego grę... Młodzian ten wstąpił do służby wojskowej, gdzie zresztą prowadzenie jego było bez zarzutu.

— Ale, jeżeli Jego Ekscelencya p. minister policyi jest pewny, że p. Vautrin jest tym Ołży-śmiercią, pocóż mu jeszcze trzeba mojej pomocy? spytała panna Michonneau.

— Prawda! rzekł Poiret, w istocie, jeżeli minister, jak pan był łaskaw nam oświadczyć, posiada niejaką pewność...

— Pewność, tego nie można powiedzieć; ale podejrzenie. Zaraz zrozumiecie, kwestyę. Jakób Collin, zwany Ołży-śmiercią, posiada pełne zaufanie trzech galer, które obrały go swoim zawiadowcą i bankierem. Ciągnie wielkie zyski z prowadzenia tego rodzaju interesów, które, z konieczności, wymagają człowieka nacechowanego...

— A, a! czy pani rozumie kalambur? rzekł Poiret. Pan nazywa Vautrina człowiekiem *nacechowanym*.

— Fałszywy Vautrin, ciągnął ajent, przyjmuje kapitały pp. zbrodniarzy, umieszcza je, przechowuje, i trzyma do rozporządzenia tych którzy zdołają się wymknąć, ich rodzin lub kochanek, o ile wydadzą zarządzenia w tej intencyi.

— Kochanek! Chce pan powiedzieć żon? zauważył Poiret.

— Nie, panie. Zbrodniarze posiadają zazwyczaj jedynie nieprawe żony, które nazywamy nałożnicami.

— Żyją tedy wszyscy w stanie nałożnictwa?

— Oczywiście.

— A, wie pan, rzekł Poiret, to skandal, którego pan minister nie powinien cierpieć. Skoro pan masz zaszczyt widywać Jego Ekscelencyę, do pana, który zdajesz mi się przeniknięty ideami filantropijnemi, należy oświecić go co do niemoralnego prowadzenia tych ludzi, dających w tej mierze bardzo zły przykład reszcie społeczeństwa.

— Ależ, panie, rząd nie trzyma ich poto, aby służyli za model wszelkich cnót...

— To prawda. Jednakże, przyzna pan...

— Ależ pozwól panu mówić, kotusieczku, rzekła panna Michonneau.

— Rozumie pani tedy sprawę, podjął Gondureau. Rząd może mieć wielki interes w tem, aby położyć rękę na nielegalnej kasie, która sięga ponoś wcale okazałej kwoty: Ołży-śmierć inkasuje znaczne walory, przechowując nietylko sumy będące własnością licznych towarzyszy, ale także depozyty Stowarzyszenia dziesięciu tysięcy...

— Dziesięć tysięcy złodziei! wykrzyknął Poiret przerażony.

— Nie, Stowarzyszenie Dziesięciu tysięcy jest kompanią złodziei w wielkim stylu, ludzi którzy operują na wielką skalę i nie biorą się do sprawy, w której nie byłoby najmniej dziesięciu tysięcy franków do zarobienia. Kompania ta składa się z najprzedniejszej śmietanki naszej klienteli. Ci ludzie znają kodeks i nie narażają się nigdy na to, aby podpaść pod paragraf o karze śmierci, w razie jeśli ich przychwycą. Collin jest ich mężem zaufania, ich doradcą. Przy pomocy swoich olbrzymich środków, człowiek ten zdołał sobie stworzyć całą własną policyę, stosunki bardzo rozległe, które osłania nieprzeniknioną tajemnicą. Mimo iż od roku otoczyliśmy go szpiegami, nie mogliśmy jeszcze przeniknąć jego gry. Jego kasa i talenty służą tedy ciągle poto aby wspierać występek, dostarczać zasobów zbrodni i utrzymywać armię nicponi, którzy są w stanie ustawicznej wojny ze społeczeństwem.

Chwycić Collina i dostać w ręce jego bank, toby znaczyło uciąć zło u samych korzeni. Toteż, ta wyprawa stała się sprawą Stanu, i wysokiej polityki, zdolną okryć chwałą tych, którzy przyczynią się do jej powodzenia. Pan sam, proszę pana, będziesz mógł wrócić na nowo do urzędu, zostać sekretarzem komisarza policyi, które-to czynności nie będą panu przeszkadzały pobierać nadal emerytury.

— Ale dlaczego, rzekła panna Michonneau, ten Collin nie ulotni się z kasą?

— Och! rzekł ajent, wszędzie gdziekolwiekby się udał, podążyłby za nim człowiek mający zlecenie zabić go, o ileby okradł galery. Następnie, kasy nie da się wykraść równie łatwo jak się wykrada pannę z dobrego domu. Zresztą, Collin jest zuchem niezdolnym uczynić podobnej rzeczy, uważałby to sobie za hańbę.

— Tak, rzekł Poiret, ma pan słuszność, toby go bezwarunkowo okryło hańbą.

— Wszystko to nie tłómaczy, dlaczego panowie nie chcecie go poprostu uwięzić, zauważyła panna Michonneau.

— Zatem, proszę pani, wytłómaczę się jaśniej... Ale, rzekł jej do ucha, niech pani nie pozwoli panu Poiret przerywać, inaczej nigdy nie dojdziemy do końca. Starowina musiałby mieć gruby majątek, aby znaleźć sobie słuchaczy. Ołży-Śmierć, przybywając tutaj, przywdział skórę uczciwego człowieka, przedzierżgnął się w godnego paryzkiego mieszczucha, umieścił się w przyzwoitym pensyonacie; to sprytny ptaszek! hoho! Zatem, p. Vautrin jest szanownym człowiekiem, który prowadzi znaczniejsze interesy.

— Oczywiście, rzekł Poiret do siebie.

— Otóż, gdyby zdarzyło się nam pomylić i uwięzić prawdziwego p. Vautrin, minister nie ma ochoty poruszyć przeciw sobie kupiectwa paryzkiego, ani opinii publicznej. P. prefekt policyi nie siedzi zbyt pewnie na krześle, ma wrogów. Gdyby okazała się pomyłka, ci którzy dybią na jego miejsce, skorzystaliby z hałasu i ujadań literatów aby go wysadzić. Chodzi o to, aby postąpić sobie jak w sprawie Cogniarda, fałszywego hrabiego de Saint-Helène; gdyby to był prawdziwy hrabia de Saint-Helène, ładniebyśmy wpadli. Toteż, trzeba sprawdzić!

— Tak, ale nato trzeba panom ładnej kobiety, rzekła żywo panna Michonneau.

— Ołży-Śmierć nie dałby się wziąć kobiecie, rzekł ajent. Zdradzę pani jego tajemnicę: nie lubi kobiet.

— Ależ, nie widzę w takim razie, na co mogę być potrzebna do podobnego sprawdzenia, w przypuszczeniu iż zgodziłabym się to uczynić za dwa tysiące franków.

— Nic łatwiejszego, rzekł nieznajomy. Doręczę pani flakon zawierający dawkę płynu przyrządzonego tak, aby spowodować uderzenie krwi, które nie grozi żadnem niebezpieczeństwem a udaje apopleksyę. Miksturę tę można domięszać zarówno do wina jak do kawy. Natychmiast każe pani przenieść go do łóżka, i rozbierzesz go dla przekonania się czy żyje. W chwili gdy pani znajdzie się z nim sama, klapnie go pani po ramieniu, paf! i ujrzy pani jak wystąpią litery.

— Ależ to bagatela, rzekł Poiret.

— I cóż, zgadza się pani? rzekł Gondureau do starej panny.

— Ale, ~~mój, drogi~~ panie, rzekła panna Michonneau, w razie gdyby nie było liter, czy także dostanę dwa tysiące ~~franków~~?

— Nie.

— ~~Jakież będzie~~ wtedy odszkodowanie?

— Pięćset franków.

— Robić taką rzecz za tak małą kwotę! Zło w sumieniu jest jednakie, a ja muszę uspokoić moje sumienie, ~~proszę pana~~.

— Upewniam pana, rzekł Poiret, że panna Michonneau ma bardzo czułe sumienie, nie mówiąc iż jestto osoba nader miła i inteligentna.

— Zatem, podjęła panna Michonneau, niech pan da trzy tysiące, ~~franków~~ jeżeli to jest Ołży-Śmierć, a nic, jeżeli porządny człowiek.

— Stoi! rzekł Gondureau, ale pod warunkiem, że załatwimy się z tem jutro.

— Jeszcze nie, drogi panie, muszę poradzić się spowiednika.

— Filutka! rzekł agent podnosząc się z ławki. Do jutra tedy. A gdyby pani potrzebowała pilno ze mną mówić, przyjdź pani na uliczkę św. Anny, na końcu dziedzińca Sainte-Chapelle. Są tylko jedne drzwi ~~pod sklepieniem~~. Spytaj pani o pana Gondureau.

Bianchon, który wracał z wykładu Cuviera, zwrócił uwagę na oryginalny przydomek *Ołży-Śmierci*, ~~jaki~~ dobiegł jego ucha, oraz usłyszał owo *Stoi!* słynnego naczelnika policyi, ~~bezpieczeństwa~~.

— Dlaczego pani nie dobije sprawy? Toby dało trzysta franków dożywotniej renty, rzekł Poiret do panny Michonneau.

— Dlaczego? rzekła. Ależ, trzeba się zastanowić. Gdyby p. Vautrin był tym *Ołży-Śmiercią*, być może korzystniej byłoby z nim się ułożyć. Tak, ale prosić go o pieniądze, toby znaczyło ostrzedz go, a ten człowiek byłby zdolny dać nogę *gratis*. To byłby szkaradny psikus.

— Gdybyśmy go nawet uprzedzili, rzekł Poiret, czyż ten jegomość nie mówił że on jest pod dozorem? Pani zaś straciłaby wszystko.

— Przytem, pomyślała panna Michonneau, ja nie lubię tego człowieka! Zawsze mi tylko znajdzie coś niemiłego do powiedzenia.

— Ale, dodał Poiret, tak postąpi pani lepiej. Wedle tego co mówił ten pan, który wydaje się bardzo przyzwoitym człowiekiem, jestto akt posłuszeństwa wobec praw uwolnić społeczeństwo od zbrodniarza, choćby był nawet pełen cnót. Czem skorupka nasiąknie, tem trąci. Gdyby mu przyszła ochota wymordować nas wszystkich? Ale, co, u djabła! bylibyśmy winni wszystkich jego mordów, nie licząc iż padlibyśmy pierwsi ich ofiarą.

Panna Michonneau była zbyt pochłonięta myślami aby módz słuchać zdań kapiących, jedno po drugiem, z ust Poireta, niby krople wody które sączą się przez kurek źle zamkniętego zbiornika. Skoro starzec raz zaczął seryę swoich aforyzmów, a panna Michonneau go nie zatrzymała, mówił ciągle, nakształt nastawionego przyrządu. Rozpocząwszy pierwszy przed-

miot, przechodził, zapomocą szeregu nawiasów, do zupełnie przeciwnych, nie wyciągając żadnej konkluzyi. Dochodząc do bramy pensyonatu, zabrnął w szereg wywodów i cytat, przytaczając szeroko swoje zeznania w sprawie p. Ragoulleau i pani Morin, gdzie wezwano go jako świadka na korzyść obrony. Wchodząc, towarzyszka jego zauważyła Eugeniusza de Rastignac zatopionego z panną Taillefer w poufnej gawędce, która tak pochłaniała oboje, iż para nie zwróciła najmniejszej uwagi na dwoje starych pensyonarzy mijających jadalnię.

— To musiało się tak skończyć, rzekła panna Michonneau do Poireta. Robili do siebie od tygodnia słodkie oczy, aż mdło było patrzeć.

— Tak, odparł. Toteż ją skazano.

— Kogo?

— Panią Morin.

— Ja mówię o Wiktorynie, rzekła Michonneau, która, nie myśląc o tem, weszła do pokoju Poireta, a pan mi opowiada o pani Morin. Cóż to znów za jedna?

— A cóż zawiniła panna Wiktoryna? spytał Poiret.

— Zawiniła to, iż kocha się w p. Eugeniuszu de Rastignac i brnie coraz dalej, nie wiedząc dokąd ją to zaprowadzi, biedną trusię!

W ciągu tego poranka, pani de Nucingen przywiodła Eugeniusza do rozpaczy. W głębi serca, oddał się już zupełnie Vautrinowi, nie chcąc zgłębiać ani pobudek przyjaźni jaką żywił dlań ten niezwykły człowiek, ani przyszłości podobnego związku. Trzeba było

cudu, aby go wydobyć z otchłani, w jaką już postawił nogę od godziny, wymieniając z panną Taillefer najsłodsze obietnice. Wiktorynie zdawało się, że słyszy głos anioła; niebo otwierało się dla niej, gospoda pani Vauquer stroiła się fantastycznymi tonami, jakie dekoratorzy dają teatralnym pałacom; kochała, była kochaną, wierzyła w to przynajmniej! I któraż kobieta nie byłaby uwierzyła jak ona, widząc Rastignaca, słuchając go w ciągu tej godziny odkradzionej wszystkim Argusom całego domu? Pasując się ze swojem sumieniem, wiedząc iż czyni źle i chcąc czynić źle, powiadając sobie iż odkupi ten błahy grzech szczęściem kobiety, piękny był swoją rozpaczą, błyszczał wszystkimi ogniami piekła jakie miał w sercu. Szczęściem dla niego, cud spełnił się: Vautrin wszedł radośnie, wyczytał prawdę w duszy dwojga młodych ludzi których skojarzył przez kombinacyę swego piekielnego geniuszu, ale których radość zmącił nagle, nucąc swoim grubym, szyderczym głosem:

Franusia, dzieweczka urocza
Skromnością co bije jej z lic...

Wiktoryna pierzchła, unosząc tyle szczęścia ile dotąd zaznała nieszczęścia w życiu. Biedna dziewczyna! uścisk ręki, policzek muśnięty włosami Eugeniusza, słowo jakieś wyrzeczone tak blizko ucha iż uczuła ciepło warg studenta, uścisk kibici okolonej drżącem ramieniem, pocałunek który ośliznął się po szyi, były zrękowinami jej serca, które sąsiedztwo Sylwii, grożącej wtargnięciem do tej promiennej jadalni, czy-

niło tem gorętszemi, tem żywszemi, bardziej kuszącemi niż najpiękniejsze dowody tkliwości opowiedziane w sławnych historyach miłosnych. Te *zadatki uczucia*, wedle ładnego wyrażenia naszych przodków, wydawały się zbrodnią nabożnej młodej dziewczynie, spowiadającej się co dwa tygodnie! W ciągu tej godziny, rozrzuciła więcej skarbów duszy, niż później, bogata i szczęśliwa, mogłaby dać oddając całą siebie.

— Sprawa ubita, rzekł Vautrin do Eugeniusza. Dwaj panicze starli się. Wszystko odbyło się nader przyzwoicie. Rzecz opinii. Gołąbek obraził mojego sokoła. Spotkanie jutro, w reducie Clignancourt. O wpół do dziewiątej rano, panna Taillefer odziedziczy miłość i majątek ojca, podczas gdy będzie spokojnie maczała grzaneczki chleba w rannej kawie. Czy to nie zabawne? Ten mały Tailleferek jest bardzo tęgi gracz na szpady; pewny siebie jak cztery tuzy w garści; ale rozciągniemy go ciosem mojego wynalazku; ot, podbija się szpadę, i jazda w samo czoło. Nauczę cię tego pchnięcia, jest djabelnie użyteczne.

Rastignac słuchał z wyrazem otępiałym i nie mógł nic odpowiedzieć. W tej chwili, weszli ojciec Goriot, Bianchon i paru innych stołowników.

— Oto, jakim cię pragnąłem, rzekł Vautrin. Wiesz co robisz. Dobrze, moje młode orlątko! będziesz panował nad ludźmi; jesteś mocny, jurny, z pazurami; posiadasz mój szacunek.

Chciął go ująć za rękę, Rastignac cofnął żywo swoją, i upadł na krzesło blednąc; zdawało mu się, że widzi przed sobą kałużę krwi.

— Ach, jeszcze grzebiemy się w pieluszkach poplamionych cnotą, rzekł Vautrin pocichu. Papa Doliban ma trzy miliony, znam cyfrę jego majątku. Posag uczyni cię białym jak suknia oblubienicy, i to w twoich własnych oczach.

Rastignac nie wahał się już. Postanowił iść uprzedzić w ciągu wieczora p. Taillefer i jego syna. W tej chwili, skoro Vautrin go opuścił, ojciec Goriot rzekł mu do ucha:

— Smutny jesteś, moje dziecko! ja cię rozweselę, czekaj. Chodź.

I stary handlarz mąki zapalił swój stoczek o jedną z lamp. Eugeniusz udał się za nim, wzruszony i zaciekawiony.

— Wejdźmy do ciebie, rzekł poczciwiec, który wziął u Sylwii klucz od pokoju studenta. Myślałeś dziś rano, że ona cię nie kocha, co? ciągnął. Odprawiła cię gwałtem, i ty odszedłeś, pogniewany, zrozpaczony. Oj, ty dzieciaku. Ona czekała na mnie. Czy rozumiesz? Mieliśmy iść wykończyć cacko-apartamencik, do którego się przeniesiesz od dziś za trzy dni. Nie zdradź mnie. Delfinka chce ci zrobić niespodziankę; ale ja nie mam serca dłużej ukrywać ci tej tajemnicy. Zamieszkasz przy ulicy d'Artois, o dwa kroki od ulicy św. Łazarza. Będziesz tam jak książę. Wybraliśmy ci mebelki jak dla panny młodej. Dużośmy rzeczy załatwili od miesiąca, nie mówiąc ci o niczem. Mój adwokat wziął się do rzeczy, Delfinka będzie miała swoje trzydzieści sześć tysięcy franków rocznie, procent od posagu; zażądam ulokowania jej ośmiuset tysięcy franków w ziemi.

Eugeniusz oniemiał; przechadzał się, ze skrzyżowanemi ramionami, wzdłuż i wszerz po swojej izdebce pełnej nieładu. Ojciec Goriot pochwycił chwilę w której student odwrócił się doń plecami, i położył na kominku skrzynkę z czerwonego safianu, na której widniał wyciśnięty w złocie herb Rastignaców.

— Moje drogie dziecko, mówił biedny starowina, naharowałem się koło tego, że niech Bóg zachowa! Ale, widzisz, było w tem z mojej strony wiele egoizmu: ja także chcę coś zyskać na twojej przeprowadzce. Nie odmówisz mi, co, jeżeli cię poproszę o jedną rzecz?

— Czego pan żąda?

— Nad twojem mieszkankiem, jest, na piątem piętrze, pokoik który do niego należy, zamieszkam tam, nieprawdaż? Robię się stary, za daleko jestem od córek. Nie będę cię krępował. Ot, tyle że będę blizko. Będziesz mi mówił o niej co wieczora. To ci nie zrobi przykrości, nieprawdaż? Kiedy wrócisz do domu, a ja już będę leżał w łóżku, usłyszę cię, powiem sobie: »Przed chwilą rozstał się z moją Delfinką. Towarzyszył jej na bal, szczęśliwa jest przez niego«. Gdybym był chory, toby mi było balsamem na serce słyszeć jak wracasz, ruszasz się, wychodzisz. Tyle będzie w tobie z mojej córki! Będę miał tylko dwa kroki, aby znaleźć się na Polach Elizejskich, gdzie przejeżdżają się codziennie: będę je widział zawsze, podczas gdy teraz spaźniam się niekiedy. A potem, ona może przyjdzie czasem do ciebie! usłyszę ją, ujrzę w porannej sukience, jak spieszy, pomyka wdzięcznie, niby młoda kotka. Od miesiąca stała się tem czem była dawniej,

młodą dziewczynką, wesołą, rozbawioną. Dusza jej przychodzi do zdrowia, tobie zawdzięcza szczęście. Och! niema rzeczy którejbym nie zrobił dla ciebie. Przed chwilą, kiedyśmy wracali, Delfinka rzekła: »Papuśku, jestem bardzo szczęśliwa!« Kiedy mi mówią ceremonjalnie: *Ojcze*, mrożą mnie; ale kiedy nazywają mnie *papuśkiem*, zdaje mi się że widzę je jeszcze małe, wracają mi wszystkie wspomnienia. Bardziej czuję się ich ojcem, wydaje mi się że jeszcze nie należą do nikogo!

Poczciwiec otarł sobie oczy, płakał.

— Oddawna już nie słyszałem tego zdania, oddawna już nie trzymałem jej pod rękę. Och, tak, niedługo już będzie dziesięć lat, jak nie szedłem obok żadnej z córek. Jakże to miło ocierać się o jej suknię, stosować do jej kroku, czuć jej ciepło! Towarzyszyłem dziś rano mojej Delfinie wszędzie. Chodziłem z nią po sklepach, odprowadziłem do domu. Och! weź mnie do siebie. Czasami, może się zdarzyć, że będziesz potrzebował jakiejś usługi: będę tuż. Och, gdyby ten gruby kloc Alzacki umarł, gdyby podagra miała tyle rozumu aby mu się rzucić na serce, jakaż moja Delfinka byłaby szczęśliwa! Byłbyś moim zięciem, byłbyś jawnie jej mężem. Och, ona jest tak biedna, że nie zaznała nic ze słodyczy życia, że rozgrzeszam ją ze wszystkiego. Dobry Bóg musi być zawsze po stronie ojców którzy bardzo kochają. Ona zanadto pana kocha! rzekł po pauzie, potrząsając głową. Po drodze, rozmawiała ze mną o tobie. »Nieprawdaż, ojczulku, jaki on miły! jakie ma dobre serce! Czy mówi o mnie?« Ba, tomy całe nagadała mi przez ten kawa-

łek drogi! Przelała całe swoje serce w moje. Przez cały ten rozkoszny ranek nie czułem się stary, lekki byłem jak piórko. Powiedziałem jej, że mi oddałeś bilet tysiącfrankowy. Złota dziecina, wzruszona była do łez. Co pan tam ma na kominku? rzekł wkońcu ojciec Goriot, który umierał z niecierpliwości widząc iż Rastignac stoi nieruchomo.

Eugeniusz, oszołomiony, patrzał na sąsiada z otępiałą twarzą. Ten pojedynek oznajmiony na jutro przez Vautrina stanowił kontrast tak gwałtowny z urzeczywistnieniem najdroższych nadziei młodzieńca, iż doznawał wręcz wszystkich wrażeń koszmaru. Obrócił się ku kominkowi, ujrzał małe kwadratowe puzderko i znalazł wewnątrz prześliczny zegarek, zawinięty w papier. Na papierze były napisane te słowa:

»Chcę, aby pan myślał o mnie o każdej godzinie, *dlatego*...

»*Delfina*«.

To ostatnie słowo mieściło zapewne aluzyę do jakiejś sceny, która zaszła między nimi. Eugeniusz patrzał rozczulony. Herb jego błyszczał wewnątrz w emalii na złotej tafli puzderka. Klejnot ten od tak dawna upragniony, zegarek, kluczyk, kształt, rysunek, odpowiadały wszystkim jego marzeniom. Ojciec Goriot promieniał. Przyrzekł zapewne córce, że zda jej sprawę z najmniejszych objawów wrażenia jakie niespodzianka uczyni na Eugeniuszu, stary bowiem dzielił wraz z nimi te młode wzruszenia i wydawał się z trojga nie najmniej szczęśliwy. Kochał już Rastignaca, i za córkę i za siebie.

— Pójdziesz tam dziś wieczór, ona czeka na ciebie. Ten gruby kloc alzacki wieczerza u swojej tancerki. Ha, ha! głupią miał minę, kiedy mój adwokat wypalił mu *verba veritatis*. Ten łajdak twierdzi, iż kocha moją córkę aż do ubóstwienia! Niech jej tknie tylko, a utrupię go. Myśl o tem, że moja Delfinka należy do... (Westchnął) popchnęłaby mnie do zbrodni; ale toby nie było zabójstwo człowieka: to głowa wołu na ciele wieprza. Weźmiesz mnie do siebie, nieprawdaż?

— Tak, mój poczciwy ojcze Goriot, wiesz dobrze że cię kocham.

— Widzę to, och, ty się mnie nie wstydzisz! Pozwól mi się uściskać!

I objął studenta w ramiona.

— Uczynisz ją bardzo szczęśliwą, przyrzeknij mi! Pójdziesz do niej dziś wieczór, nieprawdaż?

— Och, tak. Muszę wyjść w interesie, którego niepodobna mi odłożyć.

— Czy mogę zdać ci się na co?

— Tak, tak, owszem. Podczas gdy ja pójdę do pani de Nucingen, idź pan do p. Taillefer ojca, poproś aby mi zechciał, dziś wieczór jeszcze, użyczyć godziny: mam z nim pomówić w sprawie nieskończenie ważnej.

— Byłażby to prawda, młodzieńcze, wykrzyknął ojciec Goriot mieniąc się na twarzy, że ty się zalecasz do jego córki, jak twierdzą ci tam głupcy na dole?... Do krocset djabłów! ty nie wiesz, co to znaczy poczęstunek starego Goriot. Słuchaj ty: gdybyś

nas oszukał, toby była sprawa jednego uderzenia pięścią... Och, to niemożliwe.

— Przysięgam panu, że kocham tylko jedną kobietę na świecie, rzekł student, przekonałem się o tem dopiero przed chwilą.

— Och, co za szczęście! rzekł ojciec Goriot.

— Ale, rzekł student, syn pana Taillefer ma mieć jutro pojedynek, w którym padnie.

— Co ciebie to obchodzi? rzekł Goriot.

— Ależ trzeba go ostrzedz, aby nie pozwolił synowi dać się... wykrzyknął Eugeniusz.

W tej chwili, przerwał mu głos Vautrina, który wychylił się na próg swoich drzwi, śpiewając:

O Ryszardzie, o królu mój!
Świat cały cię opuszcza...
Bum bum, tra ra, bum bum!

Długom wędrował po tym świecie,
Schodziłem go... tra la la la...

— Panowie, zawołał Krzysztof, zupa czeka, wszyscy już przy stole.

— Krzysztofie, rzekł Vautrin, chodźno, weź na dół flaszkę mojego Bordeaux.

— Podoba ci się zegareczek, rzekł ojciec Goriot. Mała ma gust, co?

Vautrin, ojciec Goriot i Rastignac zeszli razem, i zajęli, wskutek opóźnienia, trzy sąsiadujące miejsca. Podczas obiadu, Eugeniusz objawiał najwyższą oziębłość wobec Vautrina, mimo iż nigdy ten człowiek, tak miły w oczach pani Vauquer, nie rozwinął tyle

humoru. Iskrzył się werwą i zdołał rozruszać wszystkich stołowników. Ta pewność, ta zimna krew, oszałamiały Eugeniusza.

— Co panu się dziś wydarzyło najlepszego? spytała pani Vauquer. Wesół pan jest jak szczygieł.

— Zawsze jestem wesół, kiedy robię dobre interesy.

— Interesy? rzekł Eugeniusz.

— Ano, tak. Dostarczyłem partyę towaru, która mi przyniesie ładne komisowe. — Panno Michonneau, rzekł widząc iż stara panna mu się przygląda, czy jest w mojej fizyognomii coś co się pani nie podoba, że pani robi do mnie takie *amerykańskie oko?* Trzeba tylko powiedzieć! Odmienię facyatę, aby pani sprawić przyjemność... — Poiret, nie popsztykamy się o to, hę? rzekł zerkając na urzędnika.

— Do kaduka! powinienby pan pozować do *Igrającego Herkulesa*, rzekł młody malarz do Vautrina.

— Daję słowo, zgoda! jeżeli panna Michonneau zgodzi się pozować do Wenery z *Père-Lachaise*, odparł Vautrin.

— A Poiret?

— Och, Poiret będzie jako Poiret. Poiret, toć to pochodzi od Pryapa, boga ogrodów...

— Et, głupstwa pleciecie, rzekla pani Vauquer, lepiejbyś pan zrobił częstując nas swojem Bordeaux, którego, widzę, buteleczka wyścibia tam swój nosek. To nam rozweseli serce, nie mówiąc że dobrze zrobi na *żondołek*.

— Panowie, rzekł Vautrin, pani przewodnicząca przywołuje nas do porządku. Pani Couture i panna

Wiktoryna nie zgorszą się waszemi płochemi rozmówkami, ale szanujcie niewinność ojca Goriot. Proponuję małą *butelczynorama* winka Bordeaux, które miano *Laffitte* czyni podwójnie cennem, powiedzmy to bez aluzyi politycznej. — Dalej, chińczyku! rzekł patrząc na Krzysztofa, który się nie ruszył. Sam tu, Krzysztof. Jakto, nie rozumiesz swego imienia? Chińczyku, przynieś napoje!

— Oto są, proszę pana, rzekł Krzysztof podając butelkę.

Napełniwszy szklankę Eugeniusza i ojca Goriot, Vautrin nalał sobie wolno kilka kropel które wysączył podczas gdy dwaj sąsiedzi pili; nagle, skrzywił się.

— Tam do kata, czuć je korkiem. Weź to dla siebie, Krzysztofie i przynieś nam inną, po prawej, wiesz? Jest nas szesnaście osób, przynieś ośm butelek.

— Skoro pan się tak szarpie, rzekł malarz, ja płacę setkę kasztanów.

— Och! och!

— Pi, pi, pi!

— Prrrr!

Deszcz wykrzykników posypał się niby iskry fajerwerku.

— No, mamo Vauquer, dwie flaszeczki szampana, zakrzyknął Vautrin.

— Tarara! właśnie! Dlaczego nie cały dom! Dwie flaszki szampana! Ależ to kosztuje dwanaście franków! Ja tyle nie zarabiam, nie! Ale, jeżeli pan Eugeniusz chce je zapłacić, ja ofiaruję likier.

— Znamy jej likier, czyści niegorzej manny, rzekł półgłosem ~~student~~ medyk.

— Cicho siedź, Bianchon, wykrzyknął Rastignac, nie mów mi nic o mannie... Dobrze, niech będzie szampańskie, stawiam, ~~wykrzyknął~~ student.

— Sylwio, rzekła pani Vauquer, podaj biszkopty i ciasteczka.

— I tłuczek do orzechów! nie mam zębów na panine ciasteczka, rzekł Vautrin. Znamy je.

W jednej chwili, ~~wino Bordeaux~~ zaczęło krążyć, biesiadnicy ożywili się, wesołość wzrosła w dwójnasób. Były to dzikie wybuchy śmiechu, wśród których rozlegało się naśladowanie ~~głosów~~ rozmaitych zwierząt. Urzędnik wpadł na pomysł, aby odtworzyć jakiś krzyk paryzkich wywoływaczy który miał podobieństwo z miauczeniem kota w marcu; zaczem, natychmiast, ośm głosów ryknęło równocześnie ~~następującymi wykrzyknikami:~~

— No-że, no-o-że ostrzyć!

— Wągle! wągle!

— Garnki drutować!

— Siemię dla ptaszków, siemię!

— Lo-o-dy! Lo-o-dy!

— Stare ubrania, stare kapelusze!

— Do łodzi! do łodzi!

Palma pierwszeństwa przypadła Bianchonowi za nosowy akcent z jakim wrzasnął:

— Paraso-o-le! Paraso-o-le!

W kilka chwil powstał oszałamiający hałas, gwar pełen strzelających ~~w powietrze~~ konceptów, prawdziwa opera którą Vautrin prowadził nakształt kapelmistrza,

mając oko na Eugeniusza i na ojca Goriot, którzy zdawali się już pijani. Z grzbietem opartym o krzesło, obaj spoglądali na ten niezwyczajny zamęt z poważną miną, pijąc niewiele; obaj byli pochłonięci tem co mieli zrobić w ciągu wieczora, a mimo to nie czuli się zdolni podnieść. Vautrin, który śledził z pod oka zmiany ich fizyognomii, pochwycił chwilę w której oczy ich zaczęły się mrużyć i zdawały się blizkie zamknięcia, aby się nachylić do uszu Rastignaca i rzec:

— Mój chłoptasiu, nie jesteśmy dosyć ostro kuci aby walczyć z papą Vautrin, a on zanadto cię kocha aby nam pozwolić robić głupstwa. Kiedy postanowiłem jakąś rzecz, jeden Pan Bóg jest dosyć silny aby mi stanąć w drodze. A, chcieliśmy iść uprzedzić papę Taillefer, popełniać żakowskie głupstwa! Piec jest gorący, mąka umieszona, chleb na szufli; jutro okruszyny będą aż pryskać w powietrze gdy zatopimy w nim ząbki; i mielibyśmy przeszkodzić w chwili gdy się go wsuwa do pieca?... O, nie! Jeżeli mamy leciutkie wyrzuty sumienia, miną wraz z trawieniem. Podczas kiedy będziemy słodko drzemać, pułkownik hrabia Franchessini otworzy ci sukcesyę po Michale Taillefer ostrzem ~~swojej~~ szpady. Dziedzicząc po bracie, Wiktoryna będzie miała swoich piętnaście tysiączków renty. Wywiedziałem się dobrze o wszystko i wiem że spadek po matce wynosi więcej niż trzysta tysięcy...

Eugeniusz słuchał tych słów nie mogąc odpowiedzieć; czuł iż język przykleja mu się do podniebienia, doświadczał wrażenia niezwalczonej senności; stół i twarze biesiadników widział jedynie przez jakąś

świetlną mgłę. Niebawem, hałas uśmierzył się, stołownicy rozeszli się po jednemu. Następnie, kiedy została już tylko pani Vauquer, pani Couture, panna Wiktoryna, Vautrin i ojciec Goriot, Rastignac ujrzał, jak gdyby we śnie, panią Vauquer zajętą zbieraniem butelek aby zlać z nich resztki zyskując w ten sposób parę butelek całych.

— Ależ to młode, ależ to ma pstro w głowie! mówiła wdowa.

Było to ostatnie zdanie, jakie mógł zrozumieć Eugeniusz.

— Jeden pan Vautrin potrafi urządzić taki jubel, rzekła Sylwia. Dobryś, ot tam Krzysztof chrapie jak trąba Jerychońska!

— Do widzenia, mamusiu, rzekł Vautrin. Idę na bulwary podziwiać p. Marty w *Dzikiej Górze,* wielkiej sztuce przerobionej z *Samotnika...* Jeżeli pani chce, wezmę panią, również jak i te damy.

— Dziękuję panu, rzekła pani Couture.

— Jakto, paniusiu, wykrzyknęła pani Vauquer, nie jest pani ciekawa ujrzeć sztukę przerobioną z *Samotnika,* dzieła napisanego przez Atalę Chateaubrianda, które czytałyśmy z taką pasyą? To takie śliczne, że płakałyśmy jak bobry pod lipami zeszłego roku; dzieło nawskróś moralne, które może tylko zbudować młodą panienkę...

— Nie wolno nam chodzić do teatru, odparła Wiktoryna.

— Hoho! ci już mają dość, rzekł Vautrin, poruszając w komiczny sposób głową ojca Goriot i Eugeniusza.

Układając głowę studenta na krześle aby mógł spać wygodnie, ucałował go serdecznie w czoło, nucąc:

Śpij, duszo ma ukochana,
Ja czuwać będę nad twym snem!

— Boję się, aby się nie rozchorował, rzekła Wiktoryna.

— Zostań tedy, dziecko, i czuwaj przy nim. To, szepnął jej do ucha, jest twoim obowiązkiem dobrej żony. Ubóstwia cię ten młodzian i będziesz jego kochaną żonusią, przepowiadam ci. Słowem, rzekł głośno, *cieszyli się poważaniem w całym kraju, żyli szczęśliwie, i mieli dużo dzieci.* Oto, jak kończą się wszystkie historye miłosne. — No, mamusiu, rzekł obracając się do pani Vauquer którą uściskał, włóż mama kapelusz, piękną suknię w kwiaty i szarfę po hrabinie. Ja pójdę sprowadzić dorożkę... osobiście.

I wyszedł, śpiewając:

Słońca ty boski promieniu,
Co złocisz miłośnie świat...

— Mój Boże, powiedz paniusia, pani Couture, z tym człowiekiem byłabym szczęśliwa bodaj w czterech gołych ścianach. — A to dopiero, rzekła obracając się w stronę handlarza mąki, ojciec Goriot ululany. Temu staremu kutwie nigdy nie przyszło do głowy aby mnie gdzie zaprosić! Ależ on wywali się na ziemię, Panie święty! Także ładnie, aby człowiek w jego wieku tracił rozum. Powie kto, że nie

można stracić tego czego się nie miało... — Sylwio, zaprowadź-że go do pokoju.

Sylwia wzięła nieboraka pod rękę, przeprowadziła go, i rzuciła w ubraniu, jak pakiet, w poprzek łóżka.

— Biedny młody człowiek, rzekła pani Couture rozgarniając włosy Eugeniusza które spadały mu na oczy, zupełnie jest jak młoda dziewczyna, nie wie co to hulanka.

— A, mogę powiedzieć, że, od trzydziestu jeden lat przez które prowadzę pensyonat, rzekła pani Vauquer, przeszło mi wielu młodych ludzi przez ręce, jak to mówią; ale nie widziałam jeszcze takiego milusiego, tak dystyngowanego jak p. Eugeniusz. Jaki on ładny kiedy śpi! Podnieś-że mu pani głowę, pani Couture. Ba! osuwa się na ramię panny Wiktoryny; jest jakaś Opatrzność dla młodych. Jeszcze trochę, a byłby sobie rozbił czoło o poręcz od krzesła. Ładna byłaby para z nich dwojga.

— Cicho-że pani bądź, pani Vauquer! wykrzyknęła pani Couture, mówi pani rzeczy...

— Ba! rzekła pani Vauquer, nie słyszy. No, Sylwio, chodź mnie ubrać. Włożysz mi wielki gorset.

— A ba! wielki gorset, zaraz po obiedzie? rzekła Sylwia. Nie, niech pani szuka kogo innego aby panią zasznurował, ja nie mam ochoty mieć pani na sumieniu. Toć paniby mogła życiem to przypłacić.

— Wszystko jedno, chcę przynieść zaszczyt panu Vautrin.

— Zatem tak bardzo pani kocha swoich spadkobierców?

— No, Sylwio, nie rezonuj, rzekła wdowa odchodząc.

— W jej wieku! wykrzyknęła kucharka, pokazując swoją panią Wiktorynie.

Pani Couture i jej pupilka, na której ramieniu spał Eugeniusz, zostały same w jadalni. Chrapanie Krzysztofa rozlegało się w milczącym domu i stanowiło kontrast do spokojnego snu Eugeniusza, który spał tak wdzięcznie jak dziecko. Szczęśliwa iż może sobie pozwolić na jeden z tych aktów miłosierdzia, w których wyładowują się wszystkie uczucia kobiety, i który dawał jej bez winy czuć serce młodego człowieka bijące na swojem, Wiktoryna miała w fizyognomii coś macierzyńsko opiekuńczego, co ją czyniło dumną. Poprzez tysiąc myśli jakie wznosiły się w jej sercu, przebijało mętne uczucie rozkoszy, pobudzone wymianą młodego i czystego ciepła.

— Poczciwe drogie dziecko! rzekła pani Couture, ściskając jej rękę.

Starsza dama podziwiała tę niewinną i bolesną twarzyczkę, na którą zstąpiła aureola szczęścia. Wiktoryna podobna była do owych naiwnych średniowiecznych malowideł, w których artysta zaniedbuje wszystkie akcesorya i skupia całą magię spokojnego i dumnego pendzla na twarz, żółtą w tonie, ale w której niebo zdaje się odbijać złotemi błyskami.

— A przecież on nie wypił więcej niż dwa kieliszki, mamusiu, rzekła Wiktoryna, wodząc ręką po włosach Eugeniusza.

— Ba, gdyby to był hulaka, moje dziecko, byłby

zniósł wino ~~równie dobrze~~ tak jak inni. To pijaństwo przynosi mu zaszczyt.

Turkot pojazdu rozległ się na ulicy.

— Mamusiu, rzekła młoda dziewczyna, oto pan Vautrin. Weźmy pana Eugeniusza. Nie chciałabym, aby ten człowiek nas tak zastał: on ma wyrażenia, które brukają duszę, i spojrzenia które obrażają kobietę tak jak gdyby ktoś zdzierał z niej suknię.

— Nie, rzekła pani Couture, ty się mylisz! Pan Vautrin to dzielny człowiek, trochę w rodzaju nieboszczyka Couturé, szorstki ale zacny.

W tej chwili, Vautrin wszedł bez hałasu, i popatrzał na obraz utworzony przez młodocianą parę, którą światło lampy zdawało się pieścić.

— Ot, rzekł zakładając ręce na piersiach, oto scena, która byłaby podyktowała piękne stronice dobremu Bernardinowi de Saint-Pierre, autorowi Pawła i Wirginii. Młodość, to piękna rzecz, pani Couture! — Biedne dziecko, śpij, rzekł patrząc na Eugeniusza, szczęście przychodzi niekiedy we śnie. — Pani, ciągnął, zwracając się do wdowy, co mnie przywiązuje do tego młodego człowieka, co mnie wzrusza, to to, iż wiem że piękność jego duszy jest w harmonii z postacią. Popatrz pani, czy to nie cherubin, który się skłonił na ramieniu anioła? Co ten, to godny jest aby go kochać! Gdybym był kobietą, chciałbym umrzeć (nie, niema głupich!), chciałbym żyć dla niego. Kiedy ich tak podziwiam, droga pani, rzekł po cichu nachylając się do ~~ucha~~ wdowy, nie mogę się powstrzymać od myśli, iż Bóg ich stworzył jedno dla drugiego. Opatrzność posiada bardzo ukryte drogi, zgłębia serca i nerki ludzi,

wykrzyknął głośno. Widząc was tak zjednoczonych, moje dzieci, zjednoczonych wspólną czystością, wszystkiemi ludzkiemi uczuciami, powiadam sobie, że niepodobieństwem jest, aby kiedykolwiek przyszłość miała was rozdzielić. Bóg jest sprawiedliwy. — Ale, rzekł do młodej dziewczyny, zdaje mi się, że widziałem u pani linię pomyślności. Niech mi pani da rękę, panno Wiktoryno; znam się na chiromancyi, nieraz wróżyłem z ręki. No, niech się pani nie boi. Hoho! co ja widzę? Słowo uczciwego człowieka, maluczko a będziesz pani jedną z najbogatszych dziedziczek w Paryżu. Obsypiesz szczęściem kogoś, kto cię kocha. Ojciec wzywa cię do siebie. Wychodzisz za mąż za młodego człowieka, pięknego, utytułowanego, który cię ubóstwia.

W tej chwili, ciężkie kroki zalotnej wdowy przerwały proroctwa Vautrina.

— Oto mama Vauquerrrre, piękna jak gwiazda na firrrmamencie, wysznurowana jak melon w prążki. — Czy nie dławi ociupineczkę? rzekł, kładąc jej rękę na przedniej brykli: przedsięwzięcie jest cokolwiek stłoczone, mammussiu! Jeżeli będziemy płakać, nastąpi eksplozya, ale ja pozbieram kawałki z troskliwością antykwarza.

— Ten człowiek zna język francuzkiej galanteryi! rzekła wdowa, pochylając się do pani Couture.

— Bywajcie, dzieci! rzekł Vautrin, zwracając się w stronę Eugeniusza i Wiktoryny. Błogosławię was, rzekł wyciągając ręce nad ich głowami. — Wierz mi, panienko, to jest coś, życzenia uczciwego człowieka, powinny przynieść szczęście, Bóg ich słucha.

— Bądź zdrowa, droga przyjaciółko, rzekła pani Vauquer do stołowniczki. Czy sądzi pani, dodała pocichu, że p. Vautrin ma jakie zamiary względem mojej osoby?

— Hm, hm!

— Och! droga mamo, rzekła Wiktoryna wzdychając i patrząc na swoje ręce, kiedy dwie kobiety zostały same, gdyby ten dobry p. Vautrin mówił prawdę!

— Ależ potrzebaby na to, odparła stara dama, jedynie tyle, aby ten potwór, twój brat, spadł naprzykład z konia...

— Och, mamo!...

— Mój Boże, może to i grzech życzyć złego nieprzyjacielowi, rzekła wdowa. Więc dobrze, godzę się ponieść pokutę. Doprawdy, z szczerego serca zaniosłabym kwiaty na jego grób. Niegodziwe serce! nie ma odwagi ująć się za matką, której dziedzictwo przywłaszczył sobie z twoją szkodą, dzięki krętactwom ojca. Biedna kuzynka miała ładny majątek. Na twoje nieszczęście, w kontrakcie nie uwidoczniono wcale jej wniosku.

— Zbyt ciężkoby mi było udźwigać szczęście, gdyby miało ono kogoś kosztować życie, rzekła Wiktoryna. I, gdyby trzeba było, dla mojej pomyślności, aby brat zniknął ze świata, wolałabym raczej na zawsze pozostać tutaj.

— Mój Boże, jak mówi ten zacny pan Vautrin, który, sama widzisz, jest pełen religii, rzekła pani Couture; przyjemnie mi było dowiedzieć się, że nie jest niedowiarkiem, jak tamci, którzy mówią o Bogu z mniej-

szem uszanowaniem od samego djabła. Otóż, któż może wiedzieć, jakiemi drogami podoba się Opatrzności nas prowadzić?

Wspomagane przez Sylwię, kobiety zdołały w końcu przenieść Eugeniusza do jego pokoju, ułożyły go na łóżku, poczem kucharka rozdziała go z ubrania. Przed odejściem, kiedy opiekunka się odwróciła, Wiktoryna złożyła pocałunek na czole Eugeniusza, z całem szczęściem jakie jej musiała sprawiać ta niewinna zbrodnia. Rozejrzała się po pokoju studenta, zebrała, można powiedzieć, w jednej myśli tysiączne szczęśliwości tego dnia, stworzyła z nich obraz w który wpatrywała się długo, i usnęła jako najszczęśliwsza istota w Paryżu.

Uczta, pod której płaszczykiem Vautrin dał się napić Eugeniuszowi i ojcu Goriot wina zaprawnego narkotykiem, rozstrzygnęła o zgubie tego człowieka. Bianchon, wpół pijany, zapomniał zagadnąć pannę Michonneau na temat *Ołży-Śmierci*. Gdyby wymówił to słowo, obudziłby z pewnością czujność Vautrina, lub, aby mu wrócić prawdziwe nazwisko, Jakóba Collin, jednej ze znakomitości galer. Wreszcie, przydomek *Wenery z Père-Lachaise* skłonił pannę Michonneau do wydania gąlernika, w chwili gdy, ufna we wspaniałomyślność Collina, obliczała czy nie byłoby korzystniej ostrzedz go i pozwolić mu umknąć w ciągu nocy. Wyszła właśnie, w towarzystwie Poireta, aby odwiedzić słynnego naczelnika policyi bezpieczeństwa, w małej uliczce św. Anny, ciągle mniemając iż ma do czynienia z wyższym urzędnikiem, nazwiskiem Gondureau. Dyrektor policyi kryminalnej przyjął ją nader

uprzejmie. Następnie, po rozmowie w której wszystko omówiono, panna Michonneau poprosiła o napój, przy pomocy którego miało się odbyć sprawdzenie piętna. Z gestu zadowolenia jaki uczynił wielki człowiek z uliczki św. Anny, szukając fiolki w szufladzie stolika, panna Michonneau odgadła, że w tej zdobyczy tkwiło coś ważniejszego niż ujęcie zwykłego zbrodniarza. Łamiąc sobie głowę nad tą zagadką, zaczęła podejrzewać, iż policya spodziewa się, dzięki pewnym zeznaniom uzyskanym od zdrajców na galerach, położyć w sposobnej chwili rękę na znacznych sumach ich kasy. Kiedy wyraziła policyjnemu lisowi swoje przypuszczenia, uśmiechnął się i starał się odwrócić podejrzenia starej panny.

— Myli się pani, odparł. Collin, to najniebezpieczniejsza główka, jaka się kiedykolwiek znajdowała wśród plemienia złodziei. Oto wszystko. Hultaje wiedzą to dobrze; on jest ich podporą, ich sztandarem, słowem ich Bonapartem; kochają go wszyscy. Ten hultaj nie zostawi nigdy szyi na placu Grève. Collin igra sobie z nami, dodał. Kiedy trafimy na którego z tych ludzi podobnych do sztaby z angielskiej hartowanej stali, mamy możność zgładzenia ich, jeżeli, w czasie aresztowania, pozwolą sobie stawić najlżejszy opór. Liczymy na jakiś akt gwałtu, aby módz zgładzić Collina jutro. Unika się w ten sposób procesu, kosztów dozoru, żywienia, i oczyszcza się społeczeństwo. Procedury, przesłuchania świadków, odszkodowanie ich, egzekucya, wszystko to co ma nas legalnie uwolnić od tych hultai, kosztuje o wiele ponad te tysiąc talarów które pani otrzyma. Oszczędza się

na czasie. Dając tęgi sztyk bagnetu w podbrzusze Ołży-Śmierci, przeszkodzimy jakiej setce zbrodni i uchronimy od zepsucia pięćdziesięciu nicponiów, którzy się zatrzymają przezornie w okolicach domu poprawy. Oto policya rozumiejąca dobrze swoje zadanie. Wedle prawdziwych filantropów, postępować w ten sposób znaczy zapobiegać zbrodniom.

— I służyć krajowi, rzekł Poiret.

— Ot co! rzekł naczelnik policyi, mówisz pan dziś wieczór wcale rozsądnie. Tak jest, ani słowa, służymy krajowi. Toteż, świat jest niesprawiedliwy względem nas. Oddajemy społeczeństwu bardzo wielkie nieznane usługi. Ostatecznie, rzeczą człowieka wyższego jest umieć się wznieść ponad przesądy, rzeczą zaś chrześcijanina przyjąć z poddaniem nieszczęścia, jakie pociąga za sobą czynienie dobrego, o ile nie odpowiada ono uznanym pojęciom. Paryż, to Paryż, widzicie państwo! To słowo tłómaczy moje życie. — Moje uszanowanie pani. Będę jutro z mymi ludźmi w Ogrodzie Królewskim. Niech pani pośle Krzysztofa na ulicę Buffon, do p. Gondureau. Sługa pański, panie Poiret. Gdyby panu kiedy coś ukradziono, i chodziłoby o odnalezienie, jestem do pańskich rozkazów.

— I cóż, rzekł Poiret do panny Michonneau, i znajdują się głupcy, których to słowo *policya* doprowadza do nieprzytomności. To bardzo miły człowiek, i to o co prosi jest proste jak bułka za grosz.

Dzień, który przypadł nazajutrz, miał zająć miejsce pośród najniezwyklejszych dni w historyi domu Vauquer. Aż dotąd, najwybitniejszem wydarzeniem

tego spokojnego życia było meteoryczne zjawisko fałszywej hrabiny de l'Ambermesnil. Ale wszystko miało zblednąć wobec perypetyj wielkiego dnia, o którym miała być wiecznie mowa w opowiadaniach pani Vauquer.

Najpierw, Goriot i Rastignac spali aż do jedenastej. Pani Vauquer, która wróciła o północy z Gaîté, spoczywała w łóżku do wpół do jedenastej. Długi sen Krzysztofa, który dokończył ofiarowanej przez Vautrina butelki, spowodował opóźnienie w obsłudze domu. Poiret i panna Michonneau nie skarżyli się, iż śniadanie się odwleka. Co do Wiktoryny i pani Couture, te również spały do późna. Vautrin wyszedł przed ósmą i wrócił w porze kiedy podano do stołu. Nikt nie podnosił tedy gwałtu, skoro, około kwadrans na dwunastą, Sylwia i Krzysztof obeszli wszystkie drzwi powiadając iż śniadanie na stole. Podczas kiedy Sylwia i służący opuścili jadalnię, panna Michonneau, która zeszła pierwsza, wlała płyn do srebrnego kubka należącego do Vautrina, w którym to kubku śmietanka do kawy grzała się wraz z innymi w gorącej kąpieli. Stara panna liczyła na to, iż ten obyczaj gospody dopomoże jej w spełnieniu zamiaru.

Zgromadzenie siedmiu pensyonarzy nie obyło się bez trudności. W chwili gdy Eugeniusz, przeciągając się, schodził ostatni ze wszystkich, posłaniec oddał mu list od pani de Nucingen. List brzmiał następująco:

»Nie bawię się z tobą ani w ambicyę ani w fałszywe urazy, drogi mój przyjacielu. Czekałam na ciebie aż do drugiej po północy. Czekać na istotę którą

się kocha! Kto poznał tę męczarnię, ten nie nakłada jej nikomu. Widzę dobrze, że kochasz po raz pierwszy. Cóż się tedy stało? Niepokój mnie ogarnął. Gdybym nie obawiała się wydać sekretów mego serca, byłabym pobiegła dowiedzieć się co się panu zdarzyło dobrego lub złego. Ale wyjść z domu o tej porze, pieszo czy powozem, czyż nie znaczyłoby zgubić się? Odczułam, jakiem nieszczęściem jest być kobietą. Uspokój mnie, wytłómacz dlaczego nie przybyłeś, po tem co ci powiedział ojciec? Pogniewam się, ale przebaczę. Czy jesteś chory? poco mieszkać tak daleko! Jedno słowo, przez litość. Zobaczę cię niedługo, nieprawdaż? Jedno słowo wystarczy, jeżeli jesteś zajęty. Powiedz: »Biegnę«, albo: »Jestem cierpiący«. Ale, gdybyś był chory, ojciec przyszedłby mi powiedzieć. Cóż się tedy stało?...«

Tak, co się stało? wykrzyknął Eugeniusz, który wpadł do jadalni mnąc list nie dokończywszy go czytać. Która godzina?

— Wpół do dwunastej; rzekł Vautrin, wrzucając cukier do kawy.

Galernik obrzucił Eugeniusza zimno-urocznem spojrzeniem, jakie umieją rzucać niektórzy ludzie posiadający wybitną siłę magnetyczną, którem podobno uspokaja się furyatów w domach obłąkanych. Eugeniusz zaczął drżeć na całem ciele. Turkot dorożki dał się słyszeć na ulicy: służący w barwach p. Taillefer, którego pani Couture natychmiast poznała, wszedł spiesznie z pomięszaną twarzą.

— Proszę panienki, rzekł, ojciec wzywa panienkę do siebie... Zdarzyło się wielkie nieszczęście. P. Fryderyk bił się w pojedynku, otrzymał pchnięcie szpadą w czoło, lekarze nie mają nadziei. Zaledwie będzie pani miała czas go pożegnać, nieprzytomny już jest.

— Biedny chłopiec! wykrzyknął Vautrin. Jak można wdawać się w zwady, kiedy się ma rzetelnych trzydzieści tysięcy franków renty? Stanowczo, młodzież nie umie cenić życia.

— Panie! krzyknął Eugeniusz.

— No, co tam, ty duże dziecko? rzekł Vautrin, kończąc spokojnie pić kawę, którą to czynność panna Michonneau śledziła ze zbyt baczną uwagą aby się mogło wzruszyć nadzwyczajnem wydarzeniem, które przejęło zdumieniem cały stół. Czyż nie odbywają się co dnia w Paryżu pojedynki?

— Idę z tobą, Wiktoryno, rzekła pani Couture.

I obie kobiety pobiegły bez szala i kapelusza.

Przed odejściem, Wiktoryna, z oczyma we łzach, rzuciła Eugeniuszowi spojrzenie, które mówiło: »Nie myślałam, aby nasze szczęście miało mi wycisnąć łzy!«

— Ba! pan jest zatem prorokiem, panie Vautrin? rzekła pani Vauquer.

— Jestem wszystkiem, rzekł Jakób Collin.

— To nadzwyczajna awantura! podjęła pani Vauquer, nizając szereg nieznaczących zdań dokoła tego wydarzenia. Śmierć chwyta nas, nie pytając czy nam to do smaku. Nie wiadomo nigdy kto z brzegu. Szczęśliwe jesteśmy, my kobiety, że nie znamy pojedynków; ale zato mamy inne choroby, których nie znają męż-

czyźni. Rodzimy dzieci, a choroba macierzyństwa trwa długo. Cóż za wielki los dla Wiktoryny! Ojciec zmuszony jest przyjąć ją za swoją.

— Ot co! rzekł Vautrin, patrząc na Eugeniusza; wczoraj nie miała szeląga, dziś jest dziedziczką kilku milionów.

— Powiedz pan, panie Eugeniuszu, wykrzyknęła pani Vauquer, wiedział pan gdzie ręką sięgać!

Na to odezwanie, ojciec Goriot spojrzał na studenta i ujrzał w jego ręku zmięty list.

— Nie dokończyłeś listu! cóż to znaczy? byłżebyś taki sam jak inni? spytał.

— Niech pani wie zatem, że nigdy nie zaślubię panny Wiktoryny Taillefer, rzekł Eugeniusz zwracając się do pani Vauquer z uczuciem wstrętu i grozy, który zdumiał obecnych.

Ojciec Goriot pochwycił rękę studenta i uścisnął; byłby ją chciał ucałować.

— Och! och! rzekł Vautrin. Włosi mają dobre wyrażenie: *col tempo!*

— Czekam na odpowiedź, rzekł do Rastignaca posłaniec pani de Nucingen.

— Powiedzcie, że przyjdę.

Człowiek odszedł. Eugeniusz znajdował się w stanie gwałtownego podniecenia, które nie pozwoliło mu być ostrożnym.

— Co czynić? powtarzał głośno, mówiąc sam do siebie. Żadnych dowodów!

Vautrin uśmiechnął się. W tej chwili, napój, wchłonięty przez żołądek, zaczął działać. Mimo to, ga-

lernik był tak silny, iż wstał, spojrzał na Rastignaca, rzekł zmienionym głosem:

— Młodzieńcze, niekiedy szczęście przychodzi we śnie...

I upadł martwy, jakby rażony gromem.

— Jest więc sprawiedliwość boska! rzekł Eugeniusz.

— Jezu miłosierny! cóż się stało? co temu zacnemu panu Vautrin?

— Apopleksya! krzyknęła panna Michonneau.

— Sylwio, ~~moje~~ dziecko, idź po lekarza, rzekła wdowa.

— Ach, panie Rastignac, biegnij pan prędko po pana Bianchon; Sylwia może nie zastać ~~naszego lekarza, p. Grimprel.~~

Rastignac, szczęśliwy iż ma pozór do opuszczenia tej straszliwej jaskini, wybiegł pędem.

— Krzysztofie, dalej, pędź do aptekarza poprosić o coś na apopleksyę.

Krzysztof wyszedł.

— Ojcze Goriot, prosimy, pomóż nam pan przenieść go na górę, do pokoju.

Uniesiono Vautrina, przebyto z trudem schody i ułożono go na łóżku.

— Nie zdam się wam już na nic, pójdę odwiedzić córkę, rzekł p. Goriot.

— Stary egoista, wykrzyknęła pani Vauquer, idź, życzę ci abyś zdechł jak pies.

— Niech pani pójdzie zobaczyć, czy niema gdzie eteru, rzekła panna Michonneau, która, przy pomocy Poireta, rozebrała Vautrina.

Pani Vauquer zeszła do siebie, zostawiając pannie Michonneau wolne pole.

— Dalej, zdejm mu pan koszulę; odwróć go szybko. Bądźże raz dobry na coś i oszczędź mi widoku nagości, rzekła do Poireta. Stoisz jak słup soli.

Skoro Vautrina odwrócono, panna Michonneau zaaplikowała mu na barki silnego klapsa; dwie nieszczęsne litery zajaśniały biało pośród zaczerwienionego miejsca.

— Ot, i zarobiłaś pani lekko trzy tysiące franków gratyfikacyi, wykrzyknął Poiret podtrzymując Vautrina w pozycyi siedzącej, podczas gdy panna Michonneau wkładała mu koszulę. — Uf! ciężki jest, dodał kładąc go z powrotem.

— Cicho bądź. Gdyby tu gdzie była kasa? rzekła żywo stara panna, której oczy zdawały się przebijać mury, z taką chciwością przeglądała najdrobniejsze sprzęty w pokoju. — Gdyby można otworzyć ten sekretarzyk pod jakimś pozorem? dodała.

— To byłoby może niewłaściwe, odparł Poiret.

— Nie, odparła. Pieniądze ukradzione, które wprzódy należały do wszystkich, nie są już niczyje. Ale niema czasu. Słyszę już starą Vauquer.

— Jest eter, rzekła pani Vauquer. A to mi doprawdy! bania rozbiła się z awanturami. Boże! ten człowiek nie może być chory, biały jest jak kurczątko.

— Jak kurczątko?

— Serce bije regularnie, rzekła wdowa, kładąc mu rękę na sercu.

— Regularnie? rzekł Poiret zdumiony.

— Ma się bardzo dobrze.

— Uważa pani? spytał Poiret.

— Ba! wygląda jakby spał. Sylwia poszła po lekarza. Powiedz pani, panno Michonneau; poczuł eter. Et, to tylko spazma, nie żaden apopleks. Puls ma dobry. Silny jest jak Herkules. Patrz pani, jaki ten człowiek ma obrośnięty żołądek; będzie żył sto lat, niebożątko! Peruka też trzyma się dobrze na głowie. Aha, przylepiona jest: ma fałszywe włosy, niby względem tego że jest ryży. Powiadają, że tacy rudzi są albo ze wszystkiem dobrzy albo ze wszystkiem źli. Ten chyba jest dobry?

— Dobry aby go powiesić, rzekł Poiret.

— Chce pan powiedzieć na szyi ładnej kobiety, wykrzyknęła żywo panna Michonneau. Idźże pan stąd, panie Poiret. To nasza rzecz pielęgnować was kiedy jesteście chorzy. Zresztą, tyle co pan pomoże a nic, to jedność. Pani Vauquer i ja będziemy we dwie czuwać przy tym zacnym panu Vautrin.

Poiret odszedł cicho i bez szemrania, jak pies którego pan wyrzuci kopnięciem nogi. Rastignac wyszedł aby się przejść, odetchnąć powietrzem, dławił się. Tej zbrodni, którą spełniono o postanowionej godzinie, pragnął wszak w wilię zapobiedz! Co się stało? Co począć? Drżał, iż stał się jej wspólnikiem. Zimna krew Vautrina przerażała go jeszcze.

— Gdyby wszelako Vautrin miał umrzeć nie rzekłszy słowa? powiadał sobie Rastignac.

Szedł prawie przez aleje Luxemburgu, jakgdyby go ścigała sfora psów: zdawało mu się, iż słyszy ich szczekania.

— I cóż, zakrzyknął nań Bianchon, czytałeś *Pilota*?

Pilot, był to radykalny dziennik prowadzony przez p. Tissot, redagujący dla prowincyi, w kilka godzin po dziennikach porannych, wydanie, gdzie znajdowały się wszystkie nowiny dnia; w ten sposób, dziennik zyskiwał, w stolicach departamentów, dwudziestoczterogodzinne pierwszeństwo przed innemi gazetami.

— Jest tam bajeczna historya, rzekł intern szpitala Cochin. Młody Taillefer bił się w pojedynku z hrabią Franchessini, ze starej gwardyi, Napoleońskiej, który mu wpakował szpadę na dwa cale w czoło. I oto, nasza Wiktoryna jest jedną z najbogatszych partyj w Paryżu. Hej! gdyby to człowiek przewidział. Cóż za ruletka ta śmierć! Czy to prawda, że Wikcia robiła do ciebie słodkie oczki?

— Przestań, Bianchon, nie ożenię się z nią nigdy. Kocham uroczą kobietę, posiadam jej wzajemność, i...

— Mówisz to tak, jakbyś wytężał wszystkie siły aby się nie sprzeniewierzyć. Pokażże mi kobietę, któraby warta była, aby poświęcić dla niej fortunę imć pana Taillefer.

— Czy wszystkie demony z piekła uwzięły się na mnie? wykrzyknął Rastignac.

— O co tobie chodzi? czyś oszalał? Podaj-że mi rękę, rzekł Bianchon, niech ci pomacam puls. Masz gorączkę.

— Leć-że do starej Vauquer, rzekł Eugeniusz, ten opryszek Vautrin padł przed chwilą jak martwy.

— A, rzekł Bianchon opuszczając Rastignaca, potwierdzasz podejrzenia które muszę sprawdzić.

Długa przechadzka jaką odbył student miała w sobie coś uroczystego. Uczynił poniekąd obrachunek sumienia. Jeżeli pasował się z sobą, zgłębiał się, wahał, bądź co bądź uczciwość jego wyszła z tej twardej i straszliwej dyskusyi wypróbowana niby sztaba żelaza, która oprze się wszystkim próbom. Przypomniał sobie zwierzenia, jakie ojciec Goriot uczynił mu wczoraj, przypomniał sobie mieszkanko wyszukane dlań blizko Delfiny; wyjął na nowo list, odczytał go, ucałował.

— Taka miłość jest moją kotwicą zbawienia, rzekł sobie. Ten biedny starzec wiele wycierpiał. Nie mówi nic o swoich zgryzotach, ale któżby ich nie odgadł! Dobrze więc, będę dbał o niego jak o własnego ojca, dostarczę mu tysiącznych radości. Jeżeli Delfina mnie kocha, często będzie do mnie zachodzić aby spędzić dzień obok niego. Ta pyszna hrabina de Restaud, to niegodziwa istota, gotowa byłaby z ojca zrobić odźwiernego. Droga Delfina! ona lepsza jest dla nieboraka, warta aby ją kochać.

Wyjął zegarek, oglądając go z zachwytem.

— Wszystko mi się uśmiecha! Kiedy dwoje ludzi kocha się serdecznie, na zawsze, mogą sobie pomagać, mogę to przyjąć. Zresztą, wybiję się, to pewna, i będę mógł oddać stokrotnie. Niema w tym związku zbrodni, ani nic coby mogło przyprawić o zmarszczenie brwi najsurowszą cnotę. Iluż uczciwych ludzi zadzierżga takie węzły! Nie oszukujemy nikogo; a tylko kłamstwo upadla człowieka. Kłamać, czyż nie znaczy wyrzekać się własnej godności? Delfina jest oddawna rozłączona z mężem. Zresztą, ja po-

wiem temu Alzatczykowi aby mi odstąpił żonę, skoro nie potrafił uczynić jej szczęśliwą.

Walka Rastignaca trwała długo. Mimo iż zwycięztwo miało przypaść młodzieńczej cnocie, mimo to, niezwalczona ciekawość sprowadziła go, około wpół do piątej, o zmierzchu, do pensyonatu, który, jak to przysięgał sam sobie, miał opuścić na zawsze. Chciał się dowiedzieć, czy Vautrin żyje. Wpadłszy na myśl aby mu podać środek wymiotny, Bianchon kazał zanieść do swego szpitala zwrócone substancye, celem chemicznego ich zbadania. Widząc usilność, z jaką panna Michonneau starała się usunąć te wydzieliny, nabrał tem silniejszych wątpliwości. Vautrin zresztą zbyt rychło wrócił do zdrowia, aby Bianchon nie miał powziąć podejrzenia co do jakiegoś spisku przeciw wesołemu ulubieńcowi gospody. W chwili gdy Rastignac wrócił, Vautrin stał przy piecu, w sali jadalnej. Sprowadzeni wcześniej niż zwykle nowiną o pojedynku młodego Taillefera, pensyonarze, ciekawi poznać szczegóły sprawy i jej wpływ na losy Wiktoryny, zebrali się wszyscy, z wyjątkiem ojca Goriot, i rozprawiali o tej przygodzie. Skoro Eugeniusz wszedł, oczy jego spotkały się z oczyma niewzruszonego Vautrina, którego wzrok wniknął mu w serce tak głęboko i poruszył tak silnie jakieś złe struny, iż student zadrżał.

— I cóż, drogie dziecko, rzekł zbiegły galernik, kostusia dużo będzie miała ze mną kłopotu. Wedle tego co mówią te damy, wytrzymałem zwycięzko uderzenie krwi, zdolne powalić wołu.

— Powiedz pan byka! wykrzyknęła wdowa Vauquer.

— Czyżbyś był nierad, że widzisz mnie przy życiu? rzekł Vautrin pochylając się ku Rastignacowi, którego myśli zdawał się przenikać. Toby zakrawało na djabelnie silnego człowieka!

— Na honor, rzekł Bianchon, panna Michonneau mówiła przedwczoraj o jakimś jegomości zwanym *Ołży-śmiercią;* ten przydomek nadałby się dla pana.

Słowo to uczyniło na Vautrinie wrażenie pioruna: zbladł i zachwiał się, jego magnetyczne spojrzenie padło jak promień słońca na pannę Michonneau, której ten prąd niezłomnej woli podciął kolana... Stara panna osunęła się na krzesło. Poiret rzucił się żywo między nią a Vautrina, rozumiejąc, iż grozi jej niebezpieczeństwo: tyle dzikiej wymowy nabrała twarz galernika, skoro odrzucił dobroduszną maskę, pod którą ukrywał prawdziwą naturę. Nie pojmując jeszcze nic z tego dramatu, pensyonarze stali w osłupieniu. Równocześnie, dały się słyszeć liczne kroki i chrzęst karabinów, które zadźwięczały o bruk ulicy. W chwili gdy Collin szukał machinalnie wyjścia spoglądając na okna i ściany, czterech ludzi ukazało się w drzwiach salonu. Pierwszym był naczelnik policyi bezpieczeństwa, trzej inni byli to t. zw. oficerowie pokoju.

— W imieniu prawa i króla! rzekł jeden z oficerów, którego głos zagłuszyły szmery zdumienia.

Niebawem, zapanowało w jadalni milczenie; pensyonarze rozstąpili się aby przepuścić trzech ludzi którzy wszyscy trzymali rękę w bocznej kieszeni, na rękojeści nabitego pistoletu. Dwóch żandarmów, którzy

wkroczyli za agentami, zajęło drzwi salonu; dwaj inni ukazali się w drzwiach prowadzących na schody. Kroki i chrzęst broni licznych żołnierzy rozlegały się na bruku pod oknami. Wszelka nadzieja ucieczki zgasła dla Collina, na którego nieodparcie skierowały się wszystkie spojrzenia. Szef policyi podszedł wprost ku niemu; zaczął od tego, że wymierzył mu w głowę tak silne uderzenie dłonią, iż strącił perukę i odsłonił głowę Collina w całej jej okropności. Fizyognomia ta i głowa — pokryta ceglasto-rudymi krótkimi włosami, które dawały jej straszliwe wejrzenie siły skojarzonej z chytrością — harmonizujące z torsem, zabłysły światłem inteligencyi, jakgdyby je rozświetliły wszystkie ognie piekła. Każdy zrozumiał całego Vautrina, jego przeszłość, teraźniejszość, przyszłość, jego nieubłagane teorye, dogmat własnego zachcenia, królewskość jaką mu nadawał cynizm jego myśli, uczynków, oraz siła organizacyi, zdolnej do wszystkiego. Krew wystąpiła mu na twarz, oczy zabłysły niby u dzikiego kota. Skurczył się w samym sobie gestem nacechowanym tak dziką energią, ryknął tak potężnie, iż wydarł okrzyk grozy z piersi wszystkich pensyonarzy. Na ten ruch lwa, agenci, wsparci ogólnym hałasem, uchwycili pistolety. Collin zrozumiał niebezpieczeństwo, widząc błyszczące odwiedzione kurki, i, w ciągu jednej chwili, dał dowód najwyższej ludzkiej potęgi. Straszliwe i majestatyczne widowisko! fizyognomia jego urzeczywistniła fenomen, który można jedynie porównać do kotła pełnego dymiącej pary, zdolnej podnieść góry, a rozpraszającej się, w jednem mgnieniu oka, pod kroplą zimnej wody. Kroplą wody, która ostudziła

jego wściekłość, było zastanowienie szybkie jak błyskawica. Uśmiechnął się i spojrzał na swą perukę.

— Nie jesteś dziś w najgrzeczniejszem usposobieniu, rzekł do szefa policyi bezpieczeństwa.

I podał ręce żandarmom, przyzywając ich ruchem głowy.

— Panowie żandarmi, załóżcie mi kajdanki. Biorę za świadków wszystkich obecnych, że się nie opieram.

Rozległ się szmer podziwu, wydarty szybkością z jaką lawa i ogień buchnęły z tego ludzkiego wulkanu i napowrót się weń cofnęły.

— To ci wchodzi w paradę, mości hyclu, dodał galernik, spoglądając na sławnego naczelnika policyi kryminalnej.

— Dalej, rozbierać się! rzekł ów, tonem pełnym wzgardy.

— Poco? rzekł Collin. Są tu damy. Nie zaprzeczam niczemu i poddaję się.

Zamilkł na chwilę i spojrzał po zgromadzeniu niby mówca który gotuje się powiedzieć zdumiewające rzeczy.

— Pisz, papo Lachapelle, rzekł zwracając się do małego staruszka o siwych włosach, który usiadł na końcu stołu i wydobył z teki protokół aresztowania. Przyznaję, że jestem Jakóbem Collin, zwanym *Ołży-Śmiercią*, skazanym na dwadzieścia lat kajdanów; a dowiodłem właśnie, żem nie skradł tego przydomka. Gdybym był bodaj podniósł rękę, rzekł do pensyonarzy, ci trzej łapacze byliby rozlali wszystką moją *juszkę* na patryarchalną podłogę mamy Vauquer. Te hultaje umieją zastawiać pułapki!

Pani Vauquer omal nie zemdlała, słysząc te słowa.

— Mój Boże, rzekła do Sylwii, to można się rozchorować; i ja wczoraj jeszcze byłam z nim w teatrze!

— Trochę filozofii, mamusiu, odparł Collin. Czyż to nieszczęście, żeś była wczoraj ze mną w loży w Gaîté? wykrzyknął. Czyś ty lepsza od nas? Mniej hańby jest na naszym barku niż wy jej macie w sercu, wy, strupieszałe członki zgniłego społeczeństwa: najlepszy z pośród was nie umiał mi się oprzeć. Oczy Vautrina zatrzymały się na Rastignacu, na którego skierował miły uśmiech, stanowiący osobliwą sprzeczność z twardym wyrazem jego twarzy. Nasza umowa stoi zawsze, mój aniele, naturalnie o ile się godzisz! Pamiętasz?

Zanucił:

Franusia moja jest urocza,
Prostoty stroi ją wdzięk...

— Nie lękaj się o nic, dodał, umiem się upomnieć o swoje wierzytelności. Zanadto się mnie boją, aby ktoś śmiał mnie *wykiwać!*

Galery ze swymi obyczajami i mową, ze swemi straszliwemi przejściami od żartu do grozy, swą przerażającą wielkością, rubasznością i spodleniem, stanęły nagle jak żywe w wykrzykniku tego człowieka, który nie był już człowiekiem, ale typem całego tego zwyrodniałego plemienia, ludu dzikiego i logicznego, brutalnego a giętkiego. W jednej chwili, Collin stał się piekielnym poetą, w którym wyraziły się wszystkie

ludzkie uczucia, z wyjątkiem skruchy. Spojrzenie jego było spojrzeniem upadłego anioła, który wiecznie pragnie wojny. Rastignac spuścił oczy, przyjmując to zbrodnicze powinowactwo jako pokutę za swoje złe myśli.

— Kto mnie zdradził? rzekł Collin, wiodąc straszliwem okiem po zebranych i zatrzymując je na pannie Michonneau.

— To ty, rzekł, stara wiedźmo! Ty przyprawiłaś mnie o sztuczne uderzenie krwi, ty... szpiegu!.. Wystarczyłoby mi powiedzieć dwa słowa, aby ci ukręcono szyję w przeciągu tygodnia. Przebaczam ci, jestem chrześcijaninem. Zresztą, to nie ty mnie sprzedałaś. Ale kto? — Ha, ha! szukacie tam na górze, wykrzyknął słysząc jak urzędnicy policyi otwierają szafy i zagarniają jego rzeczy. Niema już ptaszków w gnieździe, odfrunęły wczoraj. Moje księgi handlowe są tu, rzekł uderzając się w czoło. Wiem teraz, kto mnie zdradził. To nie może być nikt inny, tylko ten łotr Nitka. — Nieprawdaż, ojcze łapaczu? rzekł do naczelnika policyi. To zanadto dobrze się zgadza z pobytem banknotów na górze. Figa z makiem, moje kochane szpieguny. Co do *Jedwabnego*, ten znajdzie się pod ziemią w ciągu dwóch tygodni, choćby go nawet strzegła cała wasza żandarmerya. — Ileście jej dali, tej Miszonecie? rzekł, zwracając się do urzędników, jakieś tysiąc talarów! Więcej byłem wart jeszcze, ty przegniła Ninon, ty Pompadour w łachmanach, Wenero z kostnicy! Gdybyś mnie była ostrzegła, dostałabyś sześć tysięcy franków. Ha! nie wiedziałaś o tem, ty stara handlarko mięsa; inaczej by-

łabyś mi dała pierwszeństwo. Tâk, byłbym chętnie dał tyle, aby oszczędzić sobie podróży, która mi jest nie na rękę i naraża ~~mnie~~ na niepotrzebne koszta, mówił ~~podczas~~ gdy mu wkładano kajdanki. Te hycle będą się bawić ze mną jak kot z myszą, będą umyślnie wlekli sprawę bez końca. Gdyby mnie posłali odrazu na galery, rychło wróciłbym do swoich zajęć, na przekór wszystkim lalusiom z policyi. Tam, wszyscy na głowach się postawią, aby uwolnić swego zacnego generała, dzielnego *Ołży-Śmierć*. Czy jest między wami ktoś, ktoby posiadał, jak ja, więcej niż dziesięć tysięcy braci gotowych uczynić dlań wszystko? zapytał z dumą. Tak, jest tutaj coś, rzekł uderzając się w piersi; nie zdradziłem nigdy nikogo. — Patrz, ty ścierwo, spojrz na nich, rzekł zwracając się do starej panny. Na mnie patrzą ze zgrozą, ale ty przyprawiasz ich o mdłości ~~z obrzydzenia~~. Weź swoją zapłatę. ~~Uczynił pauzę~~, spoglądając po stołownikach.

— Jacyście wy głupi wszyscy! ~~czyście~~ nie widzieli nigdy galernika? Zbrodniarz tej miary co Collin, tu obecny, to człowiek mniej nikczemny od innych, zakładający protest przeciw straszliwym oszukaństwom umowy społecznej, jak mówi Jan Jakób, którego mam zaszczyt być uczniem. Ostatecznie, jestem sam naprzeciw rządu wraz z jego chmarą trybunałów, żandarmów, budżetów, i wodzę ich za nos...

— Do kroćset! rzekł malarz, warto-by go odmalować w tej chwili.

— Powiedz-no mi, szambelanie Jego Wysokości Kata, ochmistrzu *Wdowy* (pełne straszliwej poezyi miano, jakie złoczyńcy dają gilotynie), dodał zwraca-

jąc się do szefa policyi bezpieczeństwa, bądź poczciwy, powiedz, czy to *Jedwabny* mnie sprzedał? Nie chciałbym aby *beknął* za kogo innego, toby było niesprawiedliwie.

W tej chwili, agenci, którzy wszystko przetrząsnęli w mieszkaniu bandyty i z wszystkiego sporządzili inwentarz, wrócili i zaczęli szeptać coś cicho do naczelnika wyprawy.

Protokół był skończony.

— Panowie, rzekł Collin zwracając się do stołowników, zabiorą mnie. Byliście wszyscy bardzo uprzejmi przez czas mego tu pobytu, zachowam dla was wdzięczność. Przyjmcie moje pożegnanie. Pozwolicie abym wam przysłał fig prowanckich.

Uczynił kilka kroków i odwrócił się aby spojrzeć na Rastignaca.

— Bądź zdrów, Eugeniuszu, rzekł smutnym i łagodnym głosem, który szczególnie odbijał od szorstkiego tonu poprzednich słów. Gdybyś był w potrzebie, zostawiłem ci oddanego przyjaciela.

Pomimo kajdanków, zdołał stanąć w pozycyi, wydał okrzyk komendy fechmistrza: »Raz, dwa!« i zadał pchnięcie.

— W razie nieszczęścia, rzekł, zwróć się tam. Człowiek, pieniądze, wszystko na twoje usługi.

Dziwna ta osobistość zabarwiła ostatnie słowa dość żartobliwie aby mogły być zrozumiałe jedynie dla Rastignaca i dla Vautrina. Skoro żandarmi, żołnierze i agenci policyi opuścili dom, Sylwia, która rozcierała octem skronie gospodyni, spojrzała po stołownikach trwających w osłupieniu.

— Z tem wszystkiem, rzekła, to był kawałek człowieka.

Zdanie to rozwiało urok, w jakim pogrążyły każdego natłok i rozbieżność uczuć wywołanych tą sceną. W tej chwili, pensyonarze, spojrzawszy po sobie, zwrócili nagle oczy na pannę Michonneau. Stała jak wryta koło pieca, sucha i zimna jak mumia; ze spuszczonemi oczami, jakgdyby się obawiała iż cień zielonego daszka nie jest dość silny aby ukryć wyraz jej spojrzenia. Zrozumieli naraz tę postać, która od tak dawna była im antypatyczna. Rozległ się głuchy szmer, który, przez swą doskonałą zgodność, zdradzał jednomyślną odrazę. Panna Michonneau usłyszała, ale nie ruszyła się z miejsca. Pierwszy Bianchon nachylił się do sąsiada.

— Wynoszę się, jeżeli ta pannica ma nadal z nami siadać do stołu, rzekł półgłosem.

W mgnieniu oka, wszyscy, z wyjątkiem Poireta, zatwierdzili oświadczenie studenta medycyny, który, poparty ogólną zgodą, zbliżył się do starego pensyonarza.

— Pan jesteś w blizkich stosunkach z panną Michonneau, rzekł, pomów z nią; wytłómacz, że powinna się stąd wynosić natychmiast.

— Natychmiast? powtórzył Poiret zdziwiony.

Następnie, zbliżył się do starej panny i rzekł jej kilka słów do ucha.

— Zapłaciłam komorne i mieszkam tu za swoje pieniądze jak wszyscy, rzekła obrzucając obecnych wzrokiem jaszczurki.

— To nic nie znaczy! złożymy się, aby pani zwrócić, rzekł Rastignac.

— Pan trzyma stronę Collina, odparła rzucając na studenta badawcze i jadowite spojrzenie; nie trudno zgadnąć dlaczego.

Na te słowa, Eugeniusz skoczył, jakgdyby chciał rzucić się na starą pannę i udusić ją. Spojrzenie to, którego łajdactwo zrozumiał, rzuciło straszliwe światło w jego duszę.

— Zostawże ją pan, wykrzyknęli stołownicy.

Rastignac skrzyżował ramiona i stał niemy.

— Skończmyż z tym Judaszem w spódnicy, rzekł malarz zwracając się do pani Vauquer. Jeżeli pani nie wyprosi za drzwi panny Michonneau, opuszczamy wszyscy paniną budę i opowiemy wszędzie, że mieszkają tu same tylko szpiegi i bandyci. W przeciwnym razie, zachowamy milczenie co do tego wypadku, który, ostatecznie, może się zdarzyć w najlepszem towarzystwie, aż do chwili w której zaczną galerników piętnować na czole, zabronią im przebierać się za mieszczuchów paryzkich i odgrywać rolę płaskich trefnisiów w jakiej znajdują szczególne upodobanie.

Na te słowa, pani Vauquer cudem odzyskała zdrowie, wyprostowała się, skrzyżowała ramiona, otworzyła oczy jasne i bez śladu łzy.

— Ależ, mój drogi panie, chce pan tedy ruiny mego domu? Oto p. Vautrin... Och, mój Boże, rzekła przerywając sama sobie, nie mogę się powstrzymać od nazywania go dawnem, uczciwem nazwiskiem! Oto, rzekła, jedno pomieszkanie próżne, a pan chce abym

miała jeszcze dwa do wynajęcia w porze kiedy wszyscy już są polokowani...

— Panowie, bierzmy kapelusze i chodźmy na obiad do Flicoteaux, na plac Sorbony.

Pani Vauquer obliczyła jednym rzutem oka po której stronie jest większa korzyść i potoczyła się ku pannie Michonneau.

— No cóż, moja ślicznotko, nie chcesz pani zguby mojego zakładu, co? Widzisz, w jakiej ostateczności stawiają mnie ci panowie; idź pani dziś wieczór jeść w swoim pokoju.

— Nie, nie, zakrzyknęli pensyonarze; chcemy, aby zabrała się stąd natychmiast.

— Ależ ona obiadu nie jadła, biedactwo, rzekł p. Poiret miłosiernym tonem.

— Niech sobie idzie jeść gdzie się jej podoba, wykrzyknęło kilka głosów.

— Za drzwi ze szpiegiem!

— Za drzwi ze szpiegami!

— Panowie, wykrzyknął Poiret, wznosząc się nagle do wyżyn odwagi jakiej miłość użycza baranom, chciejcie uszanować płeć.

— Szpiegi nie mają płci, rzekł malarz.

— Dobry ze swoją płciorama!

— Za drzwiorama!

— Panowie, to nieprzyzwoicie. Kiedy się komuś wypowiada, trzeba zachować formy. Zapłaciliśmy, więc zostajemy, rzekł Poiret, kładąc na głowę kaszkiecik i siadając na krześle obok panny Michonneau, której pani Vauquer roztrząsała sumienie.

— Urwisie, rzekł doń malarz komicznym tonem ej, ty mały urwisie!

— Zatem, jeżeli państwo nie odchodzicie, my wszyscy idziemy, rzekł Bianchon.

I stołownicy skierowali się hurmem ku drzwiom.

— Moja panno, co pani sobie właściwie myśli? wykrzyknęła pani Vauquer. Jestem zrujnowana. Nie może pani tu zostać, oni posuną się do gwałtu!

Panna Michonneau wstała.

— Zabierze się! — Nie zabierze! — Zabierze się! — Nie zabierze!

Słowa te, padające kolejno, oraz wrogi ton odezwań jakie ją dochodziły, zmusiły pannę Michonneau do odwrotu, po chwili pertraktacyj dokonanych szeptem z gospodynią.

— Idę do pani Buneaud, rzekła tonem groźby.

— Idź pani gdzie się jej podoba, rzekła pani Vauquer, widząc krwawą zniewagę w wyborze pensyonatu z którym rywalizowała i który, tem samem, był jej nienawistny. Idź panna do Buneaudowej, będziesz tam miała wino kwaśne jak ocet i jedzenie gotowane z odpadków traktyerni.

Pensyonarze ustawili się w najgłębszem milczeniu w dwa rzędy. Poiret spoglądał tak czule na pannę Michonneau, okazał się tak naiwnie niezdecydowany czy ma iść za nią czy zostać, iż stołownicy, uszczęśliwieni z porażki starej panny, zaczęli się śmiać na jego widok.

— Ksi ksi ksi! Poiret, krzyknął malarz. Dalej, hopla hop!

Urzędnik Muzeum zaczął komicznie śpiewać początek znanej romanzy:

W dalekie puszczając się strony,
Orlando piękny i młody...

— Idź-że pan, umierasz z ochoty: *trahit sua quemque voluptas!* rzekł Bianchon.

— Każda potwora znajdzie swego amatora, wolny przekład z Wirgiliusza, rzekł korepetytor.

Panna Michonneau spojrzała na Poireta, czyniąc ruch jakgdyby chciała wesprzeć się na nim; nie umiał oprzeć się temu wezwaniu i podał ramię starej. Rozległy się oklaski, połączone z wybuchami śmiechu.

— Brawo, Poiret! — Nie, ten stary Poiret!... — Apollo-Poiret! — Hektor-Poiret! — Dzielny Poiret!

W tej chwili, wszedł posłaniec i oddał list pani Vauquer, która, przeczytawszy, osunęła się na krzesło.

— Ależ pozostaje tylko podpalić dom, piorun weń uderzył! Młody Taillefer umarł o trzeciej. Ciężko jestem ukarana, że życzyłam pomyślności tym paniom ze szkodą biednego chłopca! Pani Couture i Wiktoryna proszą o przesłanie rzeczy, przenoszą się na mieszkanie do ojca. Taillefer pozwala córce zatrzymać przy sobie wdowę Couture jako damę do towarzystwa. Cztery pomieszkania wolne, pięcioro pensyonarzy mniej!...

Usiadła, zdawała się blizka płaczu.

— Nieszczęście weszło w mój dom, wykrzyknęła.

Turkot pojazdu, który zatrzymał się przed domem, rozległ się nagle na ulicy.

— Jeszcze jakiś pasztet! rzekła Sylwia.

W drzwiach ukazał się nagle Goriot z twarzą błyszczącą i zarumienioną szczęściem: rzeklibyście odrodzony człowiek.

— Goriot dorożką? rzekli stołownicy: zbliża się koniec świata!

Stary podszedł prosto do Eugeniusza, który stał w kącie zadumany i ujął go za ramię.

— Chodź pan, rzekł wesoło.

— Nie wiesz pan tedy co się stało? rzekł Eugeniusz. Vautrin był opryszkiem i właśnie go ujęto, a młody Taillefer nie żyje.

— I cóż, co nas to obchodzi? rzekł ojciec Goriot. Jem dziś obiad z córką, u ciebie, słyszysz? Czeka na ciebie, chodź!

Pociągnął Ratignaca tak gwałtownie za ramię, iż Eugeniusz zmuszony był ~~iść~~ za nim. Uprowadził go niby kochankę.

— Do stołu, wykrzyknął malarz.

Wszyscy przysunęli krzesła i siedli ~~do stołu~~.

— Daję słowo, rzekła ~~gruba~~ Sylwia, wszystko się dzisiaj nieszczęści, potrawka barania na nic się spaliła. Ha, trudno, zjecie państwo jaka jest.

Pani Vauquer nie miała siły wyrzec słowa, widząc tylko dziesięć osób zamiast ośmnastu koło stołu: ale wszyscy próbowali ją rozerwać i pocieszyć. O ile zrazu stołownicy rozmawiali o Vautrinie i o wypadkach dnia, niebawem podążyli za wijącym się wężowo biegiem rozmowy i zaczęli gwarzyć o pojedyn-

kach, galerach, sądach, prawach któreby trzeba zreformować, więzieniach. Niebawem, znaleźli się o tysiąc mil od Jakóba Collin, Wiktoryny i jej brata. Mimo iż było ich tylko dziesięciu, robili hałasu za dwudziestu i zdawali się liczniejsi niż zazwyczaj; to była jedyna różnica pomiędzy tym obiadem a wczorajszym. Zwykła obojętność tego samolubnego świata, który, nazazajutrz, miał znaleźć w bieżących wypadkach Paryża nową ofiarę do pożarcia, wzięła górę; nawet pani Vauquer dała się ukoić nadziei, która przybrała głos grubej Sylwii.

Dzień ten miał być aż do wieczora jedną fantasmagoryą dla Eugeniusza, który, mimo siły swego charakteru i tęgości głowy, niezdolny był zebrać myśli, znalazłszy się w dorożce obok ojca Goriot. Odezwania się starego zdradzały niezwyczajną radość, i, po tylu wzruszeniach, rozlegały się w uchu młodego człowieka niby słowa słyszane we śnie.

— Wszystko skończone dziś rano. Jemy obiad we troje, razem, razem! rozumiesz? Oto już cztery lata jak nie jadłem obiadu z Delfiną, z moją małą Delfinką. Będę ją miał dla siebie przez cały wieczór. Pracowałem jak wyrobnik, z zakasanymi rękawami. Pomagałem znosić meble. Ha, ha! ty nie wiesz jaka ona jest miła przy stole, będzie się mną zajmowała: »Masz, papuśku, zjedz jeszcze tego, to dobre«. A ja wtedy nie mogę jeść. Och, dawno już nie byłem z nią tak spokojnie jak dziś będziemy!

— Zatem, rzekł Eugeniusz, świat przewrócił się do góry nogami?

— Przewrócił? rzekł ojciec Goriot. Ależ nigdy

jeszcze nie trzymał się na nogach tak dobrze. Widzę na ulicy jedynie same wesołe twarze, ludzi ściskających się za ręce, obejmujących się; ludzi szczęśliwych tak, jakby wszyscy mieli być na obiedzie u swoich córek i smakować dobry obiadek, jak ten który ona zamówiła w mojej obecności u kuchmistrza w Kawiarni Angielskiej. Ale ba! przy niej piołun wydałby się słodki, jak miód.

— Mam uczucie, że wracam do życia, rzekł Eugeniusz.

— Jedźcież prędzej, człowieku! krzyknął ojciec Goriot otwierając przednie okno. Jedźcież prędzej, dam wam pięć franków na piwo, jeśli za dziesięć minut staniemy na miejscu.

Słysząc tę obietnicę, woźnica pognał przez ulice Paryża z szybkością błyskawicy.

— Wlecze się noga za nogą, wyrzekał ojciec Goriot.

— Ale gdzie mnie pan wiezie? spytał Rastignac.

— Do ciebie, odparł ojciec Goriot.

Pojazd zatrzymał się przy ulicy d'Artois. Stary wyskoczył pierwszy i rzucił dziesięć franków woźnicy z hojnością wdowca, który, w paroksyzmie uciechy, nie liczy się z niczem.

— Dalej, chodźmy, rzekł do Rastignaca, prowadząc go przez dziedziniec i wiodąc do drzwi pomieszkania, na trzeciem piętrze, w oficynie nowego i okazałego domu.

Ojciec Goriot nie potrzebował dzwonić. Teresa, pokojówka pani de Nucingen, otworzyła drzwi. Eugeniusz znalazł się w prześlicznem mieszkanku kawa-

lerskiem, składającem się z przedpokoju, saloniku, sypialni i gabinetu z oknem wychodzącem na ogród. W saloniku, którego umeblowanie i dekoracya błyszczały wykwintem, spostrzegł, przy blasku świec, Delfinę, która podniosła się z kozetki, przy kominku, zasunęła kominek ekranem i rzekła tonem przejętym czułością:

— Trzeba było aż posyłać po pana, sam nie umiesz nic zrozumieć!

Teresa wyszła. Student wziął Delfinę w ramiona, uścisnął ją żywo i zapłakał z radości. Ten ostatni kontrast między tem co widział w ciągu dnia, a na co patrzał w tej chwili, w dniu w którym tyle wrażeń przeorało jego serce i głowę, wywołał u Rastignaca napad nerwowej tkliwości.

— Wiedziałem dobrze, że on cię kocha, rzekł pocichu Goriot do córki, podczas gdy Eugeniusz, wyczerpany, osunął się na kozetkę, nie mogąc wymówić słowa ani zdać sobie jeszcze sprawy z tego ostatniego dotknięcia laseczki czarnoksięzkiej.

— Ale, chodźże pan zobaczyć, rzekła pani de Nucingen, ujmując go za rękę i prowadząc do pokoju, którego dywany, meble i najdrobniejsze szczegóły przypominały mu, w mniejszych rozmiarach, pokój Delfiny.

— Brakuje łóżka, rzekł Rastignac.

— Tak, szepnęła rumieniąc się i ściskając mu rękę.

Eugeniusz spojrzał na nią, i zrozumiał, mimo iż tak młody, ile prawdziwej wstydliwości mieści się w sercu kochającej kobiety.

— Należysz do istot które musi się ubóstwiać

zawsze, rzekł jej do ucha. Tak, śmiemy ci to powiedzieć, skoro rozumiemy się tak dobrze: im bardziej żywą i szczerą jest miłość, tem bardziej powinna być tajemnicza, okryta zasłoną. Nie powierzajmy naszej tajemnicy nikomu.

— Och, ja nie jestem przecież *ktoś*, rzekł ojciec Goriot z wyrzutem.

— Wiesz przecież, że ty to jesteś *my*...

— Och, oto o czem marzyłem. Nie będziecie zwracali na mnie uwagi, nieprawdaż? Będę chodził, snuł się po domu jak dobry duch który jest wszędzie obecny i którego obecność się czuje nie widząc go. I cóż, Delfino, Finko, Delciu! czy nie miałem słuszności, gdym ci mówił: »Jest ładne mieszkanko przy ulicy d'Artois, urządźmy je dla niego«! Ty nie chciałaś. Och, to ja jestem twórcą tej radości, tak jak jestem twórcą twego życia. Ojciec powinien ciągle dawać, aby się czuć szczęśliwym. Wciąż dawać, oto co znaczy być ojcem.

— Jakto? spytał Eugeniusz.

— Tak, ona nie chciała, bała się że będą gadać głupstwa, jak gdyby świat wart był aby mu poświęcić szczęście! Toć wszystkie kobiety marzą o tem, aby uczynić to co ona zrobiła.

Ojciec Goriot mówił w próżnię: pani de Nucingen wciągnęła Eugeniusza do gabinetu, gdzie rozległ się szmer pocałunku, mimo iż uszczkniętego możliwie najdelikatniej. Pokój ten był w harmonii z wykwintem całego mieszkania, w którem zresztą nie brakowało niczego.

— Cóż, czy dobrze odgadliśmy pańskie chęci? rzekła wracając aby usiąść do stołu.

— Ach tak, odparł, za dobrze. Niestety! ten zbytek tak zupełny, to urzeczywistnienie pięknych marzeń, wszystkie poezye życia młodego, wykwintnego... tak, oceniam je zbyt dobrze, abym nie miał na nie zasługiwać; ale nie mogę ich przyjąć od pani, a sam jestem jeszcze zbyt biedny, aby...

— Ach! ach! już mi się pan sprzeciwia, rzekła z minką drwiącej stanowczości, jaką przybierają kobiety kiedy chcą wyszydzić jakiś skrupuł aby go tem lepiej rozprószyć.

Eugeniusz zanadto uroczyście wszedł dziś w siebie w ciągu tego dnia, uwięzienie zaś Vautrina, ukazując mu głębię otchłani w jaką omal się nie stoczył, zanadto wzmocniło jego szlachetne uczucia i skrupulatność, aby miał ustąpić temu pieszczotliwemu pognębieniu jego szlachetnych pojęć. Owładnął nim głęboki smutek.

— Jakto! rzekła pani de Nucingen, miałżebyś odmówić? Czy wiesz, co znaczy podobna odmowa? Wątpisz o przyszłości, nie śmiesz się wiązać ze mną. Lękasz się zatem, iż zdradzisz moje uczucie? Jeżeli ty mnie kochasz, jeżeli ja... kocham ciebie, dlaczego wzdragasz się przed tak błahem zobowiązaniem? Gdybyś wiedział, jaką mi przyjemność sprawiło zajmować się całem tem kawalerskiem mieszkankiem, nie wahałbyś się i prosiłbyś mnie o przebaczenie. Miałam twoje pieniądze i dobrze ich użyłam, oto wszystko. Mniemasz, że jesteś wielki, a jesteś mały. Żądasz o wiele więcej... (Och, rzekła pochwytując namiętne spojrzenie Eugeniusza) a drożysz się o głupstwo. Jeżeli mnie nie kochasz, och, tak! w takim razie nie

przyjmuj. Los mój spoczywa w jednem słowie. Mów!

— Ależ, ojcze, przemów ty mu do rozsądku, dodała, zwracając się po pauzie, do ojca. Czy on mniema, że ja jestem mniej odeń drażliwa na punkcie naszego honoru?

Twarz ojca Goriot przybrała nieruchomy uśmiech zachwytu, podczas gdy patrzał na nich, gdy słuchał tej ładnej sprzeczki.

— Dzieciaku! jesteś na wstępie do życia, ciągnęła ujmując rękę Eugeniusza, spotykasz zaporę nie do przebycia dla wielu ludzi, ręka kobiety otwiera ci ją i ty się cofasz? Ależ ty się wybijesz, czeka cię wspaniała przyszłość, powodzenie wypisane jest na twojem pięknem czole. Czy nie będziesz mógł mi oddać wówczas tego, czego ci pożyczam dzisiaj? Czyż niegdyś damy nie dawały swoim rycerzom zbroi, mieczów, kasków, drucianej koszulki, koni, iżby mogli potykać się w ich imię na turniejach? Otóż, Eugeniuszu, to co ja ci ofiaruję, to broń naszej epoki, narzędzia niezbędne komuś, kto chce być czemś w świecie. Ładne jest to poddasze na którem mieszkasz, jeżeli podobne do pokoju papy! No, nie będziemy jedli dziś obiadu? Chcesz mnie zmartwić? odpowiadajże? rzekła potrząsając go za rękę. — Mój Boże, ojczulku, przekonaj go, albo wychodzę stąd i nie wrócę nigdy.

— Ja cię namówię, rzekł ojciec Goriot, wychodząc ze swego zachwycenia. Mój drogi panie Eugeniuszu, będziesz pożyczał pieniądze od lichwiarzy, nieprawdaż?

— Niema innej rady, odparł.

— Dobrze, mam cię zatem, podjął stary, wydo-

bywając z kieszeni lichy i zniszczony pugilares. Ja przedzierżgnąłem się w lichwiarza, zapłaciłem wszystkie rachunki, oto są. Nie jesteś winien ani grosza za wszystko co się tu znajduje. To nie jest wielka suma, najwyżej pięć tysięcy franków. Pożyczam ci je, słyszysz! Podpiszesz rewers na jakimś świstku i zwrócisz mi kiedyś później.

Łzy zakręciły się w oczach Eugeniusza i Delfiny, którzy popatrzyli po sobie ze zdumieniem. Rastignac podał staremu rękę i uścisnął ją.

— No i cóż! czyż nie jesteście mojemi dziećmi? rzekł Goriot.

— Ależ, mój biedny ojcze, rzekła pani de Nucingen, jakim cudem zdołałeś to uczynić?

— A ba! odparł. Kiedym cię nakłonił abyś go pomieściła blizko siebie, i kiedym widział jak meblujesz mieszkanko niby dla panny młodej, pomyślałem sobie: »Napyta się jeszcze kłopotów!« Adwokat twierdzi, że proces, jaki mamy wytoczyć mężowi aby go zmusić do oddania ci majątku, potrwa więcej niż pół roku. Dobrze. Otóż, sprzedałem twoje tysiąc trzysta pięćdziesiąt franków renty wieczystej; zapewniłem sobie, deponując piętnaście tysięcy franków, tysiąc dwieście franków renty dożywotniej, na pewnej hipotece, a resztą kapitału zapłaciłem wasze rachunki, moje dzieci. Mam tu na górze pokoik za pięćdziesiąt talarów rocznie, mogę żyć jak książę za czterdzieści su dziennie i jeszcze mi zostanie. Nie zużywam nic, nie potrzeba mi prawie ubrania. Oto od dwóch tygodni śmieję się w duchu, mówiąc sobie: »Ależ będą szczęśliwi!« I cóż, nie jesteście szczęśliwi?

— Och, tatku, tatku! rzekła pani de Nucingen, skacząc na szyję ojcu, który ją wziął na kolana.

Okryła go pocałunkami, pieściła mu policzki blond włosami i wylewała łzy na tę starą twarz, rozpromienioną, błyszczącą.

— Ojcze drogi, ty jesteś ojcem! Nie, niema dwóch takich ojców jak ty pod słońcem! Eugeniusz już cię bardzo kochał, cóż będzie teraz dopiero!

— Ależ, moje dzieci, rzekł ojciec Goriot, który, od dziesięciu lat, nie czuł serca córki bijącego na swojem, ależ Delfinko, chcesz tedy przyprawić mnie o śmierć z radości! Moje biedne serce pęknie chyba. Widzisz, panie Eugeniuszu, jużeśmy się skwitowali.

I starzec tulił córkę uściskiem tak dzikim, tak nieprzytomnym, iż rzekła:

— Och! ojcze, boli.

— Ból ci sprawiłem! rzekł blednąc.

Spojrzał na nią z wyrazem nadludzkiej boleści. Aby dobrze oddać twarz tego Chrystusa ojcostwa, trzebaby szukać porównań w obrazach, jakie mistrze pendzla wymyślili aby odmalować mękę cierpianą dla dobra świata przez Zbawiciela. Goriot ucałował bardzo delikatnie kibić, którą palce jego zanadto uścisnęły.

— Nie, nie, nie sprawiłem ci bólu? podjął zapytując ją uśmiechem; to ty sprawiłaś mi ból swoim wykrzyknikiem. To drożej kosztuje, rzekł do ucha córki całując ją ostrożnie, ale trzeba go było zażyć z mańki, inaczej pogniewałby się.

Eugeniusz osłupiał na widok niewyczerpanego

poświęcenia tego człowieka i patrzał nań z wyrazem naiwnego podziwu.

— Stanę się godnym tego wszystkiego, wykrzyknął.

— O, mój Eugeniuszu, to piękne co powiedziałeś w tej chwili.

I pani de Nucingen ucałowała studenta w czoło.

— Wyrzekł się dla ciebie panny Taillefer i jej milionów, rzekł ojciec Goriot. Tak, ona cię kochała, ta dziewczyna; obecnie zaś, po śmierci brata, bogata jest jak Krezus.

— Och, pocóż mówić...? wykrzyknął Eugeniusz.

— Eugeniuszu, rzekła mu Delfina do ucha, to mi zasępiło dzisiejszy wieczór. Och! ja cię będę bardzo kochała! i na zawsze.

— Oto najpiękniejszy dzień jaki miałem od czasu waszego zamęźcia! wykrzyknął ojciec Goriot. Dobry Bóg może mi zesłać tyle cierpień ile mu się podoba — byleby nie przez was — zawsze sobie powiem: »W lutym tego roku, byłem przez jedną chwilę bardziej szczęśliwy niż ludzie potrafią być przez całe życie«. — Popatrz na mnie, Delfinko, rzekł do córki.— Ładna, nieprawdaż? Powiedz mi pan, czy dużo spotkałeś kobiet, któreby miały takie piękne kolory i ten jej mały dołeczek? Nie, prawda? I to ja jestem twórcą tej cudnej kobiety. Obecnie, kiedy będzie szczęśliwą przez ciebie, jeszcze zrobi się tysiąc razy ładniejsza. Mogę iść do piekła, mój sąsiedzie, rzekł, jeżeli ci potrzeba mojego miejsca w raju, odstępuję ci je. Jedzmy, jedzmy, dodał nie wiedząc już co mówi, wszystko to jest nasze.

— Poczciwy ojczulek!

— Gdybyś wiedziała, moje dziecko, rzekł wstając i podchodząc ku niej, ujmując ją za głowę i całując w rozdział włosów, jak ty mnie możesz uczynić szczęśliwym i jak tanim kosztem! zachodź niekiedy do mnie, ja będę tam na górze, będziesz miała tylko dwa kroki. Przyrzeknij mi, dobrze?

— Dobrze, ojczulku.

— Powiedz jeszcze raz.

— Tak, dobry mój ojczulku.

— Cicho już, kazałbym ci powtarzać sto razy, gdybym słuchał swojej ochoty.

Cały wieczór upłynął na takich dziecińswach, przyczem ojciec Goriot nie ustępował w szaleństwie młodym. Kładł się u nóg córki aby je całować; ocierał się głową o jej suknię; słowem, czynił szaleństwa takie, jakichby się dopuszczał najbardziej młody i czuły kochanek.

— Widzisz, rzekła Delfina do Eugeniusza, kiedy ojciec jest przy nas, trzeba wyłącznie się jemu poświęcać. To będzie niekiedy bardzo krępujące.

Eugeniusz, który już niejeden raz doznał uczucia zazdrości, nie mógł wziąść za złe kochance tych słów, w których mieścił się pierwiastek wszelkiej niewdzięczności.

— A kiedy będzie mieszkanie gotowe? rzekł Eugeniusz rozglądając się po pokoju. Trzeba będzie tedy rozstać się dziś wieczór?

— Tak, ale jutro, będzie pan u mnie na obiedzie, rzekła z przebiegłą minką. Jutro jest dzień *Włochów*.

— Pójdę na parter, rzekł ojciec Goriot.

Była północ. Powóz pani de Nucingen czekał. Ojciec Goriot i student wrócili do pensyonatu, rozmawiając o Delfinie z rosnącym zapałem. Ciekawym był kontrast wyrazów tych dwóch gwałtownych namiętności. Eugeniusz nie mógł zataić przed sobą, iż miłość ojca, niesplamiona żadnym osobistym interesem, miażdży jego uczucie wytrwałością i ogromem. Dla ojca, bóstwo było zawsze czyste i piękne, a uwielbienie jego potęgowało się całą przeszłością i przyszłością. Zastali panią Vauquer pod piecem, samą, w towarzystwie Sylwii i Krzysztofa. Stara gospodyni siedziała niby Maryusz na gruzach Kartaginy. Oczekiwała dwóch jedynych pensyonarzy jacy jej pozostali, rozpływając się w lamentach wraz z Sylwią. Mimo iż piękne są lamentacye jakie lord Byron włożył w usta Tassa, dalekie są one od głębokiej prawdy skarg jakie wydzierały się pani Vauquer.

— Na jutro rano tedy pozostają już tylko trzy filiżanki kawy, Sylwio. Cały dom opustoszały: czyż to nie może serce pęknąć? Czem jest życie bez moich pensyonarzy? Niczem. Dom wyludniony z mieszkańców, to niby pokój bez sprzętów. Cóżem ja uczyniła niebu, aby ściągnąć na siebie takie klęski? Zapas fasoli i kartofli obliczony na dwadzieścia osób. Policya u mnie! Będziemy tedy żyli samymi kartoflami! Trzeba mi będzie odprawić Krzysztofa!

Sabaudczyk, który drzemał, obudził się nagle i rzekł:

— Pani coś mówiła?

— Poczciwy chłopiec! wierne to na kształt doga, rzekła Sylwia.

— Martwy sezon, każdy już ma pomieszkanie. Gdzie ja znajdę lokatorów? A ta wiedźma Michonneau zagarnia mi jeszcze Poireta! Co ona z nim robiła, aby tak przywiązać do siebie tego człowieka? Drepce za nią jak piesek.

— Hoho! rzekła Sylwia potrząsając głową, te stare pannice to znają się na interesie.

— A ten biedny p. Vautrin, którego zrobili galernikiem, podjęła wdowa, czy wiesz Sylwio, niech mi kto mówi co chce, ja nie mogę jeszcze w to uwierzyć. Człowiek wesoły jak szczygieł, który wypijał likieru za piętnaście franków na miesiąc i płacił akuratnie jak zegarek!

— A i na piwo wyrzucił jak się patrzy! rzekł Krzysztof.

— To jakaś pomyłka, rzekła Sylwia.

— Ale nie, sam się przyznał, podjęła pani Vauquer. I powiedzieć, że wszystkie te rzeczy zdarzyły się u mnie, w dzielnicy gdzie nie zabłąka się ani pies z kulawą nogą! Słowo uczciwej kobiety, ja chyba śnię. Bo to, widzisz, patrzyliśmy na Ludwika XVI i jego nieszczęście, widzieliśmy upadek cesarza, wszystko to, to było w zakresie rzeczy możliwych. Ale pensyonat, taki jak mój, to zupełnie co innego: można się obejść bez króla, ale musi się codzień jeść obiad; i, kiedy uczciwa kobieta, z domu de Conflans, daje smaczno, na świeżem maśle, to, o ile nie ma przyjść koniec świata... Ale to wszystko, to istotnie koniec świata.

— I pomyśleć, że panna Michonneau, która na-

raziła panią na te straty, ma dostać, wedle tego co mówią, tysiąc talarów rocznej renty, wykrzyknęła Sylwia.

— Nie mów mi o tej zbrodniarce! rzekła pani Vauquer. I jeszcze, na dobitkę, przenosi się do Buneaudowej! Ale ona jest zdolna do wszystkiego, musi mieć ładne rzeczy na sumieniu: ręczę że, w swoim czasie, kradła i zabijała. Ona powinnaby iść na galery zamiast tego biednego, zacnego człowieka...

W tej chwili, zadzwonił Eugeniusz i ojciec Goriot.

— Och, oto moi dwaj wierni, rzekła wdowa z westchnieniem.

Dwaj wierni, którzy zachowali bardzo lekkie wspomnienie katastrof zacnego pensyonatu, oznajmili bez ceremonii gospodyni, że się przenoszą na Chaussée d'Antin.

— Ach! Sylwio, rzekła wdowa, to mój ostatni atut. — Zadaliście mi śmiertelny cios, panowie! aż mnie ścisnęło w *żondołku.* Czuję tu niby kłodę. Dzisiejszy dzień zwalił mi dziesięć lat na głowę. Oszaleję, słowo honoru! Co zrobić z fasolą? — Dobrze tedy, skoro zostaję tu sama, możesz od jutra szukać miejsca, Krzysztofie. — Żegnam panów, dobrej nocy.

— Co jej się stało? spytał Eugeniusz Sylwii.

— Ano cóż, wszyscy się wynieśli skroś tych breweryi. To jej zmąciło w głowie. O, o, słyszy pan jak płacze. Dobrze jej to zrobi wybeczeć się trochę. Od czasu jak jestem w służbie, jeszcze ani razu nie popuściła sobie ślużów.

Nazajutrz, pani Vauquer wzięła się, wedle swego wyrażenia, w kupę. Była wprawdzie strapiona, jak

godzi się osobie która postradała wszystkich pensyonarzy i której życie uległo wstrząśnieniu, ale opamiętała się zupełnie, i okazała co to jest prawdziwa boleść, boleść głęboka, boleść spowodowana poszkodowaniem w interesach i obaleniem przyzwyczajeń. To pewna, iż spojrzenie jakiem kochanek obejmuje miejsce zamieszkałe przez ukochaną, kiedy mu przychodzi je opuścić, nie jest bardziej brzemienne smutkiem, niż wzrok jakim ogarniała pani Vauquer próżny stół. Eugeniusz pocieszył ją, mówiąc iż Bianchon, którego internat kończy się za kilka dni, zajmie z pewnością jego miejsce; że urzędnik Muzeum nieraz objawiał chętkę na mieszkanie pani Couture, i że, w niedługim czasie, uzupełni z powrotem swój personal.

— Oby Bóg pana wysłuchał, drogi panie! ale nieszczęście spadło na mój dom. Nim upłynie dziesięć dni, śmierć wejdzie tutaj, zobaczy pan, rzekła obejmując posępnem spojrzeniem jadalnię. Kogo zagarnie?

— Miło będzie wynieść się stąd, rzekł pocichu Eugeniusz do ojca Goriot.

— Proszę pani, rzekła Sylwia wbiegając przerażona, już od trzech dni nie widziałam Mistigrisa.

— Och, och, jeżeli kot mój zginął, jeżeli nas opuścił, w takim razie...

Biedna wdowa nie dokończyła, złożyła ręce i upadła na fotel powalona tą straszliwą wróżbą.

Około południa, w porze kiedy listonosze zjawiają się w dzielnicy Panteonu, Eugeniusz otrzymał list wykwintnie złożony, zapieczętowany herbem Beauséantów. Zawierał zaproszenie dla obojga państwa de Nucingen na zapowiadany od miesiąca wielki bal, który

miał odbyć się u wicehrabiny. Do zaproszenia dołączone było to słówko do Eugeniusza:

»Pomyślałam, drogi kuzynie, że z przyjemnością podejmiesz się być tłómaczem mych uczuć u pani de Nucingen; przesyłam ci zaproszenie, o które mnie prosiłeś: będzie mi bardzo miło poznać siostrę pani de Restaud. Przyprowadź tedy do mnie tę śliczną osobę, ale uważaj abyś jej nie oddał całego swego serca: winien mi go jesteś wiele, w zamian za przyjaźń jaką mam dla ciebie«.

Wicehrabina de Beauséant.

— Ależ, rzekł sobie Eugeniusz odczytując powtórnie bilecik, pani de Beauséant mówi mi dość jasno, że nie życzy sobie pana de Nucingen!

Pospieszył do Delfiny, szczęśliwy iż może jej dostarczyć uciechy, za którą spodziewał się niezawodnej nagrody. Pani de Nucingen była w kąpieli. Rastignac czekał w buduarze, wydany na pastwę niecierpliwości, naturalnej u młodego człowieka mającego gorącą krew w żyłach i czekającego wreszcie chwili w której posiądzie ukochaną, przedmiot całorocznych pragnień. Są to wzruszenia, które nie powtarzają się dwa razy w życiu młodych ludzi. Pierwsza kobieta, *naprawdę kobieta* do której przywiąże się mężczyzna, to znaczy ta która mu się ukaże w całym blasku akcesoryów wymaganych przez atmosferę Paryża, nie będzie miała nigdy rywalki. Miłość w Paryżu nie jest podobna do żadnej innej miłości. Ani mężczyźni ani kobiety nie dadzą się tu złapać na te przystrojone komunałami wystawy, w jakie każdy stroi dla przyzwoitości swoje niby-bezinteresowne uczucia. W tej krainie, kobieta

powinna zaspokoić nietylko serce i zmysły; wie ona doskonale, że ma do spełnienia większe zobowiązania, wynikłe z tysiącznych próżności z jakich się składa życie. Miłość jest tu nawskroś pyszałkowata, bezwstydna, marnotrawna, szarlatańska i próżna. Skoro wszystkie panie na dworze Ludwika XIV zazdrościły pannie de la Vallière porywu namiętności, który kazał zapomnieć temu wielkiemu monarsze, iż mankiety jego kosztują każdy po tysiąc talarów, wówczas kiedy je podarł aby ułatwić księciu de Vermandois wejście na scenę świata, czegóż można żądać od reszty ludzkości? Miejcie młodość, bogactwo i tytuł, miejcie więcej jeszcze jeżeli możecie; im więcej przyniesiecie ziarn kadzidła aby je spalić przed swojem bóstwem, tem bardziej będzie wam ono łaskawe, o ile wogóle macie bóstwo. Miłość jest religią, a jej kult musi kosztować drożej niż w jakiejkolwiek innej religii; przechodzi ona szybko, i przechodzi jak ulicznik, który rad jest znaczyć swoje przejście spustoszeniem. Zbytek uczucia jest poezyą poddasza: bez niego w cóżby się tam obróciła miłość? Jeżeli istnieją wyjątki od tych okrutnych praw paryzkiego kodeksu, spotyka się je gdzieś na uboczu, wśród dusz które nie dały się wciągnąć wirowi społeczeństwa, które żyją blizko jakiegoś źródła o wodach jasnych, umykających ale sączących się bezustanku; którzy, wierni zielonym cieniom swej ustroni, szczęśliwi iż mogą słuchać wymowy nieskończoności, wypisanej dla nich w każdej rzeczy i czerpanej w samym sobie, czekają cierpliwie aż im wyrosną skrzydła, ubolewając nad tymi co są przykuci do ziemi. Ale Rastignac, podobny większości młodych

ludzi, którzy, w wyobraźni, zakosztowali przepychów świata, chciał wstąpić w szranki w pełnem uzbrojeniu. Zaraził się gorączką świata, być może, czuł w sobie siłę panowania nad nim, ale bez znajomości środków i celu tej ambicyi. W braku czystej i świętej miłości która wypełnia życie, ten głód potęgi może się stać piękną rzeczą; wystarczy wyzuć się z wszelkiego osobistego interesu i założyć sobie za cel wielkość kraju. Ale student nie doszedł jeszcze do punktu, w którym człowiek mocen jest ogarnąć bieg życia i osądzić go. Aż dotąd, nie strząsnął w zupełności uroku świeżych i powabnych pojęć, które otulają niby liśćmi młodość dzieci wychowanych na prowincyi. Zawsze jeszcze wahał się z przekroczeniem paryzkiego Rubikonu. Mimo palącej ciekawości, zachował zawsze wspomnienia szczęśliwego życia, jakie wiedzie prawdziwy szlachcic w swoim zameczku. Jednakże, ostatnie jego skrupuły znikły poprzedniego dnia, w chwili kiedy się ujrzał w swojem mieszkanku. Zaczynając korzystać z materyalnych przewag majątku, tak jak oddawna korzystał z przewag moralnych jakie daje urodzenie, zrzucił skórę mieszkańca prowincyi i oswoił się nieznacznie z pozycyą odsłaniającą horyzonty pięknej przyszłości. Toteż, czekając na Delfinę, miękko rozparty w tym ładnym buduarze który stawał się potrosze jego własnym, czuł się tak daleko od Rastignaca z zeszłego roku, iż, przyglądając się sobie wewnętrznem okiem duszy, zapytywał sam siebie, czy jest jeszcze w czemkolwiek podobny do swego sobowtóra.

— Pani baronowa jest w swoim pokoju, oznajmiła Teresa, której głos przejął go dreszczem.

Zastał Delfinę wyciągniętą na kozetce, naprzeciw ogniu, świeżą, wypoczętą. Widząc tę postać tonącą w falach muślinu, niepodobna było nie porównać jej do owych pięknych roślin Indyjskich, których owoc rodzi się w kwiecie.

— A, jest pan nareszcie, rzekła wzruszona.

— Niech pani zgadnie co przynoszę, rzekł Eugeniusz siadając obok i ujmując ramię Delfiny aby ucałować jej rękę.

Czytając zaproszenie, pani de Nucingen uczyniła gest radości. Obróciła na Eugeniusza wilgotne oczy i zarzuciła mu ramiona na szyję aby go przyciągnąć do siebie w upojeniu zadowolonej próżności.

— I to panu (*tobie*, rzekła do ucha; ale Teresa jest w gotowalni, bądźmy ostrożni!), panu winna jestem to szczęście? Tak, śmiem to nazwać szczęściem. Uzyskane przez ciebie, czyż nie staje się czemś więcej niż tryumfem miłości własnej? Nikt nie chciał mnie wprowadzić do tego świata. Wydam ci się może w tej chwili małą, próżną, lekką jak Paryżanką; ale pomyśl, drogi mój, że ja jestem gotowa wszystko poświęcić tobie, i że, jeżeli bardziej gorąco niż kiedykolwiek pragnę bywać w dzielnicy Saint-Germain, to dlatego że ty tam żyjesz.

— Czy pani nie znajduje, rzekł Eugeniusz, że pani de Beauséant powiada nam dość wyraźnie, że nie spodziewa się ujrzeć na balu barona de Nucingen?

— Ależ tak, rzekła baronowa, oddając Eugeniuszowi list. Te kobiety mają geniusz impertynencyi. Ale mniejsza, pójdę. Siostra ma być również, wiem że

przygotowuje cudowną tualetę. Eugeniuszu, rzekla zciszonym głosem, Anastazya idzie na ten bal aby rozprószyć okropne posądzenia. Nie wiesz, jakie pogłoski o niej krążą! Nucingen wspomniał mi dziś rano, że wczoraj mówiono o tem w klubie bez żadnej ceremonii. Od czegóż zależy, mój Boże, honor kobiety, rodziny! Odczułam sprawę siostry niby osobistą ranę i zniewagę. Wedle tego co mówią, p. de Trailles podpisał na sto tysięcy franków weksli; termin ich przeważnie już zapadł, ścigano go. W tej ostateczności, siostra miała sprzedać żydowi rodowe djamenty, te piękne djamenty które musiałeś u niej widzieć: dar matki jej męża. Słowem, od dwóch dni, tylko o tem wszędzie mówią. Rozumiem tedy, iż Anastazya każe sobie robić suknię z lamy, i chce ściągnąć na siebie wszystkie spojrzenia, ukazując się w całym blasku i w swoich djamentach. Ale ja nie chcę być gorsza od niej. Zawsze starała się mnie zmiażdżyć, nigdy nie była dobra dla mnie, która jej oddawałam tyle usług, która miałam zawsze pieniądze dla niej kiedy była w potrzebie... Ale zostawmy świat, dzisiaj chcę być szczęśliwa...

O pierwszej w południe, Rastignac był jeszcze u pani de Nucingen, która, przedłużając pożegnanie, to pożegnanie kochanków tak pełne przyszłych rozkoszy, rzekła z wyrazem melancholii:

— Jestem tak lękliwa, tak przesądna, nazwij wreszcie moje przeczucia jak ci się podoba, iż lękam się opłacić szczęście jakąś straszną katastrofą.

— Dzieciaku! rzekł Eugeniusz.

— A! to ja jestem dzieciakiem dzisiaj, rzekła śmiejąc się.

Eugeniusz wrócił do pensyonatu pani Vauquer z tą pewnością iż opuści go jutro; w drodze, oddał się cały owym słodkim marzeniom, jakie snują wszyscy młodzi ludzie kiedy mają jeszcze na ustach smak szczęścia.

— I cóż? rzekł ojciec Goriot, kiedy Rastignac przechodził koło drzwi pokoju.

— Wszystko dobrze, odparł Eugeniusz, powiem panu jutro.

— Wszystko, nieprawdaż? krzyknął stary. Połóż się spać. Jutro zacznie się dla nas szczęśliwe życie.

Nazajutrz, Goriot i Rastignac oczekiwali już tylko dobrej woli jakiegoś tragarza aby opuścić pensyonat, kiedy, około południa, turkot ekwipażu, który zatrzymał się wreszcie przed bramą pani Vauquer, rozległ się na ulicy. Z powozu wysiadła pani de Nucingen, która spytała czy ojciec jest jeszcze w domu. Otrzymawszy twierdzącą odpowiedź Sylwii, wbiegła lekko na schody. Eugeniusz znajdował się u siebie, mimo wiedzy sąsiada. Przy śniadaniu, prosił ojca Goriot aby zabrał jego rzeczy, oświadczając iż spotkają się około czwartej przy ulicy d'Artois. Ale, podczas kiedy stary poszedł szukać tragarzy, Eugeniusz, odpowiedziawszy szybko na apel na wykładzie, wrócił, niepostrzeżony przez nikogo, aby się policzyć z panią Vauquer, nie chcąc zostawić tego zadania Goriotowi, który, w swojem zacietrzewieniu, byłby z pewnością zapłacił za niego. Gospodyni wyszła. Eugeniusz wstąpił do siebie, aby się przekonać czy niczego nie zapomniał; jakoż, nie pożałował swojej przezorności, znajdując w szufladzie stolika akcept *in blanco* wystawiony Vautrinowi,

i porzucony niedbale w biurku po wykupnie. Ponieważ na kominku nie było ognia, chciał podrzeć weksel na drobne kawałki, kiedy usłyszał głos Delfiny. Eugeniusz, nie dając znaku życia, pozostał w pokoju aby usłyszeć rozmowę, sądząc iż kochanka nie powinna mieć dlań żadnej tajemnicy. Następnie, od pierwszych słów, rozmowa między ojcem a córką obudziła w nim zbyt żywe zajęcie aby się mógł powstrzymać od słuchania.

— Ach, ojcze, rzekła Delfina, dałożby niebo iżbyś wpadł na myśl upomnienia się o mój majątek dość wcześnie aby mnie uchronić od ruiny! Czy mogę mówić?

— Tak, nikogo niema w całym domu, rzekł Goriot zmienionym głosem.

— Co tobie, ojcze? spytała pani de Nucingen.

— Uderzyłaś mnie jak obuchem w głowę, odparł starzec. Niech ci Bóg przebaczy, dziecko! Nie wiesz, jak bardzo cię kocham; gdybyś wiedziała, nie mówiłabyś mi tak bez przygotowania podobnych rzeczy, zwłaszcza jeżeli jeszcze nic nie jest stracone. Cóż zaszło tak naglącego, iż przyjechałaś do mnie aż tutaj, podczas kiedy za parę chwil mieliśmy być przy ulicy d'Artois?

— Ach, ojcze, czyliż w chwili katastrofy panuje się nad pierwszym odruchem? Jestem jak oszalała! Adwokat twój odsłonił nam nieco wcześniej nieszczęście, które bezwątpienia wybuchnie lada chwila. Twoje długoletnie doświadczenie handlowe będzie nam potrzebne, przybiegłam do ciebie tak jak człowiek tonący czepia się gałęzi. Skoro p. Derville spostrzegł, iż

Nucingen zastawia się tysiącem szykan, zagroził mu procesem, oznajmiając iż rychło zdoła uzyskać upra-wnienie prezydenta trybunału. Nucingen przyszedł do mnie dziś rano, zapytując czy chcę jego i siebie przywieść do ruiny. Odpowiedziałam, że nie rozumiem się na tem zupełnie, że miałam majątek, że powinnam być w posiadaniu tego majątku, że, ze wszystkiem co dotyczy tego sporu, zdałam się na mego adwokata, że wreszcie nic więcej nie wiem i nic nie mogę postanawiać w tej mierze. Czy nie tak zaleciłeś mi odpowiedzieć?

— Tak, dobrze, odparł Goriot.

— Otóż, ciągnęła Delfina, Nucingen przedstawił mi stan interesów. Rzucił wszystkie swoje i moje kapitały w przedsiębiorstwa ledwo rozpoczęte, w które trzeba było włożyć wielkie sumy. Gdybym go zmusiła do wyrachowania się z posagu, byłby zniewolony zgłosić upadłość; podczas gdy, jeżeli zechcę zaczekać rok, zobowiązuje się honorem zwrócić mi mój majątek pomnożony w dwójnasób albo w trójnasób, umieszczając moje kapitały w operacyach terytoryalnych z których ukończeniem zostanę panią znacznych dóbr ziemskich. Ojcze, on był szczery w tej chwili, przeraził mnie. Prosił, abym mu przebaczyła jego postąpienie, wrócił mi zupełną swobodę, pozwolił urządzić sobie życie jak zechcę, pod warunkiem abym mu zostawiła prawo prowadzenia interesów w mojem imieniu. Aby mi dowieść swojej dobrej wiary, przyrzekł mi wzywać Derville'a za każdym razem kiedy tego zażądam, dla ocenienia, czy akty, mocą których uskutecznia się jakieś kupno, są prawidłowo zredagowane.

Słowem, zdał się zupełnie na moją łaskę i niełaskę. Prosił, abym mu, przez dwa lata jeszcze, zostawiła kierunek domu; błagał, abym nic nie wydawała na siebie ponad to co mi przeznaczył. Wykazał, że zaledwie jest w stanie zachować pozory: odprawił swoją tancerkę; będzie zmuszony do najbardziej ścisłej ale tajemnej oszczędności aby dobić do terminu swoich spekulacyj nie narażając kredytu. Obeszłam się z nim jak najgorzej, wszystko podawałam w wątpliwość aby go doprowadzić do ostateczności i dowiedzieć się jeszcze więcej: pokazał mi swoje księgi, płakał, wreszcie. Nie widziałam nigdy człowieka w podobnym stanie. Zupełnie głowę stracił, mówił o samobójstwie, bredził. Żal mi go było.

— I ty wierzysz w te ambaje?... wykrzyknął ojciec Goriot. To komedyant! Miałem ja do czynienia z Niemcami: są to prawie wszystko ludzie uczciwi i prostoduszni; ale, kiedy, pod swą miną szczerości i dobroduszności, puszczą się na szacherki i cygaństwa, wówczas zakasują wszystkich innych. Twój mąż cię zwodzi. Czuje, że go przyciskamy do muru: przytaja się, i chce, pod twojem imieniem, zachować większą swobodę działania niżby miał pod swojem własnem. Chce skorzystać z tej okoliczności, aby się ubezpieczyć od ryzyka swoich macherstw. Jest równie chytry jak przewrotny: to licha figura. Nie, nie, nie dam się wynieść na cmentarz, zostawiając córki wyzute ze wszystkiego. Znam się jeszcze trochę na interesach. Powiada, że rzucił kapitały w przedsiębiorstwa; więc dobrze, zatem te interesy muszą mieć oparcie w jakichś walorach, kwitach, umowach! niech je pokaże,

i niech się z tobą rozliczy. Wybierzemy najlepsze spekulacye, weźmiemy je na swoje ryzyko, i będziemy mieli dokumenty uwierzytelnione na imię *Delfiny Goriot, małżonki barona de Nucingen, znajdującej się z nim w separacyi majątkowej.* Czy on nas bierze za głupców, ten niepoń? Czy sądzi, że ja zdołam ścierpieć przez dwa lata myśl, iż mogę cię zostawić bez majątku, bez chleba? Nie zniósłbym tego ani przez dzień, ani przez jedną noc, ani dwie godziny! Gdyby ta myśl była prawdą, nie przeżyłbym jej. Jakto! miałbym pracować przez czterdzieści lat życia, nosić worki na grzbiecie, pocić się od trudu, miałbym wszystkiego sobie odmawiać przez całe życie dla was, moje anioły, dla których wszelka praca, wszelki ciężar były mi lekkie, i dzisiaj, majątek mój, życie, miałyby iść z dymem! Oszalałbym przed śmiercią. Nie, na wszystko co jest świętego na niebie i ziemi, wyjaśnimy tę sprawę, sprawdzimy księgi, kasę, przedsiębiorstwa! Nie zasnę, nie położę się, nie wezmę nic do ust, póki nie zyskam pewności, że majątek twój jest nietknięty. Bogu dzięki, jesteś separowana majątkowo; Derville, twój adwokat, jest, na szczęście, uczciwym człowiekiem. Do kroćset! będziesz miała swój milionik, swoje pięćdziesiąt tysięcy franków renty do końca życia, albo też narobię hałasu w Paryżu, haha! Do Izb się udam, jeżeli trybunały będą kręcić. Ta myśl, że jesteś spokojna i szczęśliwa pod względem majątkowym, toż ta myśl łagodziła wszystkie moje bóle, koiła zgryzoty. Pieniądz to życie, pieniądz może wszystko. Co on tam baje za brednie, ten bałwan alzacki? Delfino, nie ustępuj ani pół szeląga temu bydlakowi, który cię

przykuł do łańcucha i uczynił nieszczęśliwą. Jeżeli potrzebuje twojej zgody, weźmiemy się do niego ostro, nauczymy go moresu! Mój Boże, głowę mam w ogniu, czuję że coś mnie pali, tu, pod czaszką. Delfinka w nędzy! Och, moja Fifinko, ty! Do krocset, gdzie moje rękawiczki? Dalej, chodźmy, chcę wszystko przepatrzyć, księgi, interesy, kasę, korespondencyę, natychmiast. Nie uspokoję się, dopóki nie zyskam pewności że twój fundusz jest bezpieczny i nie ujrzę go na własne oczy.

— Ojcze mój, tylko ostrożnie!... Jeżeli włożysz najmniejszą chętkę zemsty w tę sprawę i okażesz usposobienie zbyt nieprzejednane, jestem zgubiona. On zna ciebie, uważa za zupełnie naturalne iż, z twojej pobudki, zaniepokoiłam się o swój majątek; ale przysięgam ci, on ma mnie w rękach: postarał się o to! To człowiek zdolny uciec ze wszystkimi kapitałami i zostawić nas na bruku: to łotr! Wie dobrze, że nie będę go ścigać, że nie bezcześciłabym nazwiska które noszę. Jest równocześnie i słaby i silny. Rozważyłam dobrze wszystko. Jeżeli go przywiedziemy do ostateczności, jestem zrujnowana.

— Zatem to oszust?

— A więc tak, ojcze, rzekła, rzucając się na krzesło z płaczem. Nie chciałam mówić tego, aby ci oszczędzić zgryzoty iż wydałeś mnie za mąż za człowieka tego gatunku. Sekretne nałogi i sumienie, dusza i ciało, wszystko u niego jest w zgodzie! to straszne: nienawidzę go i gardzę nim. Tak, niepodobna mi już szanować tego podłego Nucingena, po wszystkiem co mi powiedział. Człowiek, zdolny puścić się

na kombinacye handlowe, takie jak te o których mi wspominał, nie ma najmniejszego poczucia uczciwości. Obawy moje płyną stąd, iż jasno przeczytałam w jego duszy. Ofiarował mi zupełnie poprostu, on, mój mąż, swobodę, rozumiesz, ojcze, co to znaczy? jeżeli zgodzę się być, na wypadek katastrofy, narzędziem w jego rękach, słowem, jeżeli zechcę służyć mu za parawan.

— Ale przecież są prawa! Przecież istnieje szafot na zięciów tego rodzaju! wykrzyknął ojciec Goriot: zgilotynowałbym go sam, gdyby nie było kata.

— Nie, ojcze, nie ma praw na niego. Posłuchaj, w dwóch słowach, jego oświadczenia, obłuskanego z omówień w jakie je zawijał: »Albo wszystko jest stracone, wówczas nie masz ani szeląga, jesteś zrujnowana; niesposób mi bowiem wybrać na wspólnika kogo innego niż ciebie; albo też pozwolisz mi doprowadzić do końca moje operacye«. Czy to jasne? Zależy mu jeszcze na mnie. Moja kobieca uczciwość jest dla niego rękojmią; wie, że zostawię mu jego majątek i zadowolnię się moim. Jestto oszukańcza i złodziejska spółka, na którą trzeba mi się zgodzić pod grozą ruiny. Kupuje moje sumienie i opłaca je pozwalając mi w zamian należeć do Eugeniusza. »Pozwalam ci na słabostki, ale ty pozwól mi abym zbrodniczo rujnował biednych ludzi«. Czy to jeszcze nie dość jasne? Czy wiesz, ojcze, co on nazywa *operacyą?* Kupuje grunta pod mojem nazwiskiem, następnie daje na nich budować domy podstawionym figurom. Ci ludzie zawierają umowy na budowle z przedsiębiorcami, których regulują zapomocą długotermino-

wych weksli; następnie, w zamian za skromną sumę, godzą się pokwitować kupno memu mężowi; wówczas on staje się właścicielem domów, ci ludzie zaś załatwiają się z przedsiębiorcami zgłaszając upadłość. Firma domu Nucingen posłużyła na przynętę dla biednych budowniczych. Zrozumiałam to. Zrozumiałam także, iż, aby dowieść, w razie potrzeby, wypłaty olbrzymich sum, Nucingen wysłał znaczne walory do Amsterdamu, do Londynu, do Neapolu, do Wiednia. Jakżebyśmy zdołali je pochwycić?

Eugeniusz usłyszał głuchy łoskot: to ojciec Goriot padł na kolana na podłogę izby.

— Mój Boże, co ja ci uczyniłem! Córka moja wydana na łup tego nędznika! toć on wymoże na niej wszystko co zechce! — Przebacz mi dziecko moje!

— Tak, jeżeli dziś jestem w otchłani, jest w tem może twoja wina. Tak mało mamy rozumu kiedy wychodzimy za mąż! Alboż znamy świat, interesa, ludzi, obyczaje? Rodzice powinniby myśleć za nas. Drogi ojcze, ja ci nic nie wyrzucam, daruj mi to odezwanie. W tym wypadku, całą winę ja ponoszę. No, nie płacz, ojczulku, rzekła całując ojca w czoło.

— Nie płacz i ty, moja mała Delfinko. Daj oczy, niech je osuszę pocałunkiem. Nie bój się! odnajdę ja moją dawną łepetę i rozwikłam ten motek, który twój mąż zaplątał.

— Nie, ojcze, pozwól mnie działać: ja umiem z nim postępować. Kocha mnie: więc dobrze, posłużę się władzą jaką mam nad nim, aby wymusić rychłe umieszczenie części kapitałów w posiadłościach ziemskich. Być może skłonię go aby odkupił, na moje

imię, dobra Nucingen w Alzacyi; zależy mu na tem. Przyjdź tylko jutro, aby zbadać księgi, interesy. P. Derville nie rozumie się nie na stronie handlowej... Nie, nie przychodź jutro. Nie chcę sobie psuć krwi. Pojutrze bal u pani de Beauséant; chcę się szanować, aby być piękną, świeżą, przynieść chlubę memu drogiemu Geniowi!... Chodźmy zobaczyć jego pokój.

W tej chwili, powóz zatrzymał się na ulicy Neuve-Sainte-Geneviève, poczem dał się słyszeć na schodach głos pani de Restaud, zwrócony do Sylwii:

— Czy ojciec w domu?

Ta okoliczność ocaliła szczęśliwie Eugeniusza, który już zamierzał rzucić się na łóżko i udawać że śpi.

— Ach, ojcze! czy słyszałeś już o Anastazyi, rzekła Delfina, poznając głos siostry. Zdaje się, że i w jej domu dzieją się osobliwe rzeczy.

— Co takiego? zapytał ojciec Goriot: toby już był mój koniec. Biedna moja głowa nie przeniosłaby podwójnego nieszczęścia.

— Dzień dobry, ojcze, rzekła hrabina wchodząc. — A, i ty tutaj, Delfino.

Pani de Restaud zdawała się zakłopotana spotkaniem z siostrą.

— Dzień dobry, Naściu, rzekła baronowa. Obecność moja wydaje ci się czemś niezwykłem? Ja widuję ojca codziennie.

— Odkądże?

— Gdybyś zachodziła do niego, wiedziałabyś.

— Nie drażnij się ze mną, Delfino, rzekła hrabina boleściwym głosem. — Jestem bardzo nieszczę-

śliwa, zgubiona jestem, mój dobry ojcze! och, tym razem zgubiona bez ratunku!

— Co tobie, Naściu? wykrzyknął ojciec Goriot. Powiedz nam wszystko, moje dziecko. Jak ona zbladła! — Delfino, dziecko, ratuj ją, bądź dla niej dobra, będę cię kochał jeszcze więcej, jeżeli potrafię!

— Moja biedna Naściu, rzekła Delfina sadzając siostrę, mów. Masz oto przed sobą jedyne dwie osoby, które zawsze będą cię dosyć kochały aby ci przebaczyć wszystko. Widzisz, Naściu, przywiązania rodzinne są najpewniejsze.

Dała jej powąchać sole, hrabina przyszła do siebie.

— Ja to życiem przypłacę! rzekł ojciec Goriot. Słuchajcie, rzekł, poprawiając w piecu grudki torfu, zbliżcie się tu obie. Zimno mi. Co tobie, Naściu? Powiedz prędko, zabijasz mnie...

— Zatem, rzekła biedna kobieta, mąż mój wie o wszystkiem. Wyobraź sobie, ojcze, przypominasz sobie, niedawno temu, ów weksel podpisany przez Maksyma? Otóż, to nie był pierwszy. Zapłaciłam już takich wiele. W początkach stycznia, p. de Trailles wydawał mi się bardzo zatroskany. Nie mówił nic: ale tak łatwo jest czytać w sercu kogoś kogo się kocha: lada błahostka wystarczy, a przytem miewa się przeczucia... słowem, był bardziej rozkochany, bardziej czuły niż kiedykolwiek, byłam coraz szczęśliwsza. Biedny Maksym! w myśli żegnał się już ze mną: przyznał mi się później, że chciał się zastrzelić! Wreszcie, póty go dręczyłam, póty błagałam, dwie godziny włóczyłam się u jego kolan... aż wyznał mi, że winien

jest sto tysięcy franków! Och, ojczulku, sto tysięcy franków! Byłam jak oszalała. Ty ich nie masz, wszystkom pochłonęła...

— Nie, rzekł ojciec Goriot, nie zdołałbym wycisnąć tej sumy, chyba żebym poszedł ukraść. Ale poszedłbym, Naściu! Pójdę.

Na to słowo, rzucone posępnie niby charkot umierającego, słowo, które wyrażało agonię ojcowskiego uczucia doprowadzonego do bezsilności, obie siostry zamilkły. Jakiż egoizm pozostałby zimnym wobec tego krzyku rozpaczy, który, podobny kamieniowi rzuconemu w przepaść, odsłaniał jej głębię?

— Zdobyłam je, rozporządzając tem co nie należało do mnie, rzekła hrabina, zalewając się łzami.

Delfina, wzruszona, zapłakała także, tuląc głowę na łonie siostry.

— Wszystko więc jest prawda! rzekła.

Anastazya spuściła głowę, pani de Nucingen objęła siostrę wpół, ucałowała tkliwie, i, przyciskając ją do serca, rzekła:

— Tutaj zawsze znajdziesz miłość bez sądu.

— Moje anioły, rzekł Goriot słabym głosem, dlaczego serdeczność wasza ma źródło w nieszczęściu?

— Aby ocalić życie Maksyma, aby wreszcie ocalić całe twoje szczęście, podjęła hrabina ośmielona tymi dowodami gorącej i żywej tkliwości, poszłam do lichwiarza, którego znasz, ojcze, człowieka zrodzonego przez piekło, którego nic nie zdoła zmiękczyć, do Gobsecka. Zaniosłam mu rodzinne djamenty, do których tak jest przywiązany p. de Restaud, jego klejnoty, moje, wszystko, i sprzedałam. Sprzedałam! czy

rozumiecie? Ocaliłam jego, ale siebie zabiłam. Mąż dowiedział się o wszystkiem.

— Przez kogo? jak? Niech go zabiję! krzyknął ojciec Goriot.

— Wczoraj, wezwał mnie do swego pokoju. Poszłam... »Anastazyo, rzegł głosem... (och, ten głos wystarczył, wszystko odgadłam), gdzie twoje djamenty? — W moim kantorku. — Nie, odparł, patrząc na mnie, są tu, na komodzie«. I pokazał mi puzdro, które wprzód zakrył chustką. »Czy wiesz, skąd się tu wzięły?« rzekł. Padłam mu do nóg... płakałam, spytałam go jaką śmiercią chce mnie zgładzić...

— Tyś to powiedziała! wykrzyknął ojciec Goriot. Na rany Zbawiciela, ten, kto ośmieli się skrzywdzić jedną z was dopóki ja żyję, może być pewien iż spalę go na wolnym ogniu. Tak, poćwiertuję, jak...

Ojciec Goriot zamilkł, słowa zamierały mu w gardle.

— Wreszcie, moja droga, zażądał czegoś trudniejszego do spełnienia niż śmierć. Niech niebo chroni każdą kobietę od tego co ja usłyszałam!

— Zamorduję tego człowieka, rzekł ojciec Goriot spokojnie. Ale on ma tylko jedno życie, a jest mi winien dwa. Zatem, co? dodał patrząc na Anastazyę.

— Otóż, ciągnęła dalej hrabina, po chwili milczenia popatrzał na mnie: »Anastazyo, rzekł, zagrzebię wszystko w milczeniu, zostaniemy nadal razem, mamy dzieci. Nie zabiję pana de Trailles, mógłbym go chybić; chcąc zaś pozbyć się go w inny sposób, mógłbym wejść w konflikt ze sprawiedliwością. Zabić go w twoich objęciach, znaczyłoby zhańbić dzieci.

Ale, jeżeli chcesz oszczędzić zguby swoim dzieciom, ich ojcu, mnie, nakładam ci dwa warunki. Odpowiedz: Czy które z dzieci jest moje?« Odparłam że tak. »Które, spytał. — Ernest, najstarszy. — Dobrze, rzekł. A teraz, przysięgnij, że będziesz mi posłuszna co do jednego punktu«. Przysięgłam. »Podpiszesz akt sprzedaży swoich dóbr skoro tego zażądam«.

— Nie podpisuj! krzyknął ojciec Goriot, nie podpisuj za nic! Haha! panie de Restaud, nie umiesz uczynić kobiety szczęśliwą, idzie szukać szczęścia tam gdzie je znajduje, i ty ją karzesz za swoje głupie niedołęztwo?... Ja tu jestem, hola! mnie znajdziesz na drodze. — Naściu, bądź spokojna. Aha! zależy mu na swoim dziedzicu! Dobrze, dobrze. Ja mu go sprzątnę, tego synalka, który, do stu kaduków, jest moim wnukiem. Mam prawo przecież widzieć tego smarkacza! Umieszczę go na wsi w mojej rodzinnej wiosce, będę miał o nim staranie. Doprowadzę ja go do kapitulacyi, tego potwora, skoro mu powiem: »Między nami sprawa! Jeżeli chcesz ujrzeć syna, oddasz córce jej majątek i pozwolisz żyć jak się jej podoba«.

— Ojcze!

— Tak: ojcze! Ha! jestem prawdziwym ojcem. Niech ten jasny pan nie waży się znęcać nad memi córkami. Do krocset! nie wiem co za war mam w żyłach. Czuję w sobie krew tygrysa, chciałbym pożreć tych dwóch ludzi. Ależ to moja śmierć... Co z wami się stanie, kiedy mnie już nie będzie? Ojcowie powinni żyć póty co i dzieci. Mój Boże, jak twój świat jest źle urządzony! A wszakżeś ty masz syna, wedle tego co powiadają! Nie powinienbyś nam pozwolić

tak cierpieć w naszych dzieciach. Moje drogie anioły, jakto! jedynie waszym nieszczęściom zawdzięczam to żeście przyszły? Dzielicie się ze mną tylko swemi łzami! Więc dobrze, tak, kochacie mnie, widzę to. Chodźcie, chodźcie wyskarżyć się tutaj! serce moje jest wielkie, wszystko zdoła pomieścić... Tak, darmobyście je szarpały, każdy strzęp jego będzie jeszcze sercem ojca... Ach, kiedy byłyście małe, byłyście bardzo szczęśliwe...

— To był jedyny nasz dobry czas, rzekła Delfina. Gdzie te lata, kiedyśmy zjeżdżały z worków w wielkim spichrzu?

— Ojcze, to nie wszystko, rzekła Anastazya do ucha Goriota który się wzdrygnął. Sprzedaż djamentów nie dała stu tysięcy franków. Maksyma ścigają. Pozostało nam tylko dwanaście tysięcy franków do zapłacenia. Przyrzekł mi, że będzie rozsądny, że przestanie grać. Została mi na świecie już tylko jego miłość: za drogo ją opłaciłam, umarłabym gdybym ją miała stracić. Poświęciłam mu majątek, cześć, spokój, dzieci. Och, spraw bodaj, aby Maksym zachował wolność, szacunek; aby mógł pozostać w świecie, gdzie zdoła sobie zdobyć stanowisko. Obecnie, winien mi jest więcej niż szczęście: mamy dzieci, które pozostałyby bez majątku. Wszystko przepadnie, jeśli dostanie się do więzienia za długi.

— Nie mam, Naściu. Nie mam już nic, nic! To koniec świata. Och, świat się zawali, to pewna. Uciekajcie, ratujcie się! A, mam jeszcze te srebrne sprzączki, sześć nakryć, pierwszych jakie miałem w życiu.

Wreszcie, mam już tylko tysiąc dwieście franków dożywotniej renty.

— Cóżeś uczynił ojcze ze swoją rentą wieczystą?

— Sprzedałem, zachowując sobie tę okruszynkę dochodu na swoje potrzeby. Potrzeba mi było dwunastu tysięcy franków, aby urządzić apartamencik Fifince.

— U ciebie, Delfino? rzekła pani de Restaud do siostry.

— Och, mniejsza, odparł ojciec Goriot: dość, że dwunastu tysięcy franków niema.

— Zgaduję, rzekła hrabina. Dla pana de Rastignac. Och, moja biedna Delfino, zatrzymaj się. Widzisz, do czego ja doszłam.

— Moja droga, p. de Rastignac nie jest człowiekiem zdolnym zrujnować swą kochankę.

— Dziękuję ci, Delfino... W położeniu w jakiem się znajduję, spodziewałam się czegoś innego po tobie; ale ty mnie nigdy nie kochałaś.

— Owszem, kocha cię, Naściu! wykrzyknął ojciec Goriot, mówiła mi przed chwilą. Mówiliśmy o tobie: Delfinka twierdziła, że ty jesteś piękna a ona tylko ładna.

— Ona! rzekła hrabina, ona jest zimna jak glista.

— Gdyby i tak było, rzekła Delfina czerwieniąc się, a ty jak sobie postępowałaś ze mną? Zaparłaś się mnie, zamknęłaś przedemną wszystkie drzwi domów w których pragnęłam bywać, nie ominęłaś najmniejszej sposobności aby mi sprawić przykrość. A ja, czy przychodziłam, tak jak ty, wyciągać biednemu

ojcu, tysiączka po tysiączce, jego mienie i doprowadzić go do stanu w jakim się znajduje? Oto twoje dzieło, siostro. Ja widywałam ojca póki mogłam, nie wyrzuciłam go za drzwi, i nie przychodziłam lizać mu rąk kiedy mi był potrzebny. Nie wiedziałam nawet, że tych dwunastu tysięcy franków użył dla mnie. Ja się umiem rządzić! wiesz o tem. Zresztą, jeżeli ojciec zrobił kiedy co dla mnie, nigdym o nic nie żebrała.

— Byłaś w szczęśliwszem położeniu odemnie: de Marsay był bogaty, wiadomo ci coś o tem. Byłaś zawsze podła jak złoto. Żegnam was, nie mam ani siostry, ani...

— Milcz, Naściu! krzyknął ojciec Goriot.

— Tylko taka siostra jak ty może powtarzać rzeczy w które już nikt nie wierzy, wstrętna jesteś! rzekła Delfina.

— Moje dzieci, moje dzieci, przestańcie, albo się zabiję w waszych oczach.

— Więc dobrze, przebaczam ci, Naściu, ciągnęła pani de Nucingen, jesteś nieszczęśliwa. Ale ja jestem lepsza od ciebie. Mówić mi takie rzeczy w chwili gdy czułam się zdolna do wszystkiego aby ci dopomódz! nawet do tego, aby przestąpić próg pokoju męża, czego nie uczyniłabym ani dla siebie ani dla... To godne uwieńczenie postępowania twego wobec mnie od dziewięciu lat.

— Moje dzieci, moje dzieci, uściskajcie się! rzekł ojciec. Jesteście obie dobre jak anioły.

— Nie, zostaw mnie, ojcze, krzyknęła hrabina wydzierając się Goriotowi, który ją ujął za ramię. Ona

ma mniej litości dla mnie niżby miał mój mąż. Powiedziałby kto, że ona jest wzorem samych cnót!

— Wolę wreszcie, aby mówiono żem brała pieniądze od pana de Marsaya, niżbym miała się przyznać, że p. de Trailles kosztuje mnie przeszło dwieście tysięcy franków, odparła pani de Nucingen.

— Delfino! krzyknęła hrabina postępując ku niej.

— Ja mówię prawdę, podczas gdy ty mnie spotwarzasz, odparła zimno baronowa.

— Delfino! jesteś...

Ojciec Goriot rzucił się, powstrzymał hrabinę i nie pozwolił dokończyć, zasłaniając jej usta ręką.

— Boże drogi, ojcze, czegoś ty się dotykał dzisiaj? rzekła Anastazya.

— Tak, prawda, moja wina, rzekł biedny ojciec wycierając sobie ręce o spodnie. Ale nie wiedziałem, że przyjdziecie, przeprowadzam się.

Był szczęśliwy, iż ściągnął ną siebie wymówkę, która zwróciła na niego gniew córki.

— Och, rzekł siadając, serceście mi rozdarły. Zdaje mi się że umieram, dzieci moje! Pali mnie tak pod czaszką, jakgdybym miał tam ogień. Bądźcie już poczciwe, kochajcie się serdecznie. Do grobu mnie wpędzicie. Delfinko, Naściu, no, obie miałyście słuszność; nie, żadna nie miała słuszności. Słuchaj, Delciu, ciągnął zwracając na baronową oczy pełne łez, potrzeba jej dwunastu tysięcy franków, szukajmyż ich. Nie patrzcie tak na siebie. (Ukląkł przed Delfiną). Przeproś ją, zrób to dla mnie, rzekł jej do ucha; ona nieszczęśliwsza od ciebie.

— Moja biedna Naściu, rzekła Delfina przerażona dzikim i nieprzytomnym wyrazem jaki boleść wycisnęła na twarzy ojca, zawiniłam, uściskaj mnie...

— Och, balsam wlewasz mi do serca, wykrzyknął ojciec Goriot. Ale gdzie znaleźć dwanaście tysięcy franków? Gdybym się ofiarował na zastępcę do wojska?

— Och, ojcze! wykrzyknęły obie podchodząc doń, nie, nie!

— Bóg cię nagrodzi za tę myśl, życie nasze-by nie wystarczyło, nieprawdaż, Naściu? rzekła Delfina.

— A zresztą, biedny ojczulku, toby była kropla w morzu, zauważyła hrabina.

— Nie można tedy nic wycisnąć ze swojej krwi? wykrzyknął starzec zrozpaczony. Zaprzedam się temu kto cię wybawi, Naściu, zabiję za niego człowieka. Zrobię jak Vautrin, pójdę na galery; tak...

Zatrzymał się, jakgdyby rażony piorunem.

— Już nic! rzekł wydzierając sobie włosy. Gdybym wiedział gdzie iść aby ukraść, ale i ukraść nie jest łatwo. Aby rozbić jaki bank, trzebaby ludzi i czasu. Och, trzeba mi umrzeć, nie pozostało mi nic, tylko umrzeć. Tak, nie jestem już zdatny na nic, nie jestem już ojcem! nie. Ona mnie prosi, ona potrzebuje! a ja, nędzny, nie mam nic. Ha! wykroiłeś sobie dożywotnią rentę, stary zbrodniarzu, a miałeś córki! Nie kochasz ich zatem? Zdychaj, zdychaj, ty psie nikczemny! Tak, jestem gorszy niż pies, pies nie postąpiłby sobie w ten sposób! Och, moja głowa... gotuje się w niej!

— Ależ, tatku, wykrzyknęły obie młode kobiety

które otoczyły go, aby mu nie dać rozbić sobie głowy o mur, bądźże rozsądny.

Stary szlochał. Eugeniusz, przestraszony, chwycił podpisany Vautrinowi oblig, którego stempel, przypadkowo, opiewał na wyższą sumę; poprawił cyfrę i sporządził zeń prawidłowy akcept na dwanaście tysięcy franków, na zlecenie Goriota.

— Oto jest cała suma, pani, rzekł podając papier. Spałem, rozmowa państwa obudziła mnie, i dowiedziałem się w ten sposób co jestem winien panu Goriot. Oto rewers, który może pani puścić w obieg, wykupię go sumiennie.

Hrabina, nieruchoma, trzymała papier.

— Delfino, rzekła blada i drżąca z gniewu, wściekłości, szału, byłam gotowa przebaczyć wszystko, Bóg mi świadkiem; ale to!. Jakto! pan był tutaj, ty wiedziałaś o tem! miałaś tę nikczemność, aby się pomścić pozwalając mi zdradzić moje tajemnice, moje życie, życie moich dzieci, moją hańbę, moją cześć! Ty!... odtąd nie jesteś już niczem dla mnie, nienawidzę cię, będę ci szkodzić ile tylko zdołam, będę...

Gniew zatamował jej słowa, w gardle jej zaschło.

— Ależ to mój syn, nasze dziecko, twój brat, twój zbawca! krzyczał ojciec Goriot. Uściskaj-że go, Naściu! Patrz, ja go ściskam, ciągnął dusząc Eugeniusza w jakimś wściekłym uścisku. — O moje dziecko! będę dla ciebie więcej niż ojcem, chcę być twoją rodziną. Chciałbym być Bogiem, rzuciłbym ci świat pod stopy. — Ależ, pocałuj go, Naściu! to nie człowiek, to anioł, to prawdziwy anioł!

— Daj jej pokój, ojcze, szalona jest w tej chwili, rzekła Delfina.

— Szalona! szalona! A ty co? spytała pani de Restaud.

— Moje dzieci, ja umrę, jeśli nie przestaniecie, wykrzyknął starzec, padając na łóżko niby ugodzony kulą. — Zabijają mnie! rzekł.

Hrabina patrzała na Eugeniusza, który stał nieruchomo, ogłuszony gwałtownością tej sceny.

— Czy pan... rzekła, zapytując go gestem, głosem i spojrzeniem, nie zwracając uwagi na ojca, któremu Delfina rozpinała spiesznie kamizelkę.

— Zapłacę i będę milczał, odparł nie czekając na pytanie.

— Zabiłaś ojca, Naściu, rzekła Delfina, ukazując zemdlonego starca.

Hrabina wybiegła.

— Przebaczam jej, rzekł stary otwierając oczy, położenie jej jest straszne, zmąciłoby i tęższą głowę. Pociesz Nasieńkę, bądź dla niej dobra, przyrzeknij to biednemu ojcu który umiera, błagał Delfinę ściskając jej rękę.

— Ale co tobie, ojcze, rzekła przestraszona.

— Nic, nic, odparł ojciec, to minie. Coś mi uciska czoło, jakaś migrena... Biedna Naścia, co za przyszłość!...

W tej chwili, hrabina wróciła i rzuciła się do kolan ojca.

— Przebacz! krzyknęła.

— Naściu, rzekł ojciec Goriot, zadajesz mi jeszcze większy ból.

— Panie, rzekła hrabina do Rastignaca z oczyma mokremi od łez, boleść uczyniła mnie niesprawiedliwą. Będzie pan bratem dla mnie? dodała, wyciągając doń rękę.

— Naściu, rzekła Delfina ściskając ją, Nasieńko, zapomnijmy wszystko.

— Nie, odparła, ja będę pamiętała.

— Anioły moje, rzekł ojciec Goriot, zdejmujecie mi zasłonę jaką miałem na oczach, wasz głos wraca mi życie. Uściskajcie się jeszcze. — I cóż, Naściu, czy cię ten weksel ocali?

— Mam nadzieję. Słuchaj, tatku, czy zechcesz podpisać?...

— Patrzcież, co za głupiec ze mnie aby o tem zapomnieć! Ale było mi tak niedobrze, Naściu, nie gniewaj się na mnie. Prześlij mi wiadomość, że już ci nic nie grozi. Albo nie, przyjdę. Nie, nie, nie przyjdę, nie chcę już widzieć twojego męża, zabiłbym go na miejscu. Co do zamiaru wyzucia cię z majątku, ja będę czuwał. Idź prędko, dziecko, i spraw aby się Maksym ustatkował.

Eugeniusz stał osłupiały.

— Biedna Naścia była zawsze gwałtowna, rzekła pani de Nucingen, ale ma dobre serce.

— Wróciła po podpis, rzekł Eugeniusz do ucha Delfiny.

— Tak myślisz?

— Pragnąłbym móc w to nie wierzyć. Strzeż się jej, odparł wznosząc oczy, jakgdyby chcąc zwierzyć Bogu myśli, których nie śmiał wyrazić.

— Tak, zawsze była trochę komedyantka, a biedny ojciec daje się brać na te miny.

— Jakże się pan miewa, mój dobry ojcze Goriot? spytał Rastignac starca.

— Spać mi się chce.

Eugeniusz pomógł Goriotowi się położyć; następnie, skoro stary usnął trzymając córkę za rękę, Delfina zaczęła się wybierać.

— Dziś wieczór we *Włoskim*, rzekła do Eugeniusza, powiesz mi jak się ojciec ma. Jutro pan się przeprowadza, łaskawy panie. Zobaczmyż twój pokój... Och, co za okropność! rzekła wchodząc. Ależ to jeszcze gorzej niż u ojca. Eugeniuszu, ładnieś sobie postąpił; kochałabym cię jeszcze więcej gdyby to było możliwe; ale, moje dziecko, jeżeli chcesz zrobić majątek, nie trzeba wyrzucać w ten sposób po dwanaście tysięcy franków za okno. Hrabia de Trailles jest graczem; siostra nie chce tego widzieć. Poszukałby swoich dwunastu tysięcy franków tam, gdzie umie wygrywać albo przegrywać góry złota.

Głuchy jęk sprowadził ich do pokoju Goriota, którego znaleźli na pozór uśpionym, ale, kiedy para kochanków zbliżyła się, usłyszeli te słowa.

— Nie są szczęśliwe!

Czy starzec spał czy też czuwał, niewiadomo; ale akcent tego zdania zapadł tak żywo w serce córki, iż zbliżyła się do barłogu na którym leżał ojciec i pocałowała go w czoło. Otworzył oczy, mówiąc:

— To Delfina.

— I cóż, jakże ci, ojcze?

— Dobrze, rzekł. Nie niepokój się, niebawem wstanę. Idźcie, idźcie, moje dzieci, bądźcie szczęśliwe.

Eugeniusz odprowadził Delfinę do domu; ale, zaniepokojony stanem w jakim zostawił Goriota, nie chciał zostać u niej na obiedzie i wrócił do pensyonatu. Zastał ojca Goriot na nogach, w chwili gdy gotował się siąść do stołu. Bianchon usadowił się w ten sposób, aby módz dobrze śledzić twarz fabrykanta makaronu. Kiedy ujrzał jak bierze chleb i wącha go aby ocenić gatunek mąki, student, stwierdziwszy w tym ruchu zupełny brak tego co możnaby nazwać świadomością aktu, uczynił złowróżbny gest.

— Siadaj-no koło mnie, wielki internie szpitala Cochin, rzekł Rastignac.

Bianchon przesiadł się tem chętniej, iż, w ten sposób, znalazł się obok starego pensyonarza.

— Co jemu? spytał Rastignac.

— Jeżeli się nie mylę, jest gotów! musiało w nim zajść coś niezwykłego, zdaje mi się że grozi mu lada chwila udar mózgowy. Mimo że dolna część twarzy jest dość spokojna, w górze rysy kurczą się mimowoli ku czołu, o, patrz! Następnie, oczy mają szczególne wejrzenie, które zdradza ucisk surowicy w mózgu. Czy nie wyglądają tak, jakgdyby były pełne delikatnego pyłu? Jutro rano, będziemy mogli powiedzieć coś więcej.

— Czy byłoby jakie lekarstwo?

— Żadnego. Conajwyżej, będzie można opóźnić śmierć, jeżeli znajdziemy sposoby wywołania reakcyi ku kończynom, ku nogom; ale, jeżeli do jutra objawy nie ustaną, biedaczysko przepadł. Czy nie wiesz, jaka

okoliczność spowodowała chorobę? Musiał otrzymać jakiś gwałtowny cios, pod którym załamała się jego istota moralna.

— Tak, rzekł Rastignac, przypominając sobie jak obie córki waliły bez wytchnienia w serce ojcowskie.

— Przynajmniej, powiadał sobie Eugeniusz, Delfina kocha ojca!

Wieczorem, w teatrze, Rastignac zaczął mówić o stanie Goriota z pewnemi ostrożnościami, aby nie przerazić zanadto pani de Nucingen.

— Nie lękaj się, odparła po pierwszych słowach Eugeniusza, ojciec jest silny. Tylko, dziś rano, zanadtośmy go wstrząsnęły. Majątek nasz jest zagrożony, czy pojmujesz doniosłość takiego nieszczęścia? Nie przeżyłabym tego, gdyby twoje przywiązanie nie czyniło mnie nieczułą na to co uważałabym niegdyś za śmiertelne przejścia. Istnieje już dla mnie tylko jedna obawa, tylko jedno nieszczęście; to stracić miłość, która dała mi czuć rozkosz życia. Poza tem uczuciem, wszystko mi jest obojętne, nie kocham nic w świecie. Ty jesteś dla mnie wszystkiem. Jeżeli czuję szczęście jakie daje bogactwo, to aby ci się lepiej podobać. Jestem, wyznaję ze wstydem, bardziej kochanką niż córką. Dlaczego? Nie wiem. Całe moje życie jest w tobie. Ojciec dał mi serce, ale ty nauczyłeś je bić. Cały świat może mnie potępić: cóż mi znaczy, jeżeli ty, który nie masz prawa czuć o to żalu do mnie, rozgrzeszysz mnie ze zbrodni na którą mnie skazuje nieprzeparte uczucie? Czy uważasz mnie za wyrodną córkę? Och, nie, niepodobna jest nie kochać równie

dobrego ojca jak nasz. Czyż mogłam zapobiedz, aby nie ujrzał w końcu nieuchronnych skutków naszych opłakanych małżeństw? Dlaczego zgodził się na nie? Czyż nie jego rzeczą było mieć rozsądek za nas? Dzisiaj, wiem o tem, cierpi tyle co my, ale cóż my możemy na to poradzić? Pocieszyć go? niema sposobu! Nasza rezygnacya sprawiłaby mu więcej bólu, niżli go ranią wyrzuty i skargi. Bywają położenia w życiu, w których wszystko jest goryczą.

Eugeniusz milczał, wzruszony do głębi tym naiwnym wyrazem szczerego uczucia. Jeżeli Paryżanki są nieraz fałszywe, pijane próżnością, samolubne, zalotne, zimne, to pewna, iż, kiedy kochają prawdziwie, wkładają w swoją namiętność więcej niż inne kobiety; wyrastają ponad wszystkie swoje małostki, stają się wzniosłe. Następnie, uderzył Eugeniusza głęboki i trafny zmysł, jaki kobieta rozwija aby osądzić najbardziej naturalne uczucia, kiedy uprzywilejowana namiętność oddziela ją i stawia od nich zdala. Panią de Nucingen uraziło milczenie Eugeniusza.

— O czem myślisz? spytała.

— Słucham jeszcze tego co mi rzekłaś. Sądziłem, aż do tej chwili, że ja kocham bardziej od ciebie.

Uśmiechnęła się i opanowała przyjemność jaką sprawiły jej te słowa, siląc się utrzymać rozmowę w granicach zakreślonych przez formy. Nigdy nie słyszała jeszcze przejmujących wyrazów młodej i szczerej miłości. Jeszcze kilka słów, a nie byłaby się powściągnęła.

— Eugeniuszu, rzekła odmieniając bieg rozmowy, nie wiesz tedy co się dzieje? Cały Paryż będzie jutro

u pani de Beauséant. Rochefidowie i margrabia d'Ajuda porozumieli się aby rzecz utrzymać w tajemnicy; ale jutro król podpisuje kontrakt ślubny, a twoja biedna kuzynka nic o tem nie wie jeszcze. Niepodobna jej odwołać przyjęcia, a margrabiego nie będzie na balu. Wszyscy mówią jedynie o tem wydarzeniu.

— I świat śmieje się z nikczemności i współdziała w niej! Nie wiesz tedy, że pani de Beauséant przypłaci to życiem?

— Nie, rzekła Delfina z uśmiechem, nie znasz tego rodzaju kobiet. Ale cały Paryż będzie u niej, i ja będę! Tobie-to wszakże zawdzięczam to szczęście.

— Ale, rzekł Rastignac, czy to nie jest jedna z owych niedorzecznych pogłosek, jakich tyle krąży po Paryżu?

— Dowiemy się prawdy jutro.

Eugeniusz nie wrócił do pensyonatu. Nie mógł przemódz na sobie, aby się nie ucieszyć nowem mieszkaniem. W wilię tego dnia, on zmuszony był rozstać się z Delfiną o pierwszej po północy: tym razem, Delfina pożegnała go koło drugiej aby się udać do siebie. Nazajutrz, spał dość długo; oczekiwał pani de Nucingen, która przyszła, około południa, zjeść z nim śniadanie. Młodzi ludzie są tak łakomi tych słodkich chwil szczęścia, iż Eugeniusz prawie zapomniał o ojcu Goriot. Było dlań niby długiem świętem oswajać się z każdą z wytwornych rzeczy które doń należały. Pani de Nucingen opromieniała wszystko swoją obecnością, dodając wszystkiemu nowej ceny. Mimo to, około czwartej, kochankowie przypomnieli sobie

o ojcu Goriot, oraz o radości jaką stary obiecywał sobie po mieszkaniu w tym domu. Eugeniusz zauważył, iż, na wypadek choroby, należało jaknajrychlej przenieść tam nieboraka; pożegnał tedy Delfinę, aby pobiedz do pani Vauquer. Ani ojca Goriot ani Bianchona nie było przy stole.

— Ano tak, rzekł malarz, ojciec Goriot gotuje się odwalić kitę. Bianchon jest na górze, przy nim. Starowinę odwiedziła jedna z córek, hrabina de Restorama, potem uparł się wyjść na miasto i pogorszyło mu się. Społeczeństwo utraci jedną ze swoich najpiękniejszych ozdób.

Rastignac rzucił się ku schodom.

— Hej, panie Eugeniuszu!

— Panie Eugeniuszu! pani woła pana, krzyknęła Sylwia.

— Proszę pana, rzekła wdowa, p. Goriot i pan mieliście się wyprowadzić 15 lutego. Oto już trzy dni jak 15 minął, mamy dziś 18; będzie mi się należało za cały miesiąc od pana od niego; ale, jeżeli pan zechce zaręczyć za ojca Goriot, pańskie słowo wystarczy.

— Poco? czy pani nie ma zaufania?

— Zaufania! Gdyby nieborak stracił przytomność i umarł, córki nie dałyby mi ani grosza, a wszystkie jego graty nie są warte ani dziesięciu franków. Wyniósł dziś rano ostatnie srebrne nakrycie, nie wiem poco. Wystroił się na młodego człowieka; niech mi Bóg odpuści, ale zdaje mi się że się uróżował: wydał mi się odmłodzony.

— Ręczę za wszystko, rzekł Eugeniusz, który zadrżał od grozy lękając się nowej katastrofy.